

Wstęp do Antologii Miejskiej Odwagi

**rozmowy o odważnych
działaniach w mieście**

**Monika Arczyńska
Laura Hołowacz
Anna Hryniewiecka
Iga Kalbarczyk
Cecylia Malik
Aleksandra Markowska
Urszula Niziołek-Janiak
Grażyna Szotkowska
Bogna Świątkowska
Joanna Wawiórka-Kamieniecka
Jaśmina Wójcik
Marta Żakowska**

Wstęp do Antologii Miejskiej Odwagi

**rozmowy o odważnych
działaniach w mieście**

**Monika Arczyńska
Laura Hołowacz
Anna Hryniewiecka
Iga Kalbarczyk
Cecylia Malik
Aleksandra Markowska
Urszula Niziołek-Janiak
Grażyna Szotkowska
Bogna Świątkowska
Joanna Wawiórka-Kamieniecka
Jaśmina Wójcik
Marta Żakowska**

Teksty, redakcja i korekta:

JOANNA BOGACZ, JOANNA ROMANIUK,
PAULINA STOK-STOCKA, MARTA URBAŃSKA,
ALEKSANDRA ŻABOWSKA

Opracowanie graficzne:

MARTA URBAŃSKA

Koordinacja projektu:

JOANNA ROMANIUK

Konsultacja merytoryczna:

PIOTR SZCZEPAŃSKI (IBPP)

Publikacja powstała w ramach projektu dyplomowego
zrealizowanego na studiach podyplomowych
MIASTA I METROPOLIE. STUDIA MIEJSKIE
prowadzonych przez Instytut Badań Przestrzeni Publicznej
na Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie
w roku akademickim 2019/2020

Koncepcja została opracowana przy udziale:

AGNIESZKI DYBOWSKIEJ
I CEZAREGO POKORSKIEGO

Warszawa, 2020 r.

Spis treści

Od autorek	7
Przedmowa. Piotr Szczepański	8
Rozmowa 01. Monika Arczyńska	10
Rozmowa 02. Laura Hołowacz	26
Rozmowa 03. Anna Hryniewiecka	40
Rozmowa 04. Iga Kalbarczyk	54
Rozmowa 05. Cecylia Malik	70
Rozmowa 06. Aleksandra Markowska	88
Rozmowa 07. Urszula Niziołek-Janiak	108
Rozmowa 08. Grażyna Szotkowska	128
Rozmowa 09. Bogna Świątkowska	146
Rozmowa 10. Joanna Wawiórka-Kamieniecka	166
Rozmowa 11. Jaśmina Wójcik	182
Rozmowa 12. Marta Żakowska	202
Noty biograficzne	210
Post scriptum	222

Książkę, którą trzymają Państwo w rękach można nazwać zbiorem rozmów, kolekcją doświadczeń, paletą odczuć i emocji związanych z miastem. Ale też zestawem rozwiązań, inspiracji albo wskazówek do działania. Dla nas to wspomnienie ostatnich kilku miesięcy, podczas których mogliśmy porozmawiać z wyjątkowymi kobietami, które cenimy i, z których doświadczeń i wiedzy chcemy czerpać.

Przyszło nam pracować w czasie z pozoru niesprzyjającym spotkaniom i integracji. Ten dziwny i zaskakujący obrót spraw jednak rzucił nowe światło na działalność zarówno naszą, jak i naszych Bohatek. Przyniósł nieco więcej czasu na refleksję oraz podjęcie nieplanowanych wcześniej decyzji.

Mamy nadzieję, że ta publikacja stanie się ważnym głosem w dyskusji o mieście i odwadze, które były dla nas punktem wyjścia. Szybko zorientowałyśmy się, że to dopiero początek, przedsmak obszerniejszej i głębszej rozmowy. Na razie musimy powstrzymać się przed deklaracją, że taką rozmowę podejmiemy, ale życzymy sobie, aby w przyszłości podtrzymać motywację oraz energię do kontynuacji niniejszego projektu.

Dziękujemy naszym Bohaterkom za życzliwość, cierpliwość oraz chęć podzielenia się z nami myślą i wiedzą. Dziękujemy panu Piotrowi Szczepańskiemu za bycie dobrym duchem projektu, służącym zawsze radą i pokrzepieniem. Dziękujemy też losowi za splot okoliczności, który doprowadził do naszego spotkania i wspólnego działania.

Joanna Bogacz, Joanna Romaniuk, Paulina Stok-Stocka,
Marta Urbańska i Aleksandra Żabowska

Warszawa, 2020 r.

Jak mówi jedna z bohaterek niniejszej książki: „odwaga rozbija mury na każdym poziomie i nie ma płci”. A jednak po lekturze tych dwunastu rozmów odniosłem wrażenie (niestety, nie pierwszy raz), że te mury w mieście, przed którymi stoją kobiety, są jakieś wyższe i twardsze, a odwaga, żeby się z nimi zmierzyć, wymaga od nich czegoś innego i czegoś więcej niż brawury, hartu ducha i walki wręcz (choć i to się zdarza). Czego zatem? Żmudnych przygotowań do negocjacji i rozmów na każdy temat (do „krwawych negocjacji” i „morderczych rozmów” o mieście)? Anielskiej cierpliwości i piekielnej pychy w walce o lepszą przestrzeń wspólną? Cyrkowej sprawności w trzymaniu stada projektów za ogon? Chirurgicznych precyzji w lawirowaniu między bezdusznymi przepisami? Żeby tylko!

8 *Bohaterki „Wstępu do antologii miejskiej odwagi” dość nieśmiało – o ironio – mówią o sobie: „jestem odważna”. Chyba z wrodzonej skromności. Z tych rozmów bowiem wynika niezbie, że ich odwaga pracuje na cały etat. Ba! Że ma ona więcej wspólnego ze strategicznym planowaniem, sokratejską świadomością niewiedzy, kieratem i wyrachowaniem niż z afektem (dawniej „rachować” znaczyło m.in. „uwzględniać czyjeś zdanie”, ale też „spodziewać się”, „przypuszczać”); że nie obejdzie się bez wsparcia zaufanego zespołu oraz myślenia według wartości a nie ambicji; że gotowość do podjęcia ryzyka oznacza myślenie holistyczne, ale ściągnięte cugłami, tj. skupione w równej mierze na osiągnięciu indywidualnych i grupowych szczytów oraz na minimalizowaniu indywidualnych i grupowych potknięć – nawet jeśli „targają nami żywioły”; że kobieta odważna „boi się, ale robi”. Wreszcie, że odwaga polega na dojrzałości i mówieniu sobie „Dość!”. Czasem bardzo głośno.*

Bohaterki tych rozmów nie raz rzucały się w wir miejskich spraw. Bez kół ratunkowych uczyły się grać w miasto. Z czasem stały się kołami ratunkowymi dla innych.

Słowo „odwaga” ma w sobie – tak, tak – wielką wagę i sprawczość. Mam tu na myśli narzędzie służące do porównywania wartości – często niedoceniane. „Odważyć się”, znaczy przecież też zmierzyć się z czymś, porównać, sprawdzić, ile są warte, ile ważą nasze możliwości i ograniczenia na rynku cnót, usług i idei wobec tego, co stawia opór i budzi strach. „Odważyć się”, znaczy też: uczciwie oszacować swój potencjał i wznieść się na wyżyny własnych możliwości. By przeskoczyć je. Po co? Na to każda z bohaterek odpowiada inaczej. W planie indywidualnym – po to, by przeżyć coś nowego, ciekawego, zdobyć brakującą wiedzę, nowe umiejętności, zminimalizować strach przed działaniem, rozwinąć się jako osoba, poznać drugiego człowieka. A w planie ogólnym? Tu – z braku lepszego określenia wybieram stare, sprawdzone, dziś nieco skompromitowane, ale wciąż posiadające prometejską moc – zmieniać świat. Nawet jeśli ramy tego świata są bardzo wąskie i ograniczają się do najbliższego podwórka, naszej dzielnicy lub rodzinnego miasta.

9 *Kim są odważne kobiety? Jak kształtują swój świat? Czym według nich jest odwaga w mieście?*

Niech ta książka będzie zachętą do zadania sobie tych pytań na głos. I poważnego zastanowienia się nad tym, co dla nas w mieście jest naprawdę ważne.

Piotr Szczepański

„Nie każdy architekt
musi projektować”.

**z Moniką Arczyńską
rozmawia Marta Urbańska**

Jakie to uczucie, kiedy wchodzisz w zaprojektowaną przez siebie przestrzeń?

13

(śmiech) Użyję anegdoty, bo uważam, że to jest bardzo dobry sposób, żeby pewne rzeczy zilustrować. Często rozmawiamy o tym z Łukaszem Panewiczem, moim partnerem zawodowym i życiowym. Łukasz jako urbanista ma mniej realizacji architektonicznych i zawsze powtarza, może trochę zazdroszcząc, że to musi być niesamowite uczucie, kiedy wchodzę w zaprojektowane przez siebie miejsce. Ja z kolei powtarzam mu, że to absolutnie najbardziej przeceniony moment w całym procesie pracy architekta, ponieważ zwykle zobaczenie już wykończonej przestrzeni to moment bardzo „wymęczony”, po spędzeniu wielu godzin nad projektem... I oczywiście wyłapujesz od razu te rzeczy, które nie wyszły! Rzadko finalny efekt jest dokładnie taki, jak twój zamysł i wersja na papierze – zawsze są jakieś niedociągnięcia. Być może długość procesu projektowego ma tutaj znaczenie. Kiedy projektowaliśmy muzea jeszcze w Heneghan Peng Architects, zobaczenie realizacji po długich miesiącach pracy było przede wszystkim momentem prawdziwej ulgi. Jednak wciąż myślałam bardziej: „uff, wyszło tak, jak planowaliśmy” niż: „uff, jaka ekscytacja!” Mam zupełnie inne odczucia, kiedy wchodzę w przestrzeń woenerfu na Abrahama w Gdyni – ten projekt zajął znacznie mniej czasu niż muzea. Na Abrahama czuję ogromną radość obserwując, w jak zupełnie dla mnie niespodziewany sposób ta przestrzeń jest użytkowana.

Co masz na myśli?

Chociażby to, że piesi chętniej chodzą środkiem niż bokami ulicy. Spodziewałam się, że jednak wybiorą tradycyjne

chodniki i cieszy mnie, że korzystają z przestrzeni intuicyjnie, czując, że należy do nich. Zaskoczenie jest natomiast takie, że wszystko jest tam „bardziej”, że ta przestrzeń jest bardziej intensywnie użytkowana, że ludzie robią wrażenie bardziej zadowolonych, niż się spodziewałam. Bardziej też anektują tę przestrzeń – ulica wciąż użytkowana jest przez samochody, ale mieszkańcy pilnują, by nie dominowały w tej przestrzeni i na przykład, aby parkowano prawidłowo. To jest dla mnie mocnym, pozytywnym odczuciem.

Czy to odczucie jest jednym z powodów, który sprawia, że lubisz swoją pracę?

Bardzo lubię. Ale lubię też to, i myślę, że będziesz mnie o to jeszcze dopytywać, że od projektowania obecnie odchodzę. To dla mnie wyraz dużej odwagi w kontekście zawodu architekta. W świadomości mamy zakodowane, że architekt musi projektować. A architekt, który nie projektuje, albo projektuje mało, marnuje i siebie, i zawód. Ale ja się cieszę z mojej decyzji i lubię to, że skupiam się w tej chwili na innym etapie procesu projektowego.

Twoja praca będzie teraz zmierzała w stronę doradztwa?

Przede wszystkim ustalania tego co, jak, gdzie i w jaki sposób zrobić – czy można to nazwać doradztwem? To chyba jest nieco inna czynność. Cały czas bowiem jest to swego rodzaju projektowanie, ale na tym etapie jeszcze przed ubieraniem danej przestrzeni w konkretną, materialną otoczkę. Czasami to się oczywiście zazębia i myślę, że tak czy inaczej będę wchodzić na kolejne etapy kreacji, ale wiem, że z moimi

umiejętnościami, doświadczeniem czy temperamentem mam więcej do powiedzenia na etapie poprzedzającym rysowanie planów.

To co mówisz pokazuje, że zawód projektanta czy architekta nie musi zawsze, koniecznie i bezwzględnie wiązać się z kreśleniem w Autocadzie.

To wciąż raczkuje. Decyzja nie jest jednak łatwa, zwłaszcza na wczesnym etapie zawodowej kariery, kiedy się jeszcze szuka swojej ścieżki, a wszyscy wokół ci mówią: Ale jak to? Przecież jesteś architektem! Uprawnienia! Projektowanie! Gazety! ArchDaily! Musisz, musisz, musisz! Ja to nazywam kompleksem braku projektowania – w pewnym momencie czujesz potrzebę tłumaczenia się, dlaczego nie projektujesz. A jak patrzę na te wszystkie niesamowite rzeczy, które robi m.in. Paweł Jaworski¹, zastanawiam się, czy gdyby zamiast robić Żywą Ulicę, rysował rzuty w Autocadzie, to byłoby lepiej? Czy gdyby Grzesiek Piątek² zamiast pisać o mieście, projektował budynki, to byłoby lepiej? Może sprawdziłby się w tym równie dobrze, ale my stracilibyśmy te wszystkie wspaniałe rzeczy, które ci ludzie robią.

Jest rola „projektant”, jest rola „krytyk”, jest rola „architekt”, jest rola „nauczyciel”. Jest też taka rola „inspirator” – moim zdaniem bardzo ważna. Okazuje się, że są osoby, które sprawiają, że innym otwierają się różne klapki w głowie, a to z kolei rodzi wiele świeżych, innowacyjnych myśli i idei, również tych projektowych.

¹ Paweł Jaworski – filozof, urbanista i badacz procesów miejskich. Projekty Żywa Ulica to jego autorska metoda projektowania przestrzeni miejskiej, polegająca na prototypowaniu urbanistycznym.

² Grzegorz Piątek – architekt, krytyk i historyk architektury, członek zarządu Fundacji Centrum Architektury.

Czy twój nowy pomysł na siebie wynika z tego, że poczułaś w sobie nową misję?

Moim zdaniem bardziej chodzi o wykorzystanie swoich predyspozycji i doświadczenia, niż o poczucie misji jako takie. Wiem, że moje predyspozycje projektowe są dobre, ale też nie na tyle wybitne, żebym w tym momencie kariery czuła, że koniecznie muszę projektować, bo to jest ten mój jedyny talent, którego nie wykorzystam. Nie, nie czuję tego. Czuję za to, że potrafię robić inne rzeczy: myśleć systemowo, ale też myśleć na pewnym poziomie abstrakcji, interdyscyplinarności. Zwłaszcza w powiązaniu tego z umiejętnością budowania zespołu i organizowania całego procesu pracy, szczególnie przy dosyć nietypowych przedsięwzięciach, kiedy trzeba, często od zera, wymyślić, jak ta cała machina projektowa ma zacząć działać... I widzę, że jeżeli w tym się dobrze sprawdzam, to wolę działać na tym polu, bo po prostu wyniki są lepsze i czułabym, że marnuję moje umiejętności, gdybym skupiła się tylko i wyłącznie na ostatnim etapie procesu projektowego.

Czuję się jak na psychoterapii dla młodych projektantów...

(śmiech) To powiem ci więcej. Nie dość, że zrezygnowałam z projektowania, to jeszcze świadomie zrezygnowałam z nauki. I to też jest ciężar – pracować na uczelni, gdzie wszyscy wokół ciebie robią badania, publikują, walczą o granty. Ja z tego dosyć świadomie zrezygnowałam. Po powrocie z Dublinu do Polski i po obronie doktoratu dałam sobie rok na to, żeby popробować i sprawdzić, czy praca naukowa w ogóle mnie kręci. Nie kręciła. Zaczęłam więc

szukać dla siebie innej drogi, ale zostałam na uczelni. Jestem na stanowisku dydaktycznym i muszę przyznać, że jest mi z tym wspaniale. Robię to, co lubię. Pracuję ze studentami, uczę ich tego, czego sama nauczyłam się po drodze i wygląda na to, że wszystko się dobrze poukładało.

Przeprojektowywanie ulic czy tworzenie masterplanów to coś, czym zajmujesz się na co dzień razem z zespołem A2P2. Wydaje się, że wśród biur projektowych w Polsce jesteście jednym z nielicznych, jeśli nie jedynym, które zabiera się z wrażliwością za tematy przestrzenne. Co skłoniło cię do tego, żeby poświęcić swoją pracę miastom i ludziom, którzy w nich żyją?

Znowu odpowiem ci anegdotą, bo nie chciałabym odpowiedzieć banałem. Mam wrażenie, że ona najlepiej pokaże dlaczego w ogóle zajmujemy się takimi tematami, jak się nimi zajmujemy i czym się różnimy od reszty. Są czasem takie momenty, które otwierają ci oczy: nagle okazuje się, że wszyscy – bez względu na zawód, stanowisko, pozycję, reprezentowanie publicznego czy prywatnego klienta – postrzegają pewne problemy czy zjawiska w ten sam sposób. A ciebie olśniewa: przecież my zawsze patrzyliśmy na to zupełnie inaczej! Taką sytuację mieliśmy przy okazji spotkań koordynacyjnych związanych z masterplanem dla terenów postoczniowych w Gdańsku. Na spotkaniach warsztatowych dyskutowaliśmy o przyszłości tego terenu w gronie specjalistów od konserwacji zabytków, projektantów, urbanistów, inwestorów, zaproszonych profesorów w dziedzinie urbanistyki i architektury, samych tęgich głów. Dopiero pod koniec tego całego procesu zrozumiałam, że przez cały ten czas wszyscy mówili o przestrzeni i o budynkach, ale jedynie w kontekście

kubatur, materiałów i kompozycji, sztywno i podręcznikowo. Jednocześnie cały czas w naszym stoczniowym masterplanie z Henning Larsen czy naszych masterplanach, które robimy niezależnie w A2P2, cały czas myślimy przede wszystkim o człowieku! Jego percepcji przestrzeni, jego prywatności, poczuciu bezpieczeństwa, komforcie, przemieszczaniu się... Kiedy rozmawiamy o przestrzeni z socjologami, okazuje się, że przydatny byłby wspólny słowniczek pojęć: jak pewne z nich rozumie socjolog, a jak architekt. Bo dopiero wtedy, kiedy będziemy mieli wspólny pojęciowy narzędziownik, będziemy mogli porozmawiać o konkretach. I mam wrażenie, że w masterplanach i innych projektach urbanistycznych w ogóle nie ma tego wspólnego narzędziownika nie tylko między architektami i socjologami, ale też architektami i architektami! Myślę, że to jest też moja odpowiedź na twoje pytanie, dlaczego poszliśmy w tę stronę: czujemy, że jest tu jeszcze bardzo dużo do powiedzenia i do działania, ale faktycznie przestrzeń to jest tylko jeden z czynników, które są potrzebne do projektowania.

Wspomniałaś też, że wszyscy specjaliści skupiali się na kubaturach, a wy na tym, co pomiędzy nimi. Faktycznie, dla wielu osób jesteście specami od kreowania miejskich przestrzeni do życia. Czym jest dla ciebie ta przestrzeń?

To jest pytanie, na które kompletnie nie potrafię odpowiedzieć. Bo można rzucać banałami: że to miejski krwioobieg; przyrównywać miasto do poszczególnych narządów ludzkiego organizmu... Dla mnie przestrzeń publiczna to miejsce interakcji i chyba teraz doceniamy to najbardziej, kiedy siedzimy zamknięci w domu podczas pandemii... Śmieję się, że najlepszym dowodem tego, po co jest nam przestrzeń publiczna jest fakt, jak wszystkie psy są

teraz „wyspacerowane”. Właściciele czworonogów ciągną je na nadprogramowe spacer, żeby tylko móc wyjść z domu i popatrzeć na innych ludzi, na drzewa. Może właśnie zwierzęta są teraz dobrym wskaźnikiem na to, czym jest dla nas przestrzeń publiczna. To po prostu coś, w czym musimy być i uczestniczyć, nawet jeśli przy ograniczonej mobilności możemy jedynie wystawić poduszkę w oknie i oglądać to, co dzieje się na zewnątrz. Izolacja, której teraz wszyscy doświadczamy, zrekompensowana jednak technologicznymi rozwiązaniami, pokazuje dokładnie, czym jest przestrzeń publiczna. Nie jesteśmy w stanie żyć cyfrowo na dłuższą metę – to byłoby zbyt męczące. Kiedy jesteśmy pozamykani w mieszkaniach, to padamy ofiarą „niedobodźcowania”, braku dostępu do materiałów, zróżnicowanych nawierzchni, zapachu... te braki zaczynają nas doprowadzać do szału. Myślę więc, że przestrzeń publiczna to jest to, co nam, jako homo sapiens, daje odpowiednią ilość bodźców z zewnątrz, której potrzebujemy. I im dłużej i więcej czytam na temat percepcji przestrzeni i rzeczy z tym związanych, tym bardziej czuję, że wbudowane w nas, jako w organizmach, potrzeby zaczynają mieć ogromne znaczenie.

Sytuacja, w której obecnie się znajdujemy jest, mówiąc najdelikatniej, interesująca. Nie mogę sobie odmówić pytania o to, jak twoim zdaniem przestrzenie publiczne, miasta i społeczności będą wyglądały i funkcjonowały za kilka miesięcy, albo rok?

Trudno o tym wszystkim nie myśleć, ale z drugiej strony, wydaje mi się, że bardzo nierozsądne jest w tej chwili „gdybanie” na temat przyszłości. Przecież niewiele wiemy, chociażby, jak długo ta sytuacja jeszcze potrwa. Mam wrażenie, że to, co teraz wiele osób uprawia, to zgadywanki.

Dlatego, jeśli pytasz o moją intuicyjną opinię, bo chyba tylko o takich możemy tutaj mówić, mam wrażenie, że nasza potrzeba użytkownika przestrzeni się nie zmieni. I sądzę, że jak tylko poczujemy się bezpiecznie, to wrócimy dokładnie do takiego samego sposobu interakcji, jaki mieliśmy wcześniej, bo po prostu tego potrzebujemy. Jeżeli daje nam to tyle radości i satysfakcji, to dlaczego mielibyśmy z tego rezygnować, kiedy będzie już bezpiecznie? Martwię się jednak o coś innego. Pojawiają się pomysły, by dawać pieszym więcej przestrzeni... chciałabym bardzo i życzę nam wszystkim, żeby to poszło w tę stronę, ale boję się, że pójdzie w drugą. I że to, co udało nam się wypracować i osiągnąć na rzecz przestrzeni publicznej w kontekście przywracania jej pieszym, rowerzystom... wszystko to, co nam się udało zdziałać, w tej chwili niestety może zostać wyrzucone do śmieci. Przede wszystkim z uwagi na argumenty przemawiające za tym, że samochód jest najbezpieczniejszy, że musimy umożliwić bezpieczny transport, parkowanie blisko celu podróży. Albo że nie wpuścimy dzieci do autobusu, więc musimy je dowozić do szkoły autem. Boję się więc, że argumenty za izolacją będą działały przeciwko działaniom na rzecz pieszych. Tego się boję najbardziej.

Chociażby we Włoszech, już teraz niektóre pasy dla samochodów przekształca się na ścieżki dla rowerzystów. Zastanawiam się tylko, czy to rozwiązanie na teraz, czy działanie długofalowe.

Traktuję takie działania jako rodzaj miejskiego prototypowania, który może okazać się wielkim sukcesem, jak rozwiązania zostaną utrwalone. I super, że w ogóle działa się w ten sposób w niektórych miastach, bo to znaczy, że istnieje i możliwość, i wola przetestowania pewnych pomysłów

i rozwiązań. W normalnych okolicznościach – bo to, co teraz mamy, to nie są normalne okoliczności – pewnie nikomu by do głowy nie przyszło, żeby w ogóle coś takiego robić. Albo próby te zostałyby okupione wielkim narzekaniem ludzi w samochodach, którym zabiera się ich prawa. Boję się, że właśnie u nas, w Polsce, szala przechyli się w drugą stronę. Bo jak to się stało, że można używać samochodu, a nagle zostały zablokowane rowery publiczne w miastach? Dprowadzamy do absurdów.

Pójdźmy tym tropem. Co w takim razie możemy zrobić w przestrzeni publicznej, żeby zaczęła bardziej odpowiadać obecnym potrzebom użytkowników? Wspomniałaś, że twoim zdaniem niewiele się zmieni. Ale jak rozumiem, w kontekście naszego, ludzkiego zachowania, a nie formy, jaką przestrzenie w mieście przybiorą.

Muszę przyznać, że mam pewien problem z tymi wszystkimi innowacyjnymi i futurystycznymi rozwiązaniami. Kiedy mówimy o przestrzeni publicznej, przestrzeni miasta czy o zasadach projektowania miast w ogóle, wydaje mi się, że gdybyśmy się teraz cofnęli o jakieś dwa tysiące lat, okazałoby się, że właściwie w tym, jak projektujemy, niewiele się zmieniło. Co najwyżej pewne rzeczy rozszerzamy albo zawężamy; podnosimy, obniżamy... Dlatego muszę przyznać, że szczególnie w kontekście miasta, mam w sobie sporo dystansu do wszelkich nowinek. Przecież woda cały czas będzie płynąć rurami, prąd przewodami... takich zależności można by mnożyć i tutaj niewiele się zmieni. Zawsze będziemy musieli mieć budynki, schody i setki innych elementów przestrzeni i w tym kontekście nie wierzę w technologie, które nam zmienią jej kształt. Ewentualnie

sposób ich użytkowania.

I chociażby dlatego warto śledzić twoje projekty i działania, bo nie mają tych wszystkich pizdyków, falbanek i udziwnień, tych wszystkich opakowaczy, które trochę wytrącają percepcję z równowagi. Traktujesz takie decyzje o dawaniu konkretnego w przestrzeni, jako odważne?

Przygotowując się do rozmowy z tobą, próbowałam zdefiniować odwagę działania w przestrzeni. Niekiedy dowodem największej odwagi jest rezygnacja z realizacji innowacyjnych projektów na rzecz rozwiązań mniej ekscytujących albo bardziej tradycyjnych. Wydaje mi się, że czas najwyższy zacząć „odgadżetowywać” projekty na rzecz rzeczy przemyślanych i mających sens.

A jest taki projekt, który twoim zdaniem jest przykładem odważnej decyzji w przestrzeni?

Co prawda przychodzi mi do głowy różne konkretne projekty, ale jednak dla mnie największym dowodem odwagi w pracy architekta jest zagospodarowywanie zupełnie pustej przestrzeni. To uzupełnianie pustek jest dla mnie czymś wręcz heroicznym! I nie mam tu na myśli dostępnych, tylko czekających na zagospodarowanie niezabudowanych, gotowych pod inwestycje terenów, lecz wyrwy w mieście. I tu od razu przychodzi mi do głowy realizacja, której nie znoszę, zarówno jeśli chodzi o jej estetyczną, jak i funkcjonalną stronę, a jest to Wyspa Spichrzów w Gdańsku. Miejsce, które przez lata niszczało i popadało w ruinę,

a jednak przestrzennie i tożsamościowo mocno wbiło się w świadomość mieszkańców, w ich pamięć i percepcję, jako pustka. Przez lata myślało się i mówiło, że te ruiny tak straszą, że ta przestrzeń jest taka niewykorzystana, że kiedy się w końcu ktoś za to zabierze...

No to się ktoś zabrał...

I jak się zabrał, to się okazało, że nie tylko miał odwagę, by zrobić z tego miejsca maszynkę do zarabiania pieniędzy, ale jeszcze zająć to miejsce czymś tak beznadziejnym architektonicznie. I powiem szczerze, że czuję rozczarowanie, że odwaga, aby tę przestrzeń zapełnić, się pojawiła. Żał mi teraz pustki, która tam kiedyś była. Myślę sobie, że to jest ten rodzaj odwagi, która nie do końca pokierowała inwestycją w dobrą stronę. Ale na pewno w przypadku tego konkretnego projektu była ogromna! Dlatego odwaga może oznaczać np. to, że się albo odważnie na coś rzucasz, albo masz odwagę zrobić rewolucję, która wszystkim przyniesie coś dobrego. A tutaj mam wrażenie, że jednak skończyło się to trochę gorzko. Jako pracownia mamy podobne dylematy, bo pracujemy obecnie nad projektem zleconym przez Miasto Warszawa i przygotowujemy wariantowe propozycje masterplanowe dla Portu Praskiego. Myślę o tym obszarze bardzo podobnie jak o Wyspie Spichrzów i chwilami boję się stawiania pierwszych kresek, bo do tej pory był to pusty, zielony teren, po którym biegały sarny, mimo że to centrum Warszawy! I myślę o nim, że może tak wiele stracić w momencie, w którym podejmie się decyzję o laniu fundamentów...

Ale jeśli fundamenty poleją się mądrze, to ta przestrzeń

równie dobrze może wiele zyskać.

Tak, ale decyzja o tym, gdzie jest granica pomiędzy tym, co należy chronić w 100% (środowisko tego terenu jest niezwykle cenne), a gdzie można bezpiecznie pozwolić na zagospodarowanie, jest szalenie ciężka. To są bardzo trudne decyzje. Momentami mam wrażenie, że póki co więcej o tym projekcie rozmawiamy, niż rysujemy, ale ważne jest dla nas, by wizja, która powstanie, była zbudowana na idei sposobu zamieszkania i użytkowania tej przestrzeni, a nie na tym, że najpierw wstawimy tu kubaturę, a później jakieś drzewa.

Czy takie złożone sytuacje, liczne ograniczenia i wymagania są dla Ciebie bardziej inspirujące?

24

Tak. Należę do osób, które uwielbiają obostrzenia i im więcej, tym lepiej. Nie żartuję! I pamiętam, że już od początku studiów zawsze nam powtarzano, że im więcej obostrzeń, tym lepiej, bo nie ma nic gorszego, niż projektowanie pośrodku niczego, bez kontekstu. I ja się z tym w pełni zgadzam. Nie lubię projektowania jako procesu twórczego na białej kartce. Moim predyspozycjom bardziej odpowiada też rozwiązywanie problemów. W momencie, w którym masz pewne obostrzenia, regulacje, ograniczenia, to są to problemy, które musisz rozwiązać.

Wspominasz o swoich predyspozycjach. Oprócz pracy projektowej w A2P2, wykładasz na uczelni, piszesz do branżowych czasopism i prowadzisz blog o urbanistyce i architekturze. Czy masz poczucie, że to, co robisz inspiruje i przeciera szlaki?

25

Jeżeli mówimy o przecieraniu szlaków, to tak, ale głównie w myśleniu o tym, co może, albo nawet co powinien robić architekt, i – o czym rozmawialiśmy już wcześniej – że architektura to nie jest jedynie projektowanie. Ale myślę też, że ta nasza odwaga w tym, żeby czasami nie proponować rzeczy, które są „technokratyczno-innowacyjno-siłę-przegadżetowane”, a zamiast tego wrócić do źródeł i tradycyjnego projektowania (może z włączeniem w ten proces innych dyscyplin nauki), to faktycznie może to być podejście nowe i świeże. Jednocześnie mam też wrażenie, że specyfika naszego biura i zleceń, które dostajemy jest taka, że trudno tutaj o jakiś jeden utarty styl projektowy za każdym razem musimy trochę inaczej spojrzeć na zadany problem. Trochę jak w kuchni: masz podstawowe składniki, z których jesteś w stanie zrobić bardzo różne dania. W naszym biurze nie robimy żadnej kuchni molekularnej, tylko raczej totalny fusion. Czasem będzie to nawet tradycyjna polska kuchnia, ale z dodatkiem zdrowych śródziemnomorskich produktów i aromatycznych ziół. I chyba właśnie to zróżnicowanie jest naszym znakiem rozpoznawczym.

Czy jesteś odważna?

(śmiech) Myślę, że tak. Przy czym zawsze odwaga ma jakąś wewnętrzną przyczynę i uwarunkowania. Odwaga to jest raczej coś, czym się możesz wykazać, niż coś, co masz. Myślę, że w moim przypadku odwaga wynika dosyć mocno z osobistych ambicji. Z tego, że chcę czasem sama sobie pokazać, że coś potrafię, że sobie z czymś poradzę, że dam radę. I to mnie odważnie pcha do przodu, w stronę niestandardowych rozwiązań, albo do tego, żeby rzucić się na coś, na co pewnie, gdybym miała tych ambicji i odwagi mniej, w życiu bym się nie rzuciła. Myślę, że – tak – jestem odważna.

„Nawet prowadząc biznes,
trzeba coś po sobie zostawić
i to powinno być piękne”.

**z Laurą Hołowacz
rozmawia Paulina Stok-Stocka**

Firma CSL, której jest Pani Prezeską, zajmuje się głównie spedycją morską, ale dla większości szczecinian Pani nazwisko najbardziej kojarzy się z działalnością w Starej Rzeźni i z tym, co w ostatnich latach wydarzyło się na Łasztowni. Chciałbym zapytać o tę część Pani pracy i działalności. Czy to jest coś co Pani lubi, a jeśli tak, to za co? Co sprawiło, że lubi Pani działalność Starej Rzeźni?

29

Stara Rzeźnia jest bardzo bliska mojemu sercu. Spółka CSL nabyła budynek w 2012 roku, zrewitalizowała i w 2015 oddała do użytkowania. Niedawno, 21 marca obchodziliśmy piątą rocznicę działalności. Stara Rzeźnia to dziewiętnastowieczny, przepiękny, zabytkowy budynek zlokalizowany na cudownej wyspie Łasztownia, z zachwycającym widokiem ze strony wyspy na Wały Chrobrego, na Odrę, na Duńczycę. W budynku znalazła siedzibę nasza firma CSL. Natomiast parter to miejsce, gdzie biznes spotyka się z kulturą. Odbywa się w tych przestrzeniach około 250 wydarzeń rocznie: występy, koncerty, wydarzenia biznesowe, działalność społeczna, bo taką też prowadzimy. Działa też restauracja. Stara Rzeźnia to była miłość od pierwszego wejrzenia. Kiedy szukaliśmy nowej przestrzeni dla CSL, pan Zbigniew Antonowicz pokazał mi Starą Rzeźnię i po prostu już wiedziałam, że to jest ten budynek. Wtedy nie wyglądał tak pięknie, był zniszczony, zakurzony, ale miał duszę. To wszystko, co się zdarzyło od tamtego czasu jest źródłem mojej ogromnej miłości do tej przestrzeni, do tego projektu. Nie było łatwo, ale bardzo się cieszę, bo zakończyliśmy rewitalizację, oddaliśmy do użytku budynek, który nazwaliśmy Starą Rzeźnią.

Samo uruchomienie Starej Rzeźni to też bardzo fajny czas. Poznałam bardzo wiele osób: pisarzy, artystów, malarzy, pasjonatów, historyków. Podczas uruchomienia Starej Rzeźni

moje życie się zmieniło, bo przybyła nowa treść związana z tym miejscem. Często chodziliśmy do Starej Rzeźni w sobotę czy niedzielę. Odbywało się tam wiele spotkań z ludźmi, z osobami związanymi z kulturą i kapitanami. Kiedy te tereny były jeszcze zamknięte i niedostępne dla mieszkańców, chodziliśmy na spacer, a jeden z naszych partnerów Jan Dębski opowiadał nam historie o Łasztowni. Były kręcone filmy. Jeszcze przed remontem budynku zorganizowaliśmy wystawę, takie otwarcie tego terenu dla mieszkańców. Przyszło około tysiąca osób. W okresie od budowy do otwarcia była też duża promocja miejsca wśród mieszkańców, rosło zainteresowanie i liczba przyjaciół. Na otwarciu Starej Rzeźni było ich dużo, dużo więcej.

Jeśli dobrze rozumiem, dopóki nie pojawił się na horyzoncie budynek Starej Rzeźni jako potencjalna siedziba firmy, nie myślała Pani o tym, żeby zająć się zmienianiem przestrzeni publicznej.

Nie. Nasza firma logistyczna CSL działa na rynku już ponad 22 lata. W tamtym okresie rozwinęła się i poszukiwała nowych biur, nowych przestrzeni. Wtedy pojawiły się też środki z funduszu Jessica. Fundusz ten był przeznaczony na wsparcie – w formie kredytu na bardzo dobrych warunkach – renowacji przestrzeni, budynków, które były wpisane do Lokalnego Programu Rewitalizacji. Wszystko zaczęło się od tego, że potrzebne były biura. Jednak przestrzeń dedykowaną na działalność biznesową i kulturalną też wpisaliśmy do projektu. Jessica zalecała też działania społeczne i my do tego podeszliśmy bardzo poważnie. Sprawdzający nas przez kilka lat bank potwierdzał, że to ważny i bardzo rozbudowany element projektu. Lubimy tego rodzaju działalność – pomagać ludziom, organizować

ciekawe spotkania, promować markę Szczecina. Starą Rzeźnię traktuję jak wybudowanie domu dla firmy, którą prowadzę. Na wyspie Łasztownia byliśmy pionierami. Po tym jak została zrewitalizowana Stara Rzeźnia, remontów doczekały się kolejne historyczne budynki w pierwszej linii przy ulicy Zbożowej. Wzrosła jakość tej przestrzeni, powstała marina, przystań żeglarska, bulwary. Miasto wyremontowało dźwigi – nasze szczecińskie dźwigozaury. W tej chwili buduje się Morskie Centrum Nauki. Ta przestrzeń bardzo się zmienia, pięknieje z dnia na dzień, a nasz budynek się w to wszystko wpisuje. Oczywiście jest tu nadal wiele obiektów, które czekają na rewitalizację, na kogoś, kto je pokocha. Po remoncie zabytkowego XIX-wiecznego kompleksu Rzeźnia Miejska może być jednym z najpiękniejszych miejsc w Szczecinie, do których jeszcze bardziej będą chcieli przychodzić ludzie, które przyciągać będzie turystów.

Rewitalizując Starą Rzeźnię, na ile mieliście Państwo wolną rękę, a na ile trzeba było się dostosować do zewnętrznych planów i wizji? Czy w momencie zakupu budynku był jakiś kompleksowy plan rozwoju i rewitalizacji Łasztowni?

Teren Starej Rzeźni był zamknięty. Była brama, strażnica, łańcuch, nie było dróg, latarni. Jeśli chodzi o sam budynek, to jest to cudna historia: w 2007 szczeciński pisarz i architekt Leszek Herman stanął tyłem do wielkiego statku pasażerskiego The World, spojrzął na dzisiejszą Starą Rzeźnię i stwierdził, że to jest budynek, którego renowację, konserwację chciałby zaprojektować. W 2012 r., nie znając jeszcze tej historii, za namową mojego współnika, zaprosiłam biuro projektowe Leszka Hermana na spotkanie. Trochę się obawiałam, że zaproponują cenę, która będzie poza naszym

zasięgiem, ale kiedy zobaczyłam ich ofertę, zdecydowałam, że działamy. Miłość projektantów do tego miejsca sprawiła, że koncepcja wnętrza budynku jest wspaniała. Bardzo duży wpływ na ostateczny kształt Starej Rzeźni miały też Weronika Jamioł i Monika Gajda. Po licznych rozmowach ze mną i pracownikami CSL, przemyślały i zadbały o wszystkie detale. Natomiast jeśli chodzi o architektów, ja nawet nie do końca wiedziałam, jak oni to zaplanowali, bo nie miałam aż takiej wyobraźni. Po prostu spotkałam bardzo dobrych ludzi i powstało niezwykle miejsce.

Sam budynek Starej Rzeźni jest pod opieką konserwatora zabytków, z którym się konsultowaliśmy. Pani Małgorzata Gwiazdowska, która była wtedy konserwatorem zabytków, też kochała ten budynek i podchodziła do procesu renowacji otwarcie i konstruktywnie. Mieliśmy bardzo duże wsparcie ze strony Urzędu Miasta i konserwatora.

Obecnie Stara Rzeźnia to tylko jeden z budynków całego kompleksu rzeźni miejskiej. Czy kiedy zaczynała się rewitalizacja był jakiś plan dotyczący pozostałych budynków?

Nie było konkretnego planu. Był miejscowy plan zagospodarowania przestrzennego wyspy Łasztownia. Brak było dokumentów, które określałyby, kiedy plan miejscowy miałby być wdrożony i w jaki sposób. Tak naprawdę do tej pory terminy realizacji kolejnych etapów nie są do końca znane. Niektóre inwestycje już zostały zrealizowane, na inne wciąż czekamy. Wszystko zależy od funduszy Urzędu Miasta i od partnerów. Ta lokalizacja kilka lat temu nie wyglądała zachęcająco. Ludzie mówili: „kto tu przyjdzie”, „jak tu dojechać”. Jeszcze nie jest idealnie, ale coś udało nam się zmienić.

Sama pamiętam, kiedy byłam w Starej Rzeźni zaraz po jej otwarciu. Faktycznie dotarcie do budynku, zwłaszcza kiedy ktoś nie jest zmotoryzowany, było dosyć trudne. Droga była szutrowa, nieoświetlona i łatwo można było się potknąć. Dzisiaj to wygląda zupełnie inaczej. Tak jak wielu mieszkańców mam wrażenie, że Pani decyzja przyspieszyła zmiany na Łasztowni. Czy Pani też ma poczucie, że Stara Rzeźnia przetarła szlak dla pozostałych inwestycji?

Myślę, że faktycznie można tak powiedzieć. Miesiąc po otwarciu Starej Rzeźni, miasto zrobiło drogę dojazdową i chodnik, później przygotowało plac poportowy przed budynkiem, postawiło lampy. Szczególnie w 2017 było widać zmiany, w ramach przygotowań do finału regat The Tall Ship Races. Będąc pionierem pewnie nieco się do tego przyczyniliśmy. Bardzo się cieszę, że teraz są bulwary, przystań, że po obu stronach Odry toczy się życie, że te miejsca pełnią funkcję rekreacyjną.

Oprócz głosów sceptyków, kwestionujących zasadność tej inwestycji, czy spotkała się Pani jeszcze z jakimiś negatywnymi opiniami, zanim ta inwestycja ruszyła?

Pewnie były takie opinie, ale ja ich nie szukałam. Mój mąż trochę czytał na różnych portalach, ale mnie to nie interesowało. Miałam swój cel, już widziałam w tym dobrą rzecz, czułam, że moje zamierzenia się spełnią, więc nie zakładałam, że nam się nie uda. To nie jest też tak, że jestem osobą pewną siebie ponad wszystko. Zbierałam wiadomości, które przychodziły z Urzędu Miasta, wiedziałam na jakie wsparcie mogę liczyć, obserwowałam plan rozwoju miasta

i wiedziałam, że Łasztownia będzie się krok po kroku rozwijała.

Stara Rzeźnia jest też o tyle ciekawym przykładem, że nie tylko zmieniła przestrzeń publiczną na Łasztowni. Niezwykle inspirujące jest też połączenie funkcji biznesowej, siedziby firmy, z otwartością na działalność kulturalną i społeczną. Wiem, że to wynika częściowo z wymagań funduszu Jessica, ale mam też wrażenie, że nie podeszliście Państwo do tematu na skróty, że ta działalność jest dużo szersza, niż można byłoby oczekiwać. Czy myśli Pani, że przykład Starej Rzeźni miał wpływ na innych szczecińskich przedsiębiorców, zainspirował ich chociażby do refleksji o miejscu, w którym prowadzą działalność w kontekście otwarcia na lokalną społeczność, rozwijania społecznej odpowiedzialności biznesu?

Faktycznie, ten aspekt naszej działalności został dostrzeżony. CSL został nawet w tym roku nominowany do nagrody za społeczną odpowiedzialność biznesu, właśnie za działalność wokół Starej Rzeźni. Uważam, że każdy ma na CSR swoje własne spojrzenie. Jeśli kogoś prywatnie nie interesuje sztuka, kultura, historia, to na takie rzeczy nie będzie otwarty. Różni przedsiębiorcy angażują się na różny sposób i każdy z nich jest dobry. Każda pomoc jest ważna. Ja o Starej Rzeźni mówię, że to nie jest budynek z cukru ani z soli, ale z tego co nas boli. Generalnie projekty, które mają pomóc ludziom są dla nas bardzo ważne. Cieszę się, że od kilku lat jest organizowany u nas sztab Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy. Jestem dumna z tego, że cała Łasztownia jest otwarta dla dobrych projektów.

Kontekstem naszej rozmowy są zmiany w przestrzeni publicznej. Dla Pani, jako osoby, której działalność biznesowa nie jest związana stricte z funkcjonowaniem w przestrzeni miejskiej, czym jest miasto i miejska przestrzeń publiczna? Jak ją Pani odbiera i jakie ma znaczenie w Pani życiu?

Znaczenie ma ogromne. Kocham Szczecin. Uważam, że to jest piękne miasto, które się wspaniale rozwija. Jest bardzo zielone, z ciekawym układem ulic i przepięknymi, ocalałymi budynkami z XIX wieku – jak chociażby aleja Wojska Polskiego. Cieszę się, że wiele starych willi i pałacików zostało odrestaurowanych, że kamienice są rewitalizowane. Śródmiejski układ urbanistyczny jest wyjątkowy. Trwają tam prace nad usprawnieniem komunikacji. Szczecin jest bardzo przestrzennym miastem. Jego atmosfera nie została zatracona wieżowcami z aluminium i szkła, które pewnie też są potrzebne w naszym życiu.

Szczecińska przestrzeń miejska w centrum jest bardzo dobra do życia, do mieszkania. Jest tu wiele atrakcji, jak chociażby siedziba Filharmonii, muzea, Wały Chrobrego. Uwielbiam Jasne Błonia. Wiosną zawsze z mężem chodzimy tam na spacer i sprawdzamy, kiedy pojawią się krokusy. Ogrodnik miasta pięknie dekoruje Szczecin zielenią. Wydaje mi się, że mieszkając wiele lat w Szczecinie, jeszcze wielu rzeczy nie wiem o swoim mieście. Może jeszcze kiedyś znajdę więcej czasu, żeby się tym głębiej zainteresować.

Czy dobrze rozumiem, że dla Pani miejska przestrzeń publiczna to taka, która ma nam wszystkim poprawić życie? Nie chodzi tylko o jej funkcjonalność, nie służy

tylko do przemieszczania się i zaspokajania zaspokajania podstawowych potrzeb życiowych, ale do poprawienia jakości naszego życia?

Jakość naszego życia to nasze szczęście. Gdybym mieszkała w przestrzeni, która jest zamknięta, gdzie są tylko blokowiska, parkingi i samochody, byłoby to dla mnie przerażające. Zdaję sobie sprawę, że to są dodatkowe koszty, ale uważam, że deweloperzy powinni mieć wizję i dostarczać klientom, mieszkańcom inną ofertę – budować osiedla, które podnoszą jakość życia.

Takie wizjonerstwo, kierowanie się nie tylko rachunkiem ekonomicznym, to też rodzaj odwagi – myślenia o dobrze wspólnym ludzi, którzy z tej przestrzeni będą korzystać.

Tak, myślę że trzeba patrzeć na takie kwestie szerzej, również w kontekście społecznej odpowiedzialności biznesu. Uważam, że nawet prowadząc biznes, trzeba coś po sobie zostawić i to powinno być piękne, przemyślane. XIX-wieczny burmistrz Szczecina, Hermann Haken w kilkadziesiąt lat zbudował ze swoimi architektami przepiękne miasto. Może nie każdy ma aż taką misję, ale warto brać to pod uwagę. Architektura jest czymś wyjątkowym, bo daje nam przeżycia.

A czy są jakieś przykłady zmian w przestrzeni publicznej w Szczecinie, w Polsce, czy nawet w skali międzynarodowej, które Pani uważa za odważne? Może któreś były inspiracją przy renowacji Starej Rzeźni?

Moja turystyka koncentruje się na miejscach z duszą, więc najczęściej odwiedzam miasta związane z historią, gdzie mogę podziwiać zabytki. Z takich subtelnych, ale ważnych zmian wskazałbym Trójmiasto, które nie jest zdominowane przez blokowiska. Widać nowoczesność, charakter, piękny klimat, a nie ma przeładowania przestrzeni wieżowcami – w przeciwieństwie na przykład do Warszawy. Swoją drogą jestem ciekawa, jak odbije się na ludziach przebywanie w miejscach bez otwieranych okien, a jedynie z klimatyzacją – mnie to trochę przeraża. W Trójmieście podoba mi się wkomponowanie nowoczesnych miejsc w to, co istnieje. Na przykład podoba mi się, jak zabudowana została Wyspa Spichrzów.

Jest też wiele ciekawych rewitalizacji budynków pogospodarczych, np. Winnica Turnau, największa winnica w zachodniopomorskim, również łącząca biznes z funkcjami kulturalnymi.

Czy uważa Pani siebie za odważną?

Tak, jestem odważna. Przy czym uważam, że odwaga to dążenie do celu, nie chodzenie utartymi ścieżkami. Ja lubię szukać nowych ścieżek. Oczywiście jestem kojarzona ze Starą Rzeźnią, ale jako CSL wchodzimy teraz w zupełnie inny projekt budowy intermodalnego terminala śródlądowego CCIC Intermodal Depo Dunikowo. Zainwestowaliśmy też w firmę informatyczną. Jestem wielką fanką projektów informatycznych, oczywiście tych dedykowanych logistyce rozproszonej. Lubię spotkania z ludźmi, którzy mają wiedzę w innych niż ja obszarach. W interdyscyplinarnych zespołach powstają nowe pomysły, które napędzają rozwój.

Czyli to jest odwaga nie tylko wyznaczania sobie celów, ale też odwaga wchodzenia w zupełnie nowe tematy i rozwijania się w zupełnie nowych obszarach. Czasem trzeba usiąść do stołu z ludźmi, którzy działają w zupełnie innych branżach, mówią innym językiem i wspólnie kreować pomysły i projekty. A równocześnie trzeba mieć odwagę zostawić swoje dotychczasowe działania w rękach innych osób, wiedząc, że przyświecają im te same ideały i cele.

Po uruchomieniu Starej Rzeźni powstał zespół, który prowadzi Centrum Kultury Euroregionu. Na początku byłam bardzo w niego zaangażowana, ale z czasem coraz mniej mogłam poświęcać na to czasu. Mimo to wiem, że nie jestem sama. Mam za sobą duży zespół ludzi, którzy dzielą moje pasje i którym ufam.

„Przestrzeń publiczna
to żywe miejsce, w którym
przecinają się relacje”.

**z Anną Hryniewiecką
rozmawia Marta Urbańska**

Funkcję Dyrektorki Centrum Kultury ZAMEK w Poznaniu pełni Pani od 2012 roku. Wcześniej, przez ponad 10 lat, była Pani Zastępczynią Dyrektora ds. Programowych tej instytucji. Za co lubi Pani swoją pracę?

Najbardziej za to, że nie jest to praca jedynie moja, lecz całego zespołu. Pracuję z ludźmi, od których wiele się uczę – również od tych znacznie młodszych, właściwie z innego pokolenia. Równolegle z tym, że mam szansę uczyć się od innych, jestem w stanie ich do czegoś pociągnąć, zainspirować, w coś zaangażować. Potrafimy z pełnym przekonaniem realizować razem projekty – ustalić wspólne cele i robić tą dobrą energię razem, wspierając się przy tym. To jest coś, co w tej pracy lubię najbardziej – pracę z zespołem. Robimy to dla ludzi. Ludzi, którzy będą chcieli razem z nami korzystać z tego, co wspólnie wymyślimy. W najszerszej perspektywie jest to praca z ludźmi dla ludzi.

43

Kiedy kończyłam studia historii sztuki, wydawało mi się, że będę pracować w przestrzeni naukowej, jednak stało się zupełnie inaczej. Najpierw trafiłam do radia, później do telewizji, a dopiero potem do Zamku. I tu już zostałam. To ogromne szczęście, że robię na co dzień rzeczy, które są ważne dla innych ludzi. Oczywiście tu nie chodzi o sprawianie sobie nawzajem jedynie przyjemności, ale o to, że odczuwa się wspólne sensy. To jest dla mnie bardzo ważne.

Jak to się stało, że z przestrzeni naukowej trafiła Pani do miejskiej przestrzeni publicznej?

Zupełnie przypadkiem! Po prostu nie było dla mnie pracy w muzeum... (śmiej). To był taki czas, gdy rynek pracy był

bardzo wąski. Zaczęłam szukać pracy, kiedy wychowałam już dwójkę dzieci. Wiedziałam, że praca na uczelni nie jest dla mnie, za to bardzo chciałam pracować w Muzeum Narodowym. Robić wystawy, badać kolekcje. Jednak tej pracy nie było i zaczęłam się rozglądać za innymi ofertami. Odpowiedziałam wówczas na ogłoszenie prywatnego radia, bardzo ważnego wówczas w Poznaniu, i na drodze konkursu dostałam posadę. Natomiast w Zamku znalazłam się produkując wystawę grafik Salvadora Dali. Był 1999 rok i to była pierwsza tak wielka wystawa w mieście. Obejrzało ją kilkadziesiąt tysięcy ludzi. Po tym doświadczeniu, ówczesny dyrektor CK ZAMEK zaproponował mi pracę na pełen etat i podjęłam to wyzwanie. W trakcie mojej pracy w Zamku – dosyć naturalnie – rozumiana w wielu wymiarach przestrzeń stała się dla mnie bardzo ważnym zagadnieniem. Traktuję Zamek jako część przestrzeni publicznej. Nie rozdzielam tych dwóch sfer, absolutnie! Dla mnie Zamek jest przestrzenią publiczną i to jest jego najważniejsza definicja. Pracujemy zespołowo dla ludzi, ale też dla tej przestrzeni. Jesteśmy miejscem, w którym przecina się wiele szlaków, dokonuje się wiele spotkań, buduje wiele relacji. To największa wartość tej przestrzeni. W Zamku odbywa się prawdziwe, realne spotkanie ludzi.

Jak rozumie Pani miasto?

Miasto to miejsce życia ludzi, w którym musimy się dobrze czuć, gdzie możliwe jest też spełnianie funkcji życiowych. To tkanka, która powinna być tak projektowana, by miasto narastało w przyjazny sposób. Byśmy mogli – tak jak mówi Jan Gehl – żyć między domami, czy – jak mówi Jane Jacobs – przechadzać się po ulicach, spotykać się. Najważniejsze w mieście jest to, by było to miejsce przecinania się różnych dróg ludzkich i spotykania się, bycia ze sobą. To daje ludziom

poczucie szczęścia. Ten wektor, faktor szczęśliwości bardzo wiele mówi o tym, jak funkcjonuje dane miasto.

CK ZAMEK jest instytucją aktywną, również miejsko, miastotwórczo. Czy wśród dotychczasowych projektów pamięta Pani taki, który okazał się najbardziej kontrowersyjny i dyskutowany, o który musiała Pani zaważać?

Takich projektów i działań było w Zamku sporo. Natomiast jeżeli mówimy wprost o przestrzeni, to na pewno będzie to działanie na rzecz rewitalizacji ulicy Św. Marcin w Poznaniu. To również było przedsięwzięcie zespołowe, ale już nie tylko w zamkowym gronie, lecz w grupie ludzi, którzy wokół tego projektu się znaleźli: naukowcy, artyści, działacze miejscy, urzędnicy... Mam wrażenie, że przy tym projekcie było najwięcej emocji, najwięcej oczekiwań, najwięcej trudnych pytań i też, niestety, największego poczucia przegranej.

Wokół tego projektu, a później jego realizacji, rzeczywiście narosło wiele kontrowersji. Zarzuca się mu zbyt dużą... ostrożność. Czy Pani zdaniem mógł być odważniejszy?

Zdecydowanie! Zajęliśmy się tą ulicą m.in. dlatego, że mieści się przy niej Zamek. Działamy tutaj i zawsze byliśmy tu obecni, np. co roku, w sposób symboliczny, 11 listopada hucznie obchodzimy jej imieniny. Mieszkańcy ulicy są naszymi sąsiadami, można nawet powiedzieć, że to mieszkańcy Zamku, bo bardzo często w nim bywają.

Uznaliśmy, że to nasz obowiązek, nasza misja i zadanie, ale też, nazwijmy to brzydko – nasz interes, żeby zająć się ulicą, przy której mieszkamy, zadbać o jej kształt i sposób funkcjonowania. Mówię tu o zmianie z martwego, zaniedbanego miejsca w – może nie salonowe – ale żywe miejsce, w którym przecinają się relacje, o których mówiłam wcześniej, a które są najważniejsze dla dobrze funkcjonującej przestrzeni publicznej. Tak jak pisze Jane Jacobs w swojej książce „Życie i śmierć wielkich miast Ameryki”:

najważniejsze w mieście jest to, co się dzieje na ulicy, która jest niejako tkanką życia. W ten sam sposób myśleliśmy o ulicy Św. Marcin. Że nie może dalej być martwym punktem, przez który jedynie przejeżdża się jak najszybciej, traktuje tranzytowo, niemal jak arterię. Chcieliśmy, by ta ulica była przede wszystkim miejscem przyjaznym, miejscem życia, spotkania, działania, ale także miejskim wyzwaniem. Dla nas, jako ludzi, którzy działają w sferze kultury, ważne jest rozpoczynanie, inicjowanie rzeczy, które służą działaniom, nazwijmy to najprościej, kulturotwórczym. Które mobilizują artystów do tego, by tworzyli nowe wartości, by podejmowali wyzwanie. By w odpowiedzi na potrzeby miejsca, chcieli w nim być i wchodzić w interakcję z mieszkańcami, rozmawiać z nimi. Tak właśnie myśleliśmy o ulicy Św. Marcin – jako o miejscu żywej tkanki miejskiej, przyjaznej i dobrej dla mieszkańców, ale także jako o miejscu eksperymentu, poligonie artystycznym, gdzie mogłyby funkcjonować projekty związane ze sztuką w przestrzeni publicznej. Projekty, które są zmienne, dynamiczne... żadne martwe rzeźby i pomniki. Wyobrażaliśmy sobie też, że może w niektórych wolnych lokalach artyści mieliby swoje pracownie. Choć tutaj jest to oczywiście kwestia wyważenia, żeby nie pójść w kierunku gentryfikacyjnym, bo to jest stara pułapka. Krótko mówiąc, myśleliśmy o tej przestrzeni z jednej strony w sposób bardzo racjonalny, wręcz banalny, normalny, ludzki, zwykły, ale z drugiej, jak o takim miejscu, gdzie byłby odpowiedni klimat dla kultury. To jest materia, w której

działamy i stąd nasze marzenie, by wyjść na zewnątrz i namawiać artystów do działania w tej przestrzeni.

47

Odbyło się mnóstwo rozmów, spotkań z urzędnikami na każdym szczeblu. Wiele, wiele razy w wielu wymiarach dyskutowaliśmy o tej przestrzeni, o potrzebach mieszkańców. Może Pani sobie wyobrazić spory: więcej miejsc parkingowych, mniej miejsc parkingowych; więcej zieleni, mniej zieleni; i urzędnicy, którzy mówili, że się nie da, ale będą próbowali. Rozpoczęliśmy (my, CK ZAMEK) tę dyskusję o konieczności zmiany ulicy Św. Marcin i prowadziliśmy ją w sposób naprawdę intensywny i z ogromnym zaangażowaniem. W końcu udało nam się namówić Miasto do tego, by zajęło się tym problemem. Tak realnie i bardzo konkretnie: najpierw badając, angażując się wspólnie z nami w tworzenie np. Koalicji Św. Marcin. Natomiast w pewnym momencie ta inicjatywa, czy już później proces projektowy i realizacja koncepcji, zostały całkowicie przejęte przez władze miejskie. Niby wszystko odbywało się w konsultacji społecznej, ale tak naprawdę to Miasto miało wszystkie narzędzia w ręce. Mam wrażenie, że gdzieś została przerwana nić wspólnego działania, myślenia, projektowania tej przestrzeni. W rezultacie, zostaliśmy w tym całym procesie takimi... konsultantami bez prawa głosu. Albo z małym, bardzo małym głosem.

Kiedy patrzę na tą przestrzeń, mam poczucie straconej szansy. Także jeśli chodzi o życie, które jest na tej ulicy. A właściwie, którego jeszcze nie ma. Architektura, zmiana nawierzchni, urządzenie tego miejsca, to jest tylko pierwszy krok. Teraz chodzi o to, żeby tam zafunkcjonowali ludzie. Obecność ludzi w danym miejscu to najlepszy sprawdzian na to, jak i czy ono funkcjonuje.

Czy w Pani odczuciu można tu w ogóle mówić o rewitalizacji?

Nie. Rewitalizacja to jest zmiana, która sprowadza ludzi, która czyni miejsce żywym. Takim, w którym mieszkańcy, użytkownicy czują się u siebie i chcą tam być. To miejsce na razie tylko w małym stopniu spełnia te postulaty i realizuje funkcje, które wynikają chociażby z definicji rewitalizacji. Póki co mamy namiastkę. To pewnie też wymaga czasu i nie można tak bezwzględnie podejść do tej realizacji. Nie wszystko może się zdarzyć natychmiast. Pytanie jednak brzmi, czy to, co jest teraz, ma wystarczający potencjał do rozwoju. Tu mam wątpliwości. Niestety. Dlatego mówię o tym wszystkim w kategoriach straconej szansy. Może też jest tak, że kiedy oczekiwania ścierają się z rzeczywistością, jako aktywni odbiorcy jesteśmy później bardziej refleksyjni, otwarci i skłonni do działania. Może uzbrajamy się w jeszcze większy potencjał energetyczny i kompetencyjny, więc może to, jak jest teraz, jest okej. Może od tego miało się zacząć.

Może Św. Marcin stanie się takim laboratorium Poznania, przestrzenią eksperymentów i badań, miejscem przeobrażeń?

Tak. Myślę, że on powinien mieć taką zdolność do zmiany, rozwijania się. Najlepiej wraz z naszymi oczekiwaniami (śmiech).

Na Św. Marcinie zabrakło odwagi. Czy jest taki projekt, który Pani zdaniem ma wszystkie cechy odważnej przestrzeni decyzji w mieście?

Nie mam wszystkich kompetencji w zakresie krytycznego odbioru przestrzeni miejskiej, nie mam też ogromnych doświadczeń. Owszem, lubię podróżować, ale przede wszystkim mam ogromną potrzebę kontaktu z naturą. Uwielbiam zabytki, uwielbiam muzea, ale jak czuję, że jest jakaś przestrzeń oddechu, to w takiej przestrzeni się najlepiej czuję. I kiedy myślę sobie o czasach, kiedy jeździłam jako studentka do Paryża i spędzałam tam wiele miesięcy, to przypomina mi się, że już wtedy ogromne wrażenie robiły na mnie parki tworzone na dawnych liniach kolejowych, tzw. parki linearne. W moim odczuciu to właściwa forma oddania honoru naturze. Pokazujemy, że kiedyś, w przeszłości zagospodarowaliśmy przestrzeń w taki, a nie inny sposób, odciskając piętno człowieka na naturze, czasem wręcz popełniając na niej gwałt a teraz na powrót projektujemy w tym miejscu zieleni. I to mi się bardzo podoba. Nie wiem, czy powiedziałabym, że to jest odważne, pewnie bardziej naturalne, ale to przyznawanie się do pierwszeństwa natury robi na mnie duże wrażenie.

Wspomniała Pani o misji. Zapytam, może trochę przewrotnie: czy obecna misja CK ZAMEK to Pani osobista misja, którą zaszczepiła w Zamku, czy może misja Zamku stała się również Pani misją?

Zrobię sobie przyjemność w tym trudnym, pandemicznym czasie i przyznam, że teraz, po latach bycia dyrektorką Zamku, mam poczucie, że udało mi się przekonać, i to bez gwałtów (!), ludzi, zespół do tego, byśmy wspólnie tę misję Zamku tworzyli. Ale nie ma co kryć, że jest to troszkę przekonanie również do swojej osobistej wizji. I, tak, mam ogromną satysfakcję, że udało mi się w jakimś stopniu przełożyć własne myślenie o świecie na działalność CK ZAMEK...

...I dzięki temu myśleniu, stał się w końcu taką instytucją, jaką być powinien i wyszedł poza swoje mury. Stał się częścią przestrzeni miasta. Czy czuje Pani wobec tego, że pokazuje, w którą stronę kultura w Polsce powinna zmierzać?

To, co jest dla mnie bardzo ważne, to konieczność stałego uczenia i rozwijania się. Musimy obserwować rzeczywistość i reagować na nią. I ta obserwacja rzeczywistości, czujność, to dla nas podstawowa kwestia. Bez tego, jeżeli zamkniemy się jedynie w swoim planie i będziemy go realizować bez obserwowania rzeczywistości, to myślę, że jesteśmy pogubieni. W Zamku staramy się być czujni. Działa tu naprawdę świetny, zarówno młody jak i starszy, doświadczony zespół. Wiemy, że udaje nam się razem zrealizować wiele ważnych spraw i nie mówię tu o dużych wystawach, lecz przede wszystkim o takich codziennych działaniach. Zamek to codzienna, organiczna praca, też w bardzo dużym wymiarze edukacyjna. Udaje nam się pokazywać rzeczy, które są społecznie ważne, np. bardzo wielką uwagę zwracamy na dostępność programu, w wielu wymiarach. Staramy się, żeby wszystko co robimy, było w miarę możliwości dostępne np. dla osób z niepełnosprawnościami: organizujemy pokazy filmowe z audiodeskrypcją, spotkania i wykłady tłumaczone są na polski język migowy, treści i materiały, które udostępniamy w internecie również stają się coraz bardziej dostępne. Dla nas to warunek dobrze funkcjonującej przestrzeni publicznej. Zwracamy uwagę na kwestie, które dotychczas były pomijane albo może nie dość poważnie, nie dość uważnie traktowane. Myślę, że ta czujność i wrażliwość społeczna nam się udają. I w tym sensie, kiedy pytała pani o to, czy wyznaczamy jakieś kierunki, można powiedzieć, że w wielu sytuacjach mamy wrażenie, że tak jest. Ale nie robimy tego po to, żeby wyznaczyć nowe trendy, tylko dlatego, że, tak mi się wydaje,

potrafimy być refleksyjni i... nie najgłupszy (śmiech).

Czy w swoich działaniach macie Państwo wolną rękę?

Nie mam poczucia, że ktoś lub coś nas ogranicza. Oczywiście poza racjonalnymi sprawami, takimi jak budżet, ograniczają nas nasze możliwości i wyobrażenia. Liczy się też odpowiedzialność. Odpowiedzialność za to, jaką mamy misję: że musimy być dla ludzi i z ludźmi, tworzyć miejsce publiczne, w którym będą chcieli przebywać, spotykać się. Mamy bardzo ważną dla nas misję edukacyjną, by wyrównywać szanse, podnosić społeczną świadomość i kompetencje. Trzeba to robić w sposób umiętny. Nasze założenia i cele wypracowujemy w sposób odpowiedzialny. To znaczy: staramy się nie robić rzeczy, które wynikają z egoistycznych potrzeb i ambicji, albo robić je w minimalnym wymiarze, a jednocześnie chcemy realizować egoistyczne potrzeby artystów (śmiech). Po to także jesteśmy. Naszym zadaniem nie jest jedynie odpowiadać na potrzeby odbiorców, ale także w miarę możliwości je kształtować, np. zapraszając ludzi do spotkania z wizjami artystów, ze zjawiskami, które są trudniejsze, z którymi nie mieli wcześniej do czynienia, które są dla nich wyzwaniem. Próba ich dotknięcia i zrozumienia poszerza również nasze spojrzenie na świat i na przyszłość. A to jest chyba największe zadanie artystów. Teraz szczególnie wyzwanie przed nimi, w kontekście tego, co się dzieje z naszym światem. Ten świat, który był do tej pory... to już się więcej nie powtórzy. Jesteśmy więc też po to, by dawać artystom i artystkom narzędzia, stwarzać im warunki do pracy, w której twórczo interpretują rzeczywistość, a także tworzą idee i wizje dotyczące przyszłości... To jest pasjonujące! Ale wracając do pierwotnego pytania: nie czuję, że poza budżetem i organizacyjnymi kwestiami, coś nas

ogranicza. Najważniejsza jest odpowiedzialność za to, co robimy i za miejsce, które tworzymy.

Czy jest Pani odważna?

Odwaga nie jest chyba najważniejszą cechą w mojej pracy. Na pewno mogę o sobie powiedzieć, że mam głód życia, głód doświadczania nowych rzeczy. To jest najistotniejszym mechanizmem, motorem mojej pracy.

„Miasto to coś
nierozciągliwego,
co musi pomieścić
niezliczoną ilość
potrzeb, żądań
i wizji”.

z Igą Kalbarczyk
rozmawia Joanna Romaniuk

Pracujesz w urzędzie miasta, zajmujesz się procesem partycypacyjnym, współprowadzisz Pracownię Urbanistyki Społecznej, zajmujesz się prototypowaniem urbanistycznym i współtworzysz projekt Żywa Ulica. Te wszystkie działania wiążą się z miastem, jego mieszkańcami. Za co lubisz to, co robisz? Jaki cel temu przyświeca?

57

Zacznę od tego, za co lubię swoją pracę. Lubię ją przede wszystkim za to, że każdy projekt, w którym biorę udział, jest inny, więc zawsze uczę się czegoś nowego. Tak jest w przypadku pracy w urzędzie w Gorzowie Wielkopolskim, ale przede wszystkim w działaniach związanych z prototypowaniem urbanistycznym. Jestem badaczką terenową, więc ważne jest dla mnie to, że mogę pracować w bezpośrednim kontakcie z ludźmi. Dzięki temu poznaję nowe osoby i ich spojrzenie na miasto. Często między mną a mieszkańcami jest taka fajna wymiana energii – kontakt z nimi jest dla mnie motywujący, a ja zarażam ich chyba chęcią do zabrania głosu, do dyskusji o ich mieście.

Pytałaś też o cele tego, co robię. Wszystkie projekty, w których biorę udział mają charakter partycypacyjny, więc staram się, żeby były jak najbardziej dostępne dla mieszkańców, dla przedsiębiorców, dla wszystkich, którzy chcą się w nie włączyć. Dlatego zależy mi na przejrzystości informacyjnej i na dotarciu do jak największej liczby osób. Ważne jest też, żeby prowadzić badania czy rozmowy w taki sposób, żeby każdy mógł wziąć w nich udział. Chodzi o to, żeby nasze projekty miały ludzki wymiar, a w dyskusji, która im towarzyszy, nie uczestniczyli tylko eksperci, urzędnicy czy aktywiści, ale żeby wszyscy mieli do tej rozmowy równy dostęp.

Czy widzisz związek między przejrzystością, czytelnością i dostępnością prowadzonych działań a zaangażowaniem mieszkańców?

Projekty, które realizujemy, często są katalizatorem energii i zaangażowania ze strony mieszkańców. Tak stało się na przykład w Warszawie na ul. Żąbkowskiej, gdzie po Żywej Ulicy nieznaną się wcześniej mieszkańcy stworzyli fajny, aktywny zespół. Z własnej inicjatywy zorganizowali nawet spotkanie z jednym z urzędników, podczas którego pytali o plany urzędu wobec ich ulicy. To były osoby, które dotychczas nie były aktywne, nie angażowały się ani w budżet obywatelski, ani w konsultacje społeczne. Myślę, że to wynika z charakteru Żywej Ulicy – z tego, że to są działania w skali 1:1. Kiedy ludzie mogą doświadczyć zmian w ich przestrzeni, widzą, że te zmiany są możliwe i że nawet oni sami mogą je wprowadzać.

To co robisz jest dla Ciebie misją czy obowiązkiem?

Jestem w tej grupie osób, dla których praca to zarówno obowiązek, jak i misja. Zawsze chciałam, żeby moja praca była czymś więcej niż chodzeniem na osiem godzin do biura tylko z obowiązku. Ale misja może być przecież różnie postrzegana, niekoniecznie w związku z pracą zawodową.

Skąd w ogóle wzięło się Twoje zainteresowanie miastem? Jak to się stało, że zaczęłaś działać na rzecz miasta i przestrzeni publicznej?

To był przypadek – pierwszy raz miałam styczność z badaniami miejskimi, kiedy zaangażowałam się w Uniwersyteckie Centrum Wolontariatu. Chciałam podszkolić się z prowadzenia badań terenowych, a tematem projektu, w którym brałam udział, były akurat ławki miejskie. W zespole oprócz studentów i studentek socjologii były też osoby z gospodarki przestrzennej – i tak poznałam koleżankę, która wciągnęła mnie w Żywą Ulicę. Więc, jak widać, warto działać w zespołach interdyscyplinarnych!

W projektach, które realizujesz, zwłaszcza w ramach Żywej Ulicy, miasto można traktować jako surowiec do pracy i eksperymentu. Wprowadzasz rozwiązania, których ludzie sobie wcześniej nie wyobrażali. Czym właściwie jest dla Ciebie przestrzeń publiczna?

Po moich doświadczeniach z projektów opartych na prototypowaniu postrzegam ją przede wszystkim jako przestrzeń ograniczoną wobec liczby potrzeb wskazywanych przez jej użytkowników. Ludzie zgłaszają różne i często sprzeczne żądania, które ciężko ze sobą pogodzić. Mówią na przykład, że chcieliby, żeby na ich ulicy było dużo drzew, ławek, miejsc do zabawy dla dzieci, ogródków kawiarnianych i żeby każdy miał zapewnione miejsce parkingowe. Tak się nie da, bo ich ulica się nie rozciągnie, jest przestrzennie ograniczona. Do tego urzędnicy też mają przecież wizję rozwoju tego miejsca, która może nie być zgodna z oczekiwaniami mieszkańców czy przedsiębiorców.

Czym w takim razie jest według Ciebie odwaga w mieście?

Myślę, że odwagą charakteryzują się osoby, które zarządzają miastem, podejmują kontrowersyjne decyzje ze świadomością, że nie zawsze spotkają się z poklaskiem wszystkich mieszkańców i mimo to biorą na siebie odpowiedzialność za te zmiany. Czerpiąc z doświadczeń z Żywej Ulicy czy innych projektów eksperymentalnych, myślę, że odważne są też osoby, które publicznie zabierają głos w dyskusji na temat ich przestrzeni.

Trzeba podkreślić, że spotkania, które towarzyszą naszym projektom, są zawsze bardzo burzliwe, bo dotyczą różnego rodzaju ograniczeń transportowych. Dla mnie odważni są więc wszyscy mieszkańcy i przedsiębiorcy, którzy zabierają głos w tych trudnych dyskusjach – robią to, mając świadomość, jak bardzo różnią się w poglądach.

Myśląc o odwadze, albo może takiej śmiałości, przychodzi mi do głowy kolędowanie, odwiedzanie mieszkańców w domach, które praktykujecie jako metodę badań społecznych. Wydaje mi się, że to duże wyzwanie, bo po pierwsze rozmawia się z obcymi ludźmi, nie wiadomo jakie będą ich reakcje, a po drugie, wychodzi się poza strefę własnego komfortu, wchodząc w czyjąś przestrzeń prywatną. Czy taki styl pracy z ludźmi, twoim zdaniem, jest też wyrazem jakiejś odwagi?

Tak, zdecydowanie. Odwiedzanie ludzi w domach, które nazywamy kolędowaniem, na pewno wymaga odwagi, czy raczej – tak jak powiedziałaś – śmiałości. Przypomniało mi się teraz moje pierwsze kolędowanie na ul. Ząbkowskiej i Wileńskiej w Warszawie i to uczucie niepewności – kto otworzy drzwi, jak nas przyjmie, czy będzie chciał rozmawiać? Kolędowanie na warszawskiej Pradze okazało

się jednak na tyle przyjemne i efektywne, że wizyty u mieszkańców są ważnym elementem pracy w każdym kolejnym mieście.

Kiedy rozmawiamy o metodach konsultacyjnych, to myślę, że w przypadku prototypowania odważni są również eksperci, urzędnicy i moderatorzy, którzy biorą udział w spotkaniach dyskusyjnych. Emocje sięgają tam zenitu, a mieszkańcy i przedsiębiorcy nie szczędzą krytyki, często bardzo nieprzyjemnej.

Nawet jeśli to nie jest wina prowadzącego spotkanie, to zawsze na kogoś musi spłynąć ta fala, ktoś to musi odebrać.

Tak, to, z jednej strony, wymaga odwagi czy odporności psychicznej, ale, z drugiej, jest stałym elementem tej pracy. Wprowadzanie zmian transportowych, nawet w formie testowej i tymczasowej, zawsze spotyka się z dużym oporem. Różnice potrzeb, różnice zdań w sytuacji eksperymentu prowadzą do konfliktów, które są trudne, ale w tych projektach konieczne i pożądane – po to, żeby uzyskać kompromis w sytuacji testu, kiedy da się jeszcze wprowadzić zmiany w koncepcji projektowej. Konflikt jest wpisany w partycypację, więc także w Żywą Ulicę i inne projekty eksperymentalne. Ważne jest, żeby konfliktami przestrzennymi sprawnie zarządzać i czerpać z nich wiedzę.

Czy potrafisz przywołać sytuację, która wiązała się z największym oporem, była dla ciebie w pewien sposób szokująca?

Silny opór pojawia się za każdym razem, kiedy ludzie zmuszeni są do zmiany przyzwyczajeń. Kiedy pytasz o najbardziej szokującą sytuację, to przypomniało mi się, jak uczestnik jednego ze spotkań rzucił urzędnicze w twarz kartką. Koleżanka prowadziła ze mną spotkanie, a pan zniecierpliwiał się, że musi czekać na swoją kolej w zabraniu głosu. No i tak postanowił wyrazić swoje niezadowolenie, po czym wyszedł ze spotkania.

Ja staram się zapamiętywać przede wszystkim przyjemne sytuacje, ale jak widać, nasze projekty są katalizatorem zarówno pozytywnych, jak i negatywnych emocji. Pojawiają się i hejt, i takie skrajne zachowania, jak rzucanie kartką w twarz urzędnicze...

To na pewno duże obciążenie emocjonalne. Czy masz momenty kryzysu, utraty wiary w to, co robisz albo nawet w ludzi?

Tak, tego typu sytuacje często wiążą się z dużym obciążeniem emocjonalnym. Ale mam to szczęście, że pracuję w zgranym zespole, w którym doskonale się znamy i potrafimy wspierać w trudnych momentach. Wiadomo, wszyscy jesteśmy ludźmi, ale staramy się podchodzić do tego profesjonalnie i nie brać do siebie tych negatywnych emocji. Trzeba też podkreślić, że reakcje ludzi są bardzo różne. Zależą na przykład od sytuacji rozmowy – czy rozmawiamy jeden na jeden, czy to jest rozmowa w grupie, na spotkaniu. Takie rozmowy wyglądają zupełnie inaczej, bo inaczej działają emocje jednej osoby, a inaczej emocje w grupie. Wiem, jak to działa i dlatego nie straciłam wiary w ludzi. Rozumiem też te negatywne reakcje. Nasze projekty wprowadzają różne ograniczenia, które na przykład przedsiębiorcom wydają się

zagrożeniem dla biznesu. Mają swoje przekonania dotyczące tego, co jest dla nich najlepsze. Te poglądy często stoją w sprzeczności z wizją, którą proponują urzędnicy i eksperci – wizją opartą na sprawdzonych rozwiązaniach z innych miast. Mimo to, ludzie czują strach przed zmianami – nawet tymi, które wprowadzane są testowo. Dlatego negatywne emocje są tak silne i zawsze obecne w naszych projektach.

Do jakiego momentu można Twoim zdaniem znosić opór i niezadowolenie mieszkańców i mimo to działać? Kiedy należy odpuścić?

To zależy czego dotyczy sprzeciw. Prototypowanie służy wdrażaniu przyjętej wizji rozwoju miasta i wypracowane rozwiązania nie mogą być z nią sprzeczne. Zazwyczaj jest to wizja ograniczania ruchu samochodowego. Jeśli więc w trakcie konsultacji pojawiają się głosy, że miasto ma służyć kierowcom, że zamiast ograniczać ruch aut, trzeba budować parkingi, to niezależnie od tego, jak opór jest silny, trzeba tę wizję realizować. Staramy się rozmawiać nie o tym, czy w ogóle ograniczać ruch aut, ale w jaki sposób to zrobić, żeby pogodzić interesy różnych grup. Niestety czasami dyskusja nie posuwa się do przodu, bo ludzie powtarzają postulaty niezgodne z polityką miasta – na przykład „chcemy wielopoziomowych parkingów w centrum”. Jeśli urząd wcześniej podjął decyzję, że tego typu parkingi nie będą budowane, to z takiej dyskusji nie wybrniemy w sposób kompromisowy. Ktoś musi określać kierunek rozwoju, podejmować decyzje i nie robi tego po to, żeby zadowolić wybraną grupę czy większość osób uczestniczących w spotkaniach. Na szczęście jest i tak, że znajdujemy pole do dyskusji. Kwestią, którą uzgadniamy, jest na przykład funkcjonowanie dostaw. Tutaj mamy pewną elastyczność –

dowiadujemy się, jak często towary są do przedsiębiorców przywożone i gdzie ulokować dla nich miejsca postojowe, żeby dostawa mogła odbyć się sprawnie. To jest przykład tematu, o którym możemy dyskutować, bo nie jest sprzeczny z ogólną wizją – nie zastanawiamy się, czy ją wdrażać, ale w jaki sposób to robić, żeby przedsiębiorcy mogli bez problemu działać. A jeżeli mamy spór na temat kierunku polityki miasta, to niestety nie zadowolimy wszystkich. I tu trzeba być konsekwentnym, bo ktoś musi podejmować decyzje.

Jakie miejskie decyzje są Twoim zdaniem najodważniejsze?

Najodważniejsze decyzje to te, które zmuszają mieszkańców miasta do zmiany przyzwyczajeń – one są najtrudniejsze. Często są to decyzje związane właśnie z ograniczaniem ruchu aut. W wielu miastach wobec nich jest ogromny opór, więc myślę, że podjęcie ich jest tym bardziej odważne.

Wróć jeszcze do Żywej Ulicy. Skąd dostajecie największe wsparcie, skąd ono płynie? Czy to zazwyczaj jest miasto czy jednak mieszkańcy?

Wsparcie płynie często ze strony mieszkańców i nie tylko – po prostu od osób, które popierają te działania. To są często przechodnie, ale również przedsiębiorcy, bo też nie chciałabym, żeby z naszej rozmowy wynikało, że przedsiębiorcy zawsze są przeciwni. Zazwyczaj są przeciwni, ale są wśród nich też osoby czujące klimat zmian, które urząd proponuje, a my wprowadzamy. Popierają je,

bo widzą w nich szansę dla swojego biznesu.

Często na spotkaniach, które prowadzimy, pojawia się zarzut, że większość osób jest przeciwna tego typu zmianom, a mimo to je wdrażamy. W spotkaniach w większości przypadków biorą udział przeciwnicy projektu, manifestują swoje niezadowolenie i ich głos słychać najbardziej. Ale oni nie reprezentują wszystkich. Osoby, które popierają zmiany nie pojawiają się na spotkaniach, bo dla nich wszystko jest OK. Ich wsparcie nie jest więc słyszalne tak, jak sprzeciw pozostałych. Dlatego ważne jest, żeby dotrzeć – czy za pośrednictwem kolędowania, czy za pomocą punktów konsultacyjnych – do jak największego grona osób, żeby poznać opinię jak najszerszej liczby użytkowników i nie sugerować się wyłącznie zdaniem tych, którzy przychodzą na spotkania.

65

Wsparciem jest również urząd. Wśród urzędników również zdarzają się osoby, które nie są przekonane do tego typu działań, ponieważ prototypowanie jest dość nową metodą. Mimo to, urząd zawsze jest silnym i koniecznym wsparciem. Trzeba pokazać mieszkańcom, że zmiany w ich okolicy nie są fanaberią osób spoza ich miasta – z takim zarzutem też często się spotykamy. Ale to nie tak, że przyjechała dziewczyna spod Warszawy, przyjechał gość z Katowic czy Szczecina i robią sobie tutaj rewolucję. Dlatego w naszych spotkaniach biorą udział urzędnicy, prezydenci miast – razem rozmawiamy z ludźmi, odpowiadamy na pytania i próbujemy pokazać dobre strony przyjętego przez miasto kierunku zmian. To jest zawsze bardzo ważne.

Czy masz poczucie, że wyznaczasz swoją działalnością nowe kierunki? Pokazujecie, że da się zrobić rzeczy,

64

które wcześniej wydawały się nie do zrobienia.

Myślę, że tak. Prototypowanie urbanistyczne zmienia porządek tradycyjnego modelu projektowania przestrzeni. Wprowadza element testowania w skali jeden do jeden i powtarzania cykli testowych. To jest zupełnie inne spojrzenie na wdrażanie zmian w mieście. Nie konsultujemy z ludźmi tego, co widać na mapie albo makiecie, tylko rozmawiamy z nimi i badamy ich zachowania w sytuacji rzeczywistej zmiany, więc otrzymujemy informacje projektowe zupełnie innej, lepszej jakości. To jest nowe podejście i w takim metodologicznym sensie myślę, że faktycznie przecieramy szlaki, wyznaczamy nowe kierunki.

Pewną nowością jest też to, że pracujemy w zespole interdyscyplinarnym i wszyscy jesteśmy włączeni w każdy etap projektu. Kiedy ja prowadzę badania społeczne, kołędowanie, to projektanci i urzędnicy na bieżąco śledzą ich wyniki – wiedzą jakie są nastroje, mogą też wykorzystać jakieś informacje z tych badań do stworzenia prototypu. A kiedy nasz zespół projektowy opracowuje prototyp, to muszę wiedzieć o nim wszystko – żeby wiedzieć, o czym ludzi informować, jak z nimi rozmawiać i czemu się przypatrywać w trakcie testu. Więc cały czas, na każdym etapie, pracujemy wspólnie. To jest świetne – taka moc interdyscyplinarnego zespołu. Uważam, że w kontekście wdrażania zmian w mieście, pracy urzędu i zespołów projektowo-konsultacyjnych powinno się promować interdyscyplinarność.

Jaka Twoim zdaniem jest szansa, że w najbliższych latach interdyscyplinarność i wynikające z niej modele projektowania będą używane na szeroką skalę?

Myślę, że spora. Obserwuję to, co dzieje się np. w Warszawie. Tam w niektórych procesach konsultacyjnych narzucona jest współpraca badaczy z projektantami. Obecność architekta jest wymagana np. na etapie prowadzenia warsztatów z mieszkańcami. W innych miastach zdarza się, że projektanci współprowadzą konsultacje społeczne. To jest dobre, ale to jeszcze nie to, co proponujemy w ramach prototypowania, gdzie działania badawcze i projektowe są ze sobą ściśle powiązane.

Teraz z powodu pandemii spotkania konsultacyjne są zawieszane. Jak podchodzicie do tej sytuacji? Czy przewidujecie prowadzenie ich w formie online?

Tu mogę się wypowiedzieć ze strony Urzędu Miasta w Gorzowie Wielkopolskim. Teraz jesteśmy na etapie budżetu obywatelskiego. W Gorzowie budżet obywatelski ma charakter deliberatywny, ponieważ między naborem i weryfikacją wniosków a głosowaniem odbywają się spotkania dyskusyjne. Dzięki nim mieszkańcy mają szansę dogadać się w kwestii tego, w jakiej formie zgłoszone zadania zostaną poddane pod głosowanie. Mogą pozostać projektami samodzielnymi i wtedy rywalizują między sobą, mogą zostać połączone w pakiety i zwiększają szansę na wygraną. Mieszkańcy danej dzielnicy, mogą też zdecydować, że z ich rejonu pod głosowanie przejdzie tylko jeden pakiet łączący kilka zadań. Wtedy każde z tych zadań ma gwarancję realizacji. Jednak żeby zdecydować się na taki pakiet, autorzy wniosków, które nie zostały w nim uwzględnione, muszą się wycofać – np. pod warunkiem, że w kolejnej edycji to ich zadanie będzie miało gwarancję wygranej. To jest mocna wartość partycypacyjna gorzowskiego Budżetu Obywatelskiego – sprawdzian postaw obywatelskich, zaufania

i umiejętności dyskusyjnych. Dlatego teraz szukamy rozwiązań, które – mimo pandemii – ocali możliwość wypracowania wypracowania kompromisów i łączenia projektów w pakiety. Bierzymy pod uwagę różne możliwości – np. spotkania wyłącznie dla wnioskodawców, spotkania online. Niedawno uruchomiona została platforma służąca do prowadzenia konsultacji społecznych drogą internetową. Na pewno przyda się na wypadek sytuacji takich jak obecna, ale też jako dodatkowe narzędzie.

A co z Żywą Ulicą?

Pandemia pokrzyżowała nam plany. Właśnie w tym tygodniu, kiedy rozmawiamy¹, miało się odbyć testowanie w Jasieniu. Podjęliśmy decyzję, żeby zawiesić działania, ponieważ jak już mówiłam, w prototypowaniu dużą rolę odgrywają bezpośrednie spotkania i rozmowy. Tak więc żadne techniki online nie wchodziły w grę. Mam nadzieję, że niedługo będziemy mogli wrócić do poprzednich planów i w Jasieniu, i w Gorzowie Wielkopolskim.

Nawiązując do tematu naszej rozmowy, czyli kobiet aktywnie działających na rzecz przestrzeni miejskiej, chcę powiedzieć, że gorzowskie Biuro Konsultacji Społecznych i Rewitalizacji, w którym pracuję, tworzą teraz same dziewczyny. Mają nie tylko ogromną wiedzę, ale też ważną dla mnie chęć pracy w bezpośrednim kontakcie z mieszkańcami – także w kontekście rozmów o trudnych decyzjach przestrzennych. Bardzo podoba mi się to, że w Gorzowie Wielkopolskim partycypacja jest kobietą.

¹ Rozmowa została przeprowadzona w połowie maja 2020 roku.

Jak uważasz – łatwiej jest być w działaniach z miastem odważnym czy odważną?

Wydaje mi się, że tutaj płeć nie ma znaczenia. Z moich doświadczeń wynika, że i kobiety, i mężczyźni potrafią zarówno podejmować odważne decyzje dotyczące miast, jak i im sprostać. Zupełnie nie sprawdza się myślenie w kategoriach takich, że mężczyźni łatwiej podjąć trudną decyzję. Często jest tak, że po stronie urzędu siłą napędową dla naszych projektów są kobiety. Płeć nie ma znaczenia również jeśli chodzi o krytykę czy hejt, z którymi się spotykamy. W tego typu kontrowersyjnych działaniach nie ma taryfy ulgowej ani dla mężczyzn, ani dla kobiet.

Czy ty sama uważasz, że jesteś odważna?

Tak, myślę, że jestem odważna, ale mam do tego odpowiednie warunki, bo pracuję w mocnym i zgranym zespole. Pewność, jaką daje bycie w zespole, pomaga mi – jak to powiedziałaś – śmiało kolędować, prowadzić nieraz trudne spotkania i uporać się z krytyką. Mam ten komfort, że mogę być odważna.

„Bój się i rób!”

**z Cecylią Malik
rozmawia Aleksandra Żabowska**

W naszej rozmowie chciałabym skupić się na Twoich działaniach w przestrzeni miejskiej i aktywizmie, ale trudno byłoby oderwać je od Twojego artystycznego backgroundu. Z wykształcenia jesteś malarką, a miasto stanowiło również temat dla Twojej sztuki. Myślę szczególnie o Twoim cyklu obrazów z lat 2005-2009, które powstawały w plenerze. Jak tak długa obserwacja miasta wpłynęła na Twoje myślenie o mieście i przestrzeni publicznej?

W tym czasie byłam studentką na ASP w Krakowie, w pracowni profesora Misiaka. Na Akademii był kult malowania z natury. Do dziś bardzo rzadko korzystam z pracowni. To dla mnie miejsce, gdzie kończy się rzecz. Lubię być w bezpośrednim kontakcie z rzeczywistością, bo wtedy zawsze coś wpada mi do głowy. Pod koniec studiów na Akademii byłam już mamą i chodziłam po Krakowie z jednym dzieckiem w wózku i z drugim za rączkę. Miałam taki dość monotony czas z dziećmi w mieście i łąziłam ciągle jedną drogą. Chodziłam po ulicach bardzo wolno i moją uwagę zaczęły przykuwać okienka piwniczne, studzienki wodociągowe. Te ich wszystkie znaki, błyskawice, pioruny wydały mi się magiczne. Wyglądały jak tajemnicze mandale, których nie rozumiałam. Wynikiem tego był cykl obrazów „Po drodze” i „Po drodze w mieście”.

Postanowiłam, że się odważę i pójdę malować na ulice. O ile malowanie w plenerze jest proste, malowanie w mieście to już duża przygoda. Musiałam bardzo się przemóc, bo wstydziałam się ludzi, gapiów. Ubierałam różowy sweter, bo przeczytałam gdzieś, że różowy kolor nie budzi agresji, siadałam z farbami i paletą i malowałam. To było niesamowicie sensualne doznanie miasta. Zapach ulicy, spalin, szum pomieszany z gorącym powietrzem Krakowa...

Malowanie wyostrza percepcję i tworzy się inny rodzaj skupienia. Zaczynasz doświadczać ulicy zupełnie inaczej niż kiedy jesteś w biegu. Poza tym przychodziło do mnie bardzo dużo ludzi. Przysiadali się i zaczynali rozmowę. Zaczęłam zapisywać ich imiona, nazwiska, telefony i najciekawsze fragmenty naszych rozmów na odwrocie blejtramów. Z jednej strony powstawał obraz, a z drugiej notatka ze spotkania z człowiekiem. Wtedy zrozumiałam, że kręci mnie przygoda, że muszę się przełamać i robić rzeczy, których się boję.

Czy już wtedy poczułaś, że chcesz być nie tylko artystką, ale też aktywistką miejską?

Przełomowy był 2009 i 2010 rok, a właściwie mój projekt „365 drzew”. Pracowałam wtedy w Bunkrze Sztuki, gdzie razem z Anią Bargiel założyłyśmy Mały Klub Bunkra Sztuki i prowadziłam warsztaty. Na któryś z nich chciałam opowiedzieć dzieciom o mojej ulubionej książce, „Drzewołazie” Italo Calvino. Chciałam zrobić ilustracje, więc weszłam na drzewo i na tym drzewie pomyślałam sobie, że będę to robić codziennie. Codziennie wchodziłam na inne drzewo, a jako dowód ktoś inny robił mi zdjęcie – w sumie ponad 50 fotografów, w tym mój mąż, moje dzieci, siostry, znajomi, a kilka razy przypadkowe osoby. To była moja bardzo osobista historia, mój pamiętnik. Przełomowe było to, że zaczęłam publikować te zdjęcia na Facebooku, a to było idealne medium dla tego projektu. Publikowałam codziennie jedno zdjęcie Cecylii na drzewie. Okazało się, że mnóstwo ludzi śledzi mój projekt, zrobił się bardzo znany. Moje zdjęcie na ostatnim drzewie znalazło się na okładce „Wysokich Obcasów”. Zaczęło mi kibicować mnóstwo aktywistów i ekologów postrzegających ten projekt jako bardzo feministyczny czy antykapitalistyczny. Poznałam dzięki temu krakowskich ekologów i aktywistów. Wyskoczyłam z małej

bańki ASP i krakowskich artystów. Zobaczyłam, że Facebook to narzędzie samoorganizacji, a ten projekt stał się dla mnie mostem łączącym sztukę z aktywizmem.

Twoim kolejnym, osobistym, ale też medialnym i szeroko dyskutowanym projektem z tego okresu była również „Ulica Smoleńsk 22/8”.

Zrobiłam ten projekt razem z moją siostrą Justyną Koeke. Faktycznie, drzewa i „Ulica Smoleńsk” to projekty, które poza artystyczną warstwą były zaangażowane, chociaż „Ulica Smoleńsk” była pierwszym projektem zaangażowanym świadomie. Narodził się, bo moi rodzice na skutek reprivatyzacji musieli wyprowadzić się z kamienicy, w której mieszkaliśmy przez 30 lat. Przez dwa tygodnie po wyprowadzce moich rodziców razem z moją siostrą spotykałyśmy się tam z artystami, rozmawialiśmy o gentryfikacji. Powstała z tego polsko-niemiecka wystawa. Przyszło bardzo wielu dziennikarzy, niekoniecznie związanych ze sztuką, aktywiści działający w ruchach lokatorskich. I tak aktywiści ekologiczni poznali mnie przy akcji „365 drzew”, a aktywiści miejscy przy „Ulicy Smoleńsk”.

Ale potem wróciłaś do działań ekologicznych.

W 2011 roku Mariusz Waszkiewicz, najbardziej zdeterminowany i skuteczny krakowski ekolog, teraz już bardzo bliski mi człowiek, na swoim Facebooku umieścił artykuł „Droga i osiedle na Zakrzówku”. Wtedy byłam zwykłą artystką, bardzo rzadko czytałam gazety. Może i miałam charakter aktywistki, ale wtedy nie czułam, że można

zrobić coś widzialnego, słyszalnego, mieć realny wpływ na rzeczywistość. Pomyślałam, że nie zgadzam się na to, żeby na Zakrzówku, w naszym najpiękniejszym miejscu w Krakowie, powstało osiedle i droga. Postanowiłam spotkać się z Mariuszem. Wytłumaczył mi o co chodzi, powiedział, że jedynym, co może ocalić to miejsce jest Modraszka – zagrożony wyginięciem gatunek motyla. Razem z siostrą Justyną chciałyśmy zorganizować w tej sprawie protest. Wymarzyłam sobie, żeby zrobić flashmob motyli. To był pierwszy raz, kiedy pomyślałam o artystycznym happeningu, który będzie protestem, a zarazem dziełem sztuki. Mariusz powiedział mi, kto w Krakowie już zajmuje się Zakrzówkiem, a ja uruchomiłem kontakty z dziennikarzami, którzy wcześniej zainteresowali się moimi drzewami i „Ulicą Smoleńsk”. Chciałam zrobić coś tak atrakcyjnego wizualnie, żeby napisały o nas wszystkie media, a wieść rozniosła się poza Kraków. Miałam gdzieś, co będzie mówiło o mnie środowisko związane ze sztuką współczesną. Moja siostra Justyna Koeke nakręciła tutorial jak w 20 minut zrobić skrzydła motyla Modraszka. Uruchomiła analogową, zrobioną w photoshopie „nakładkę” ze skrzydłami do zdjęć profilowych. Ja zrobiłam sobie zdjęcie profilowe, na którym stoję w tekturowych skrzydłach z podpisem „Nie zgadzam się na zabudowę Zakrzówka”. Intuicyjnie wyczułam, że to sprawa, która obchodzi mnóstwo osób, ale mało kto w Krakowie wiedział, co miasto planuje zrobić z tą przestrzenią. Dałyśmy sobie miesiąc, aby namówić krakowian, żeby przebrali się za motylki Modraszki. Przy pomocy rodziny przygotowaliśmy sto par skrzydeł. Ku naszemu zdziwieniu na Zakrzówce przyszło około 600 osób przebranych za motyle. To było coś tak niesamowitego, że nic później nie było takie samo! Zorganizowałyśmy jako artystki prawdziwy miejski protest, który został pokazany w całej Polsce. Najlepsi fotografowie, jakich znałam, zrobili nam magiczne zdjęcia, które były wszędzie udostępniane. Na protest przyszli dziennikarze zajmujący się kulturą i zaczęli

pisać o sprawach miejskich. Wcześniej było tak, że w Gazecie Wyborczej były osoby oddelegowane do tego tematu, które pisały tylko pozytywne artykuły na korzyść dla dewelopera. Nagle wydarzyła się rewolucja, która całkowicie zmieniła politykę miasta. Poznałam tam wielu wspaniałych ludzi, ekologów i aktywistów. Musiałam w końcu chodzić na rady miasta i rozmawiać z dziennikarzami.

Chciałam zapytać o to, jak szukasz sojuszników dla swoich działań, ale odnoszę wrażenie, że znajdują Cię sami!

To temat rzeka i wszystko się łączy! Przez Facebooka poznałam Mariusza Waszkiewicza. Tam też dałam się poznać ekologom jako Cecylia wchodząca na drzewa. Pokochali to też dziennikarze i dlatego potem łatwo było mi ich zaangażować przy krzyżującym miejskie plany proteście z Modraszkami. Ekolodzy bardzo mnie lubili i pomagali. Mariusz już wcześniej działał w sprawie Zakrzówka drogą formalną, a ja zrobiłam to drogą medialną i powstała skuteczna kampania społeczna. Pomagał mi również Kazimierz Walasz, kolejny ekspert, znawca krakowskiej przyrody. Nie chciał się ujawniać, bo wcześniej robił ekspertyzę dla tego samego dewelopera. Był wdzięczny za ten protest. Kiedy się spotkaliśmy, powiedział mi, że jego marzeniem jest spłynąć krakowskimi rzekami, czego prawdopodobnie nikt wcześniej nie zrobił. I ja wtedy odpowiedziałam: „Wow, to spłynemy razem!”. I tak rozpoczął się kolejny bardzo ważny projekt w moim życiu.

Zesłaś z drzew nad rzeki?

Zostałam aktywistką miejską. Chodziłam na rady miasta, pisałam pisma, teksty. Sprawy formalne zabierały mi 90 procent czasu, a bycie artystką może 10 procent. Poczułam, że znowu chcę zajmować się sztuką i zrobić coś swojego. Bardzo ucieszyłam się ze współpracy z Kaziem Walaszem, bo liczyłam, że zrobię projekt o dzikim Krakowie podczas naszego spływu. I tak spędziłam rok na drzewach, a potem rok nad rzekami. Przez cały czas Kazimierz Walasz uczył mnie bardzo wielu rzeczy. Opowiedział mi o polskim planie przeciwpowodziowym, który polega na tym, że bierzemy z Unii Europejskiej pieniądze i betonujemy małe rzeki i potoki górskie. Spływaliśmy rzeką Prądnik i miałam okazję na własnej skórze doświadczyć zdegradowanej rzeki. Nauczyłam się odróżniać żywą rzekę od martwej. Kazimierz zobaczył, że coraz bardziej interesuje mnie ten temat i powiedział: „Słuchaj, Cecylia, w Krakowie mamy najlepszego hydrologa w Polsce – powinnaś poznać Romana Żurka”. Poszłam do niego i pokazał mi swoją dokumentację niszczonej rzeki w Polsce.

I co było dalej?

W 2013 roku zostałam zaproszona na wystawę do Bunkra Sztuki, w ramach której miałam zrobić akcję. Powiedziałam kuratorce, Anecie Rostkowskiej, że chcę bronić rzeki Białki. Razem z Anetą zaproponowałyśmy dyrektorowi Bunkra Sztuki, żeby zaprosić do współpracy przy wystawie ekspertów, hydrobiologa – profesora Romana Żurka i Pawła Augustynka Halnego – aktywistę rzeczny. Oddaliśmy im jedną ścianę galerii, a oni zrobili wystawę fotografii pokazującą jak dewastowane są polskie rzeki. To było kompletnie nowe, nikt o tym nie wiedział. A ja wymyśliłam wtedy akcję Warkocze Białki.

Na czym polegała?

Na tym, że jak ktoś się nie zgadza na niszczenie rzeki Białki, niech plecie z nami warkocze. Chciałam upleść warkocze długości rzeki i przez miesiąc upletliśmy w Krakowie 6 kilometrów. Miałam niesamowicie komfortową sytuację, bo mogłam skorzystać z zaplecza instytucjonalnego do zrobienia protestu. Bunkier Sztuki w ramach budżetu wystawy wynajął autobus. Z Krakowa pojechał na protest – tak jak jeżdżą górnicy, leśnicy, tak u nas art world (śmiech): artyści, przyjaciele i pracownicy Bunkra Sztuki. W akcję zaangażowały się mocno panie pracujące w Bunkrze: szatniarki, pracowniczki galerii. Przynosiłam szmaty, ludzie przynosili materiały. Pani Ania z kasy sama uplotła kilometr. Już nie było miejsca w tej budce, gdzie sprzedawała bilety! Na protest przyjechali górale, którzy się z nami kłócili, wiodące organizacje ekologiczne, lokalne media, dzieci ze szkół z okolicznych wiosek. Zrobiła się super awantura nad tą rzeką, ale to była sytuacja prawdziwej agory. Warkocze plotło kilkaset osób. Budowanie z nich instalacji było procesem, w którym masa ludzi dowiedziała się o tym, że regulacja rzek jest zbędna. Akcja miała niezwykle wymiar edukacyjny.

Cecylia, plotłaś warkocze Białki, stałaś w kostiumie kąpielowym przed urzędnikami w Ministerstwie Gospodarki Morskiej, wspinałaś się na drzewa, biegałaś w skrzydłach motyla... Jak widzisz rolę performansu w walce o przestrzeń publiczną?

Robi mocny obraz w czasach, w których ludziom się nie chce czytać. Sztuka od kampanii różni się tym, że obrazek ma więcej warstw. Świetnym przykładem są Matki Polki

na wyrębie. Wszystkie media opozycyjne w 2016 roku, czyli w czasie pogromu drzew wywołanego przez Lex Szyszko, publikowały zdjęcia wyrębów. Ludzie wysyłali do gazet zdjęcia z kolejnych miejsc, w których wycinali drzewa. Ja wtedy opublikowałam zdjęcie jak karmię Ignacego na pniach. Zostało udostępnione masę razy, zadzwoniły do mnie gazety. Wtedy sobie zdałam sprawę z tego, że to tak dotknęło ludzi, bo pierwszy raz te wycięte drzewa zyskały bohaterkę. Ten obrazek wywołał emocje. Ale podprogowo, jako sztuka najbardziej zadziało to, że użyta została ikonografia Matki Boskiej. Karmiąca kobieta w historii sztuki to przede wszystkim Madonna. To był bardzo prawicowy, konserwatywny obrazek połączony z wyrębem, który przypisany jest w Polsce lewicy. Powstała bardzo ambiwalentna sytuacja. Wspaniała! Nikt nie mógł jej podważyć. We wszystkich budziła mieszane uczucia. Zdjęcie zostało ilustracją Lex Szyszko na całą Europę, opublikował je The Guardian. Pojawiły się komentarze „te panie na pewno są za aborcją”, a myśmy siedziały z dzidziusiami i karmiłyśmy! Babki w innych miastach poczuły, że one też mogą zaprotestować. Fajne było to, że to było bardzo ekskluzywne – zaprotestować mogły tylko matki karmiące. Przez to te dziewczyny poczuły odpowiedzialność. To jest taka instrukcja, której można używać na creative commons: 1. Weź dziecko. 2. Zawołaj koleżanki. 3. Zawołaj lokalną gazetę i koleżankę fotografkę.

Ciekawym kontekstem jest to, że swoje działania współtworzysz z kobietami, ale wasze protesty wymierzone głównie przeciwko skutkom działań wywołanych przez mężczyzn.

To nie było w ogóle planowane. Wyszło tylko dlatego,

że miałam Ignacego. Urodziłam dziecko i nie mogłam zrobić żadnego protestu i nagle się okazało, że mogę karmić cyckiem na pniu i to wychodzi zajebiście. Miałam koleżanki, które miały małe dzieci. W przypadku Sióstr Rzek zdecydowały powody artystyczne, estetyczne i osobiste. Inspiracją była figurka ludowego rzeźbiarza, którą znalazłam w muzeum etnograficznym. Pokazuje Wisłę, której lewe i prawe dopływy są przedstawione jako małe kobiece figurki – pomyślałam, że to gotowy pomysł na protest. Ale wcześniejsze rzeczy robiłam z chłopakami, częściej też mężczyźni są moimi partnerami od strony eksperckiej. Faktem jest, że moje dwa ostatnie projekty to akcje kobiece, ekofeministyczne.

Które z działań spotkało się z największym oporem i krytyką?

Ostatnia akcja dla Zakrzówka, organizowana razem z Akcją Ratunkową dla Krakowa, to była bardzo skomplikowana sprawa. Protest trwał w trakcie realizacji i to było bardzo kontrowersyjne, bo dla urzędników miejskich byliśmy oszołomami. To spowodowało, że krakowscy urzędnicy z innych pól, na przykład z kultury, którzy kiedyś mnie wspierali, byli na mnie wściekli, bo podważam politykę miejską. To była trochę samobójcza sytuacja.

Było dużo spraw trudnych. Na przykład Warkocze Białki zostały bardzo skrytykowane przez środowisko sztuk wizualnych i krytyków – nie rozumiejących złożoności aktywizmu – że to nie teatr – gdzie reżyser wszystko może zaplanować – tu uczestnicy akcji mają swoją przestrzeń twórczą, ja jako autorka akcji wymyślam pewne ramy – zostawiając przestrzeń osobom dołączającym. Potwornie mnie zjechał: że to jest kiczowate, że chłopomania. Problemem było to, że to jest taki czysty aktywizm. Teraz

już w każdej instytucji jest wystawa o ekologii i aktywizmie, a wtedy jeszcze tego nie było. Ryzykowałam więc nie tylko wśród urzędników miejskich, ale też w samym środowisku artystycznym.

Jak sobie radzisz z krytyką na tych polach?

Kiedyś było mi przykro z tego powodu, bo nawet bliskie osoby mówiły mi, że nie jestem artystką, tylko ekolożką. Zawsze był ten problem, że trzeba wybrać kim być. Zawsze komuś się nie będzie podobało. Mi daje satysfakcję to, że ciągle uczę się nowych rzeczy i czuję się potrzebna. Onet do mnie dzwoni: „Cecylia będziemy rozmawiać o rzekach”, a ja o 8 rano wydzwaniam do Jacka Engela, Pawła Augustyniaka Halnego, Profesora Romana Żurka i robię sobie ściągę. Kocham to, że pracuję z najwybitniejszymi specjalistami w swoich dziedzinach, którzy tak chętnie dzielą się wiedzą i mam do niej taki dostęp. Wiadomo, że kiedy jesteś kobietą i artystką, pojawiają się wątpliwości czy to, co robisz jest dobre. Naprawdę w 2011 roku myślałam sobie „zrobię skrzydełka motyla, będzie zajebiście wyglądało, zrobimy z tego fajnego flashmoba”, a nie o tym, że to zostanie ze mną do dziś! I myślę, że jeśli się jest uczciwym aktywistą, to tak to właśnie wygląda. Głupio by mi było zostawić ludzi, którzy przez tyle lat walczą o Zakrzówek czy o rzeki. Myśmy w Krakowie się po prostu nie opuścili nawzajem. Wygraliśmy to dlatego, że byli ludzie, którzy mogli na siebie liczyć. Czuję, że robię coś w ważnej sprawie i to mi daje komfort psychiczny.

Czy to właśnie rozumiesz przez odwagę działania w przestrzeni publicznej?

82

Mam takie hasło: Bój się i rób! Zawsze się strasznie boję tych wszystkich rzeczy, ale sama prowokuję sytuacje, kiedy nie ma już odwrotu. Jak już zrobisz wydarzenie na Facebooku, namówisz dużo osób, przyjdą dziennikarze i zrobią wywiady, to już się nie da wykręcić, nawet jak jest się najbardziej przerażonym. Trzeba już dzielnie kontynuować. Prawdziwa odwaga to protestować samemu. Ja nigdy tego nie robiłam. Czasem sama zaczynałam, ale – tak jak Matki Polki na Wyrębie – to przerodziło się w wielki protest. A są osoby, które same protestują, np. Greta Thunberg albo moja przyjaciółka Ula Dragan, Siostra Rzeka z Warszawy, która potrafi iść sama w proteście.

A jakie działania w przestrzeni miejskiej uważasz za odważne?

83

Coraz częściej czyta się o tym, że w Afryce albo w Ameryce Południowej ludzie giną za swój aktywizm. Dziś¹ czytałam o tym, że dwunastu strażników z rezerwatu Wirunga zostało zabitych, bo bronili goryli. Ludzie giną za to, że wchodzą w parady gigantycznym koncernom i interesom. W Polsce tak nie jest, chociaż Mariusz Waszkiewicz mówił, że miał zdemolowane mieszkanie i był zastraszany. Ja sama tego po raz pierwszy doświadczyłam w tym roku, kiedy dyrektor Zarządu Zieleni Miejskiej w Krakowie po prostu mnie straszyl, pisał pogróżki, że Urząd Miasta namawia go, żeby wytoczył mi proces. Nie posunęłam się do miejskiej afery i opublikowania tego, chociaż gazety byłyby przeszczęśliwe. Teraz ekolodzy i aktywiści zostali odcięci od państwowego finansowania. Żeby działać w mieście, trzeba mieć pewną niezależność, niezawisłość – na przykład Jacek Engel z fundacji Greenmind razem z żoną Izą Engel prowadzi

¹ Rozmowa została przeprowadzona 4 maja 2020 r.

własne gospodarstwo agroturystyczne. To jest właśnie odwaga, kiedy ryzykujesz stabilizację i w imię jakichś wartości godzisz się z niepewnością swojej przyszłości. My tu ryzykujemy, że nie dostaniemy intratnych posadek czy miejskich pracowni, że będziemy na starość bardzo biedni, ale są miejsca na świecie, gdzie ryzykuje się życie za mówienie prawdy i walkę o wspólne dobro.

Czy masz poczucie, że przez swoją sztukę i aktywizm wyznaczasz nowe kierunki?

Mam świadomość tego, że pewne moje projekty są kontynuowane i rozwijane przez innych i poczucie, że tworzę postkapitalistyczne działania, które po prostu niosą się w świat – wszyscy używali skrzydełek Modraszka i to stało się wspólne. Czasem to też trudne, bo pewne rzeczy mogą się rozwijać bez mnie, tracę w ten sposób nad nimi kontrolę i nie wiem, co będzie z nimi dalej. Mam świadomość tego, że tak prędzej czy później stanie się z Siostrami Rzekami.

Możesz zdradzić, w jakie projekty jesteś teraz zaangażowana?

Jako Siostry Rzeki będziemy robić duży projekt z fundacją Greenmind. Gdyby nie koronawirus, to teraz robiłybyśmy akcję w miejscowości Myscowa. To wioska w Beskidzie Niskim przy Magurskim Parku Narodowym, którą chcą zalać. 60 lat temu powstał projekt zapory zakładający zalanie wioski i od tego czasu ludzie tam cały czas żyją w niepewności czy będą zalani czy nie. W tym roku w Myscovej do władzy dostały się kobiety – sołtyśka i panie radne. Razem z nimi

będziemy robili happening przeciwko zaporze. Mam już pomysł, ale najprawdopodobniej akcja wydarzy się dopiero na jesieni. Planujemy ściągnąć krowy, więc to będzie coś nowego (śmiech). A dzięki koronawirusowi miałam pierwsze wakacje od 5 lat. Kończę obrazy i cieszę się z tego. Poza tym chciałabym zrobić film o Siostrach Rzekach, bo mam trochę materiałów z happeningów i spływów, które chciałabym zamknąć w formie artystycznego dokumentu.

Czy czujesz, że jesteś odważna?

Tak. Ja mam to z dzieciństwa. Mama nam czytała książki przygodowe i o bohaterach i to mi strasznie imponowało. Imponowali mi też święci, bo byli odważni i nie bali się nawet śmierci. Na bierzmowanie wzięłam sobie Joannę d’Arc, bo była rycerzem (śmiech). Lubiłam piosenki wojskowe. W dzieciństwie robiłam dużo takich zabaw przygodowych. I myślę, że w tych dużych akcjach, które z moją siostrą Justyną zaczęłyśmy – Modraszek Kolektyw i „Ulica Smoleńsk”, to nas kusiła właśnie taka draka z dzieciństwa. Jak Justyna miała wyrzucać meble przez balkon, to mi kazała załatwić zgodę, żeby na ulicy nie parkowały samochody. Jeździłam do Zarządu Dróg i Transportu i kłamałam, że będzie wielka przeprowadzka i nie można parkować, a naprawdę to Justyna chciała wyrzucić szafę z balkonu. W tym był taki kapitalny moment, że zaparkował wielki radiowóz policji, więc Justyna wzięła taśmę klejącą i przykleiła materac do samochodu, żeby nie został obity szafą (śmiech). W dzieciństwie odwaga to było na przykład lać z balkonu na ludzi wodą albo inne psikusy, za które groził opiernicz, awantura od rodziców i innych dorosłych. Podstawą odwagi było nie bać się tych starszych chłopaków z podwórka albo pani sąsiadki, która się darła. I my teraz robimy dokładnie to samo! Idziemy na Zakrzówek, przechodzimy przez siatki, robimy jakiś filmik,

wysyłamy to do gazety i zacieramy ręce, a potem ci urzędnicy są tacy wściekli, nie mogą spać po nocach. Oni się poważnie nas boją, my naprawdę możemy spowodować, że jakiś wielki urzędnik straci pracę albo nie zarobi strasznych pieniędzy. Są na nas totalnie wkurwieni! A my to wszystko robimy tylko swoją fantazją i tym, że jesteśmy zgraną paczką. To jest taka zabawa, emocje, adrenalina – to jest najlepsze! Albo jak się dowiaduję od kolegów, że Wody Polskie się boją Sióstr Rzek – a to ja i moje kumpele, które włączają do wody. To jest takie niesamowite, że bierzesz strój kąpielowy z ciuchlandu, wyszywasz cekinami i potem dyrektor Wód Polskich się przejmuje i jest wściekły! (śmiech). Jestem odważna jak w dzieciennych zabawach. Robię wszystko na maksa, mówię prawdę, nie kalkuluję. Nigdy nie wiem, co będzie za rok – myślę: będzie, co będzie.

„Ważna jest odwaga, a nie
brawura. Odwaga musi
być połączona z pokorą”.

**z Aleksandrą Markowską
rozmawia Paulina Stok-Stocka**

Laboratorium Innowacji Społecznych realizuje zadania, które zazwyczaj wprowadzane są w życie w strukturach urzędowych. Z zazdrością spoglądam na działalność LISu. Bardzo chciałabym, żeby taka instytucja funkcjonowała też w Szczecinie. Ostatnie 4 lata były dla Pani, jako dyrektorki tej instytucji, okresem intensywnej pracy. Chciałam zapytać, czy lubi Pani swoją pracę, a jeśli tak to za co?

91

Jestem z wykształcenia psychologiem organizacji i zarządzania. Zawsze było dla mnie ważne patrzenie na człowieka pod kątem zasobów i możliwości. Nigdy nie ciągnęło mnie na przykład w kierunku psychologii klinicznej. Dużo czasu poświęcałam na zajęcia trenerskie i prowadzenie szkoleń. Pierwszym dużym tematem w moim życiu zawodowym, który miał wpływ na patrzenie na wiele rzeczy, był problem bezdomności. To była nauka patrzenia na bezdomność z poziomu indywidualnego człowieka i jego doświadczeń, ale też z poziomu systemu. Uczyłam się jak budować systemowe rozwiązania, żeby były jednocześnie efektywne i ludzkie. Mamy na przykład schroniska dla bezdomnych, ale w przestrzeni schroniskowej brakuje relacji z drugim człowiekiem. Pracę w LISie kocham najbardziej za to, że daje ona możliwość łączenia tych dwóch rzeczy, tzn. widzenia indywidualnego człowieka – czy to mieszkańca obszaru rewitalizacji, czy przechodnia – a równocześnie pozwala tę wiedzę inkorporować na poziom systemowy, budować pewne systemowe rozwiązania. To niezwykle, bo często albo działamy oddolnie albo budujemy systemy i te dwie rzeczy ze sobą nie „klikają”.

Po drugie, przekrój naszych zadań powoduje, że mamy interdyscyplinarny zespół, składający się ze specjalistów w bardzo różnych dziedzinach – człowiek, który był kiedyś

pracownikiem socjalnym, rzeźbiarka, która ukończyła ASP, ekonomista, architektka, prawnik – wszyscy razem, zespół zespół siadają i wypracowują różne rozwiązania. To jest rzecz niezwykła, zwłaszcza że dużo rozwiązań administracyjnych jest bardzo silosowych. Nawet organizacje pozarządowe specjalizują się w jakichś dziedzinach, bo wyrastają ze zorientowania wokół jakiegoś tematu. Natomiast w LISie wchodzimy trochę w obszar kultury, edukacji, inwestycji i innowacji. Ta interdyscyplinarność, przekrojowość, ten patchwork bardzo mnie napędza w pracy. Mamy swojego rodzaju wrażliwość i narzędzia do tego, żeby ludzi nie stygmatyzować. Bardzo zależy nam na tym, żeby trafiać na te najtrudniejsze – z wielu powodów – dla ludzi obszary, ale cały czas w duchu szukania zasobów i rozwijania potencjałów. Nie ignorujemy tego, że ludzie są w trudnych sytuacjach, ale patrząc na człowieka widzimy zasób, potencjał i na tym pracujemy.

92

Teraz w LISie jest prawie 100-osobowy zespół. To grupa ludzi, którzy bardzo się lubią i szanują, wzajemnie się napędzają i nakręcają. Choć nie ukrywam, że wiele osób z pracy odchodzi. Z wieloma osobami się żegnamy. To naprawdę bardzo trudna praca, angażująca, wypalająca. Wymaga ciągłego rozwoju i nieustannego zdobywania wiedzy. Niektórzy po 3-4 latach po prostu mówią: „Dość, dalej już nie dam rady”.

Chyba też są podbierani przez inne organizacje i instytucje.

Ludzie mówią: „Nauczyłem się tu bardzo wielu rzeczy, uwierzyłem w siebie. Jestem gotowy, żeby iść dalej”. To jest super, bo zobaczyłam, że nie tylko wodujemy nowe pomysły i innowacje, ale też w pewnym sensie wodujemy ludzi, którzy

z tą myślą wędrują dalej. Mam wrażenie, że po prostu bardzo dużo uczymy się od siebie nawzajem i jak ludzie idą dalej, to niosą te wartości ze sobą.

Patrzy Pani tą swoją pracę bardziej w kategoriach obowiązku czy misji?

Absolutnie misji. Natomiast jesteśmy jednostką budżetową, więc konieczne są liczne warstwy administracyjno-proceduralne. Moim obowiązkiem jest tak tworzyć ważne i innowacyjne rozwiązania, żeby one były wdrażalne, realizowalne. Cała reszta to jest absolutnie misja. Jak przychodzą nowi ludzie do pracy i pytają, co mają robić, to zawsze odpowiadam im z poziomu wartości. W efekcie wszyscy wszyscy się śmieją, że nowi członkowie zespołu często jeszcze przez dłuższy czas nie wiedzą co konkretnie mają robić.

93

Pewnie uczą się bardziej przez obserwację i rozmowę z drugim człowiekiem.

Tak. Natomiast pomimo tego, że to faktycznie jest praca w urzędzie, to ludzie czując atmosferę i nasz pozytywny flow nadal nie do końca w to wierzą. Często są zdziwieni, gdy zaczynają pracować na kodeksie postępowania administracyjnego czy poznają ustawę o rachunkowości. Pomimo tego, że wszędzie jest napisane, że jesteśmy jednostką budżetową Gminy Miasta Gdyni, to często wcale nie jest takie oczywiste.

Jak to się stało, że psycholożka, działająca przez parę ładnych lat w obszarze związanym z bezdomnością, współtworzyła Laboratorium Innowacji Społecznych?

W pewnym momencie w temacie bezdomności doszłam do etapu budowania systemów. Zrozumiałam, że osobiście mogę pomóc bardzo ograniczonej liczbie osób, natomiast mogę osiągnąć znacznie więcej budując system i kształcąc ludzi, którzy dalej będą działali w pewnym paradygmacie. Kiedy skończyły się pewne projekty w obszarze bezdomności, przeszłam do Miejskiego Ośrodka Pomocy Społecznej w Gdyni. Zaczęłam też pracować nad tematem profilaktyki bezdomności, w rozumieniu analizy sytuacji zadłużeniowej wśród mieszkańców, czyli skupiać się nie na tym etapie, kiedy osoba już jest bezdomna, tylko wcześniej. Miasto chciało zbadać problem zadłużenia i jak wygląda praktyka eksmisji. Po dwóch, trzech latach w MOPSie okazało się, że bardzo wiele rzeczy o których myślimy, które planujemy, wykracza poza system pomocy społecznej. To trochę jak z emigrantami. To jest temat, który zahacza o wszystkie wydziały. Jest bardzo szeroki i nie można go z wielu powodów podczepić pod MOPS. Zastanawialiśmy, że nad tym, że wiele z naszych działań jest bardzo stygmatyzujących, właśnie dlatego że robimy je jako pomoc społeczna. Nawet jeśli kontraktujemy jakieś działania na obszarach rewitalizacji, to byłyby one odbierane zupełnie inaczej, gdybyśmy kontraktowali je na przykład z poziomu kultury. Zaczęliśmy też dużo rozmawiać z moim obecnym szefem, wiceprezydentem Gdyni ds. innowacji i w pewnym momencie pomyśleliśmy, że skoro tak wiele naszych działań wychodzi poza system, to jest to pewnego rodzaju innowacja społeczna. Mówimy o nowych rzeczach i nie wiadomo, którego dokładnie sektora one dotyczą. To zbiegło się z dużą rozbudową Pomorskiego Parku Naukowo-Technologicznego, który stawiał na innowacje. Narodził się pomysł, by włączyć też innowacje społeczne. Wtedy, na zasadzie przeniesienia

między jednostkami, przeszłam z MOPSu do PPNT, jako jednoosobowy moduł innowacji społecznych. Na jednej kartce miałam spisana koncepcję, czym ten jednoosobowy moduł będzie się zajmował. To był rok 2012.

Od tego czasu ten moduł bardzo dynamicznie się rozwijał. W 2016 roku było już 15 osób i tak naprawdę przestaliśmy się mieścić w PPNT, ale nie w sensie przestrzennym, a na poziomie wartości. Park bardzo mocno nastawiony był na przedsiębiorczość. Ludzie pracujący w Parku nie biegali po ulicach, nie namawiali do głosowania w budżecie obywatelskim, nie byli w ciągłym kontakcie z mieszkańcami. Drugi aspekt wniosła rewitalizacja. Mieliśmy za zadanie opracować cały program rewitalizacji – zarówno zrobić delimitację obszarów zdegradowanych i przygotować konsultacje z mieszkańcami. Wtedy właśnie okazało się, że kluczowe we wdrażaniu rewitalizacji jest połączenie w jednym miejscu działań społecznych z inwestycyjnymi. Jeśli dodatkowo robimy to w rygorze dużych projektów unijnych – zarówno społecznych jak i inwestycyjnych – to to już absolutnie wykracza poza misję i wizję PPNT. Wtedy zapadła decyzja o powołaniu Laboratorium Innowacji Społecznych. Od 2016 roku z grupy 15 osób zrobiło się prawie 100 i jeszcze bardziej poszerzył zakres realizowanych działań.

Dzięki temu, że LIS został wyodrębniony ze struktury PPNT, ma na pewno trochę większą swobodę działania w kształtowaniu swoich zadań i projektów, ale z pewnością musi się też dostosować do planów i wizji rozwoju miasta, podporządkować się ograniczeniom formalno-prawnym.

LIS jest bardzo mocny związany z wizją rozwoju Gdyni.

To bardzo ważne – nie robimy żadnych rzeczy obok miasta. Przy naszych interdyscyplinarnych projektach i działaniach współpracujemy praktycznie z większością jednostek miasta. Mamy niesamowitą swobodę w zakresie kształtowania swojej misji i planów, możemy się redefiniować, natomiast bardzo wiele kierunków działań wyznacza nam prezydent, czy inni wiceprezydenci resortowi w danych tematach. Ale mam poczucie, że budujemy to razem. To nie jest tak, jak czasami zdarza się w innych jednostkach, że jest wykuta w kamieniu misja. LIS się cały czas kształtuje, rozwija i tak naprawdę co roku trochę na nowo się definiujemy. Natomiast w prowadzeniu samodzielnej jednostki bardzo trudna jest konieczności zbudowania ogromnej ilości zasad, regulacji, po to żeby wszystko działało się w sposób praworządny i z zachowaniem pełnego bezpieczeństwa ludzi, którzy w różnego rodzaju procesach uczestniczą.

Ale te ograniczenia nie blokują innowacji, która jest właściwie istotą LISu.

Tak, bardzo ważne jest niebudowanie rzeczy, które są potem obok systemu. Jeśli biznes lub ngosy zabierają się za jakiś projekt, to wielu rzeczy nie muszą robić. Gdy za ten sam temat zabiera się samorząd, obowiązują go inne zasady. Dobrym przykładem są domy sąsiedzkie. Chcemy tworzyć takie przestrzenie, żeby mieszkańcy sami mogli coś zrobić, na przykład chcemy zrobić warsztat ślusarsko-stolarski. Zatrudnienie instruktora, który będzie tam siedział i wydawał ludziom narzędzia, jest bardzo drogie. Z powodów formalno-prawnych nie każdy może sobie po prostu wejść, wziąć wiertarkę i biegać z nią po pomieszczeniu, bo jako miasto ponosimy odpowiedzialność, jeśli komuś coś się stanie. Jesteśmy zobowiązani sprawić, że to miejsce będzie bezpieczne. Żeby ta innowacyjność, kreatywność działała,

musimy bardzo dobrze znać przepisy i wiedzieć gdzie można, a gdzie nie można poluzować. Jak zespół wszyscy cały czas się uczymy. Widzę, jak przychodzą animatorzy z misją, z radością, ale niektórzy po jakimś czasie wymiękają, bo muszą po raz piętnasty czytać regulamin, sprawdzić, czy na pewno jest ok i wiedzieć z kim się skonsultować, żeby na pewno było ok.

Z tego co mówisz, widzę, że działalność LIS to też wyznaczanie nowych szlaków w interpretowaniu i dostosowywaniu się do przepisów.

Tak. To też praca nad tym, żeby innowacja była super nie tylko na poziomie idei, ale też przełożenia jej na coś, co jest później naprawdę realizowalne, z pełną świadomością zasad bezpieczeństwa i odpowiedzialnością za ludzi, z którymi to robisz. Równocześnie ważne jest, żeby nie przegiąć z procedowaniem wszystkiego, bo wtedy zabija się innowacyjność. Trzeba mieć świadomość, gdzie ten suwak można rozluźnić, a gdzie nie.

Czy macie poczucie, że przecieracie szlaki w tym balansowaniu między innowacją, a przestrzeganiem przepisów, wyznaczacie nowe kierunki dla Gdyni i dla innych miast?

Na pewno tak, bo często inne miasta pytają „Jak wy to robicie?”. Samorządy pytają, jakie mamy ustawy i regulaminy, ngosy skąd mamy środki finansowe, a mieszkańcy pytają, jak my to robimy. Każdy pyta z zupełnie innej strony, na zupełnie różnych poziomach.

Tak samo jest z rewitalizacją. Łączenie rewitalizacji inwestycyjnej i społecznej jest po prostu bardzo trudne. Gdy do tego korzysta się ze środków unijnych, spotyka się ileś formalnych wymogów, które absolutnie muszą być spełnione, żeby te środki zostały dobrze rozliczone, a budynki się nie posypały. Mam poczucie, że w Polsce pokazujemy innym samorządom, że da się i warto, chociaż mam pełną świadomość, że to nie jest proste i nie da się budować tylko na hurraoptymizmie. Mieliśmy też taki moment w Gdyni – teraz już na szczęście jesteśmy na innym etapie – że w niektórych jednostkach miasta, zwłaszcza tych które od lat się specjalizują w jednym temacie, nie było zrozumienia dla naszej działalności. Mieliśmy też moment, kiedy organizacje pozarządowe traktowały nas trochę jak konkurencję. Wchodziliśmy w tematy, które do tej pory były tylko domeną ngosów, bo uznawano, że samorząd, jako jednostka budżetowa, nie umie pewnych rzeczy zrobić. To się niektórym nie mieściło w głowie, że urzędniczka też może pojechać w miasto z mobilnym stoiskiem, stać w środku parku z ankietą i robić spacerowe czy akcje happeningowe. Wydawało się, że trzeba wziąć do tego jakiegoś ngosa, a nie robić to w ramach jednostki budżetowej. Dużo wysiłku włożyliśmy, żeby pokazać, że tworzymy przestrzeń do współpracy, a nie konkurencję.

Wasza działalność spotykała się też z oporem z powodu umiejscowienia LISu – trochę urząd, trochę think tank z mocą wdrożeniową. Czy może były jakieś konkretne działania, które spotykały się z dużym oporem albo krytyką ze strony mieszkańców, społeczności lokalnych?

Ze strony mieszkańców nie. Trochę było krytyki ze strony organizacji pozarządowych, zwłaszcza tych, które

specjalizowały się wcześniej w podejmowanych przez nas tematach. Mieliśmy taką jedną organizację, która specjalizowała się w temacie organizowania społeczności lokalnych na obszarze rewitalizacji. Byli zdziwieni, że nasze działania chcemy budować na partnerstwach z innymi organizacjami. Nie jest tak, że jedna organizacja ma monopol. Bardzo mocno stawiamy też na budowanie partnerstw lokalnych, żeby nie popaść w drugą pułapkę, że teraz to LIS będzie monopolistą procesów jakichkolwiek. Myślę, że ten opór i lęk jest, ale coraz mniejszy. Zwłaszcza kiedy jasno pokazujemy, że nie wchodzimy w dany temat po to, żeby go zawłaszczyć i zabrać innej jednostce miejskiej czy ngosowi, tylko żeby stworzyć przestrzeń do współpracy w danym miejscu. To bardzo ważny obszar naszej działalności. Zaczynamy gdzieś pracę, po to, żeby się tam coś fajnego zadziało. Jak już się zadzieje, trzeba umiejętnie z tego wyjść, a nie na zawsze zajmować się tematem. To jest bardzo duże wyzwanie.

Przez niektóre Wasze działania – pośrednio budżet obywatelski, a bezpośrednio przez działania rewitalizacyjne – macie wpływ też na przestrzeń publiczną w Gdyni. Na ile jest ona ważna w działalności LISu?

To co wnosimy, jeśli chodzi o przestrzeń publiczną, to głos mieszkańców w dyskusji. Od początku byliśmy i jesteśmy po to, żeby budować przestrzeń dialogu tak, żeby mieszkańcy chcieli uczestniczyć w procesach konsultacji – w tym związanych z przestrzenią publiczną – żeby mieli do tego narzędzia i umieli to robić. Mam poczucie, że bardzo rzadko zajmujemy nasze stanowisko w kwestii przestrzeni publicznej, a raczej zbieramy głosy różnych interesariuszy.

Działamy edukacyjnie, robimy zajęcia na temat przestrzeni, jesteśmy fanami rozwiązań rowerowych, ale dbamy też o to, żeby różni interesariusze mogli się wypowiedzieć na temat przestrzeni. To była ogromna praca naszego działu diagnoz i partycypacji, który pokazał urzędowi miasta jak wystandaryzować pewne procesy konsultacji. Podczas konsultacji na temat ulicy Starowiejskiej, Parku Centralnego czy edukowaliśmy się wzajemnie, jak można rozmawiać z mieszkańcami, żeby przybierało to bardzo merytoryczną formę. Prowadzone przez nas do tej pory konsultacje społeczne dotyczyły głównie wątków przestrzennych. Przy czym w rewitalizacji to są tematy, które potem sami wdrażamy, ale były też procesy konsultacyjne, np. Park Centralny, które były nam zlecane przez urząd miasta. Odpowiadaliśmy za ich przeprowadzenie i dostarczenie wyniku, a nie za ich wdrażanie. Podobnie z budżetem obywatelskim, odpowiadamy za przeprowadzenie mieszkańców przez cały proces składania projektów. Teraz mieszkańcy składają projekty dzielnicowe samodzielnie, a projekty ogólnomiejskie są wypracowywane na warsztatach, które też prowadzimy. Potem, po głosowaniu projekty wybrane przez mieszkańców są przydzielane do realizacji różnym jednostkom miasta.

Na ile dla Pani, osobiście ważne są przestrzeń publiczna i miasto? Co one dla Pani oznaczają?

Skończyłam psychologię, ale niedawno doszłam do tego, jak ważne i fajne jest planowanie przestrzenne, kwestie urbanistyczne i architektura, ale nie w sensie architektury wewnątrz, tylko patrzenia na przestrzeń. Widzę jedną rzecz – przestrzeń może być ogromnym obszarem wykluczania ludzi. Kiedyś myślałam, że to bieda mentalna, bieda ekonomiczna sprawia, że ludzie mają bardzo złe warunki bytowe,

mieszkają w mieszkaniach o bardzo złym standardzie, w złych dzielnicach. Myślałam, że jak żyją w takich warunkach, to do tego przywykli i nie mają w sobie napędu, siły do zmiany. Dzisiaj mam poczucie, że przestrzeń publiczna – to w jakiej dzielnicy mieszkasz, jakie przestrzenne zmiany się w tej dzielnicy odbywają, jaka twoja najbliższa lokalna przestrzeń jest kształtowana – to może być ogromne pole do rozwoju, albo do stygmatyzacji. W doświadczeniu rewitalizacji bardzo ważne było, że nawet jak dotykaliśmy wykluczenia społecznego, poznawaliśmy ludzi o dużym natężeniu różnego rodzaju problemów, to się okazywało, że przestrzennie te miejsca mają ogromne walory, ukrytą wartość i potencjał. Tylko przez niedoinwestowanie w wielu obszarach, potencjał tych dzielnic nigdy nie miał prawa objawiać się do końca. To pokazało mi bardzo mocno, że możemy mówić, że będziemy pracować społecznie, damy wam wsparcie psychologiczne, będziemy rozmawiać o przemocy itd, ale jeśli przed danym blokiem socjalnym nie ma fajnego trawnika, który ludzie mogą razem wypieścić, placu zabaw czy boiska, bez tych ewidentnych zmian w przestrzeni nasza możliwość realnego wsparcia ludzi jest tak naprawdę bardzo ograniczona. Tu nie chodzi o to, że rewitalizacja to zrobienie fajnych fasad na rynku, bo będą przyjeżdżać turyści. Mam wrażenie, że to właśnie przestrzeń jest realną emanacją zmian, które odbywają się w środku, w społecznościach lokalnych.

Właśnie praca w LISie kazała mi dowartościować ten wymiar przestrzeni. Nie chodzi tylko o to, że teraz będzie ładnie, bo bloki będą odmalowane. Przykładowo: Osiedle Zamenhofs Opata Hackiego to mały teren, ale ogromna inwestycja w ramach rewitalizacji. Nagle okazuje się, że stygmat jest z osiedla w ogóle zdjęty. Ludzie przychodzą tam i mówią: „O matko, to jest to coś, co było rewitalizowane? A co z tym osiedlem jest nie tak?”. Mieszkańcy wychodząc ze swojego domu stykają się z bodźcem do zmiany, jakim

jest ta przestrzeń. Pomijam już aspekt wzrostu wartości mieszkań. Widzę to też w kontekście naszych centrów sąsiedzkich, bo miasto zaadaptowało na nowe funkcje przestrzenie, które już miało. Mamy dwie szkoły, które zostały zamknięte ze względu na zbyt małą liczbę uczniów. Miasto nie sprzedawało budynków, tylko wpadło na pomysł, żeby je wyremontować, żeby te miejsca żyły dla mieszkańców. Tak samo na Osiedlu Zamenhofs Opata Hackiego w budynku biblioteki był na dole magazyn teatru, a na piętrze nie było niczego. Teraz nadal obok biblioteki jest tętniący życiem dom sąsiedzki. Myśląc o zmianach społecznych, trzeba też doinwestować miejsca, które oddają przestrzeń mieszkańcom. Nie tylko trawnik czy skwerek, ale też konkretną przestrzeń, do której mogę przyjść nie tylko jako bierny odbiorca, ale żeby te miejsca współtworzyć, kreować pewne rzeczy. To jednak wymaga konkretnego nakładu finansowego, żeby takie miejsca adaptować, dostosowywać i ożywiać...

To też wymaga odpowiedzialności politycznej, obywatelskiej. Łatwiej jest budynek wyburzyć, teren sprzedać deweloperowi, który postawi bloki i temat z głowy, niż tworzyć miejsca, działania, które może nie mają na pierwszy rzut oka spektakularnych efektów.

Absolutnie. Mam pełną świadomość, że to że LIS działa, że robimy ważne rzeczy, byłoby zupełnie niemożliwe, gdyby nie taka, a nie inna polityka miasta, taka, a nie inna świadomość prezydenta i kolegiatów, ale też pewna odwaga strategicznego i długofalowego myślenia. Pod tym kątem LIS jest bardzo trudno replikowalny, tzn. jeżeli w danym samorządzie nie ma chęci do eksperymentowania, do oddawania przestrzeni mieszkańcom, to to się nigdy nie zadzieje. Taka jednostka nie będzie miała szansy

funkcjonować i działać. Cała moja radość z LISa, z tego jacy jesteśmy, w jakim kierunku działamy, jest absolutnie nierozzerwalna z wizją rozwoju Gdyni. Realizujemy budżet obywatelski, rewitalizację, wymiennikownię, sieć domów sąsiedzkich. To są rzeczy przyjmowane strategicznymi dokumentami miasta. Jest pełna zgoda, że całe miasto chce iść w tym kierunku.

Tego co robimy, nie da się robić obok. Jeśli jakieś zadanie realizuje jednostka miasta, to nie można udawać, że miasto nie wiedziało, miasto nie chciało. Mamy czasem taki kłopot, kiedy powiemy coś aktywistom i później to jest traktowane jako stanowisko miasta. Też uczyliśmy się dyplomacji – mówienia, co jest wizją miasta, a co jest moją opinią jako prywatnej osoby. Prowadzenie LISa to nie jest prosta sprawa. Nie można sobie replikować tak po prostu – i od strony mentalności, filozofii działania, pomysłu zarządczego na jednostkę budżetową, ale też z poziomu samorządowego – kierunku, strategii działania.

Przez takie działania jak Urban Lab kształcicie też ludzi, którzy czasami będą z Wami dyskutować, wchodzić w bardzo zażarte polemiki, stać na zupełnie innych stanowiskach, którzy nie będą rozmawiać na poziomie „nie, bo nie”, tylko będą mieli bardzo dużo argumentów. To bardzo odważne edukować mieszkańców, po to żeby wchodzili w otwarty dialog i czasami się nie zgadzali z decyzjami miasta.

To jest znowu świadoma decyzja miasta, które chce mieć Urban Lab z pełnym dobrodziejstwem inwentarza. Te rozmowy i dyskusje są bardzo przekrojowe i trzeba angażować urzędników z różnych referatów, wydziałów,

jednostek, bo my nie jesteśmy omnibusami i na wszystkim się nie znamy. Jednego dnia można rozmawiać o klimacie, drugiego o placach zabaw, a trzeciego o programach osłonowych dla mieszkańców. Niewątpliwie jest to kwestia myślenia miasta o tym, jak działać. Przykładem może być ostatnia sytuacja, kiedy Kongres Ruchów Miejskich napisał do samorządowców z apelem, żeby nie rezygnowali z budżetów obywatelskich. Prezydent Gdyni odpisał, że nie tylko nie chcemy rezygnować z budżetu obywatelskiego, ale wręcz uważamy, że w obliczu epidemii konsultowanie rozwiązań i dialog z mieszkańcami powinny być podstawą. Budżety obywatelskie to kolejna przestrzeń kształtowania mieszkańców, którzy są bardziej świadomi, są sprawczy. To oczywiście jest trudne, bo świadomy mieszkaniec więcej wie i więcej oczekuje, ale długofalowo jest lepsze, bo on też więcej rozumie i zaczyna widzieć niektóre kwestie w szerszej perspektywie, dzięki czemu ma też niższy poziom frustracji.

104

Czy są jakieś działania w innych miastach albo państwach, które uważa Pani za odważne i które chciałaby Pani zaimplementować w Gdyni, albo żeby ktoś inny je wdrożył?

To jest trudne pytanie. Staramy się od czasu do czasu jeździć w różne miejsca w Europie, do miast które nas zaciekawia i jeździć na wizyty studyjne w Polsce. Widzę, że bardzo ważne jest myślenie o tym, jak pewnych rzeczy nie robić. Z drugiej strony nie mamy tak naprawdę w LISie żadnej rzeczy, która byłaby prostym „kopiuj-wklej”. Na poziomie idei i wartości jest dużo inspiracji. Na poziomie wdrożeniowym to wszystko wymaga bardzo indywidualnego dostosowania. Dlatego jest bardzo ciężko wskazywać mi jakieś konkretne miasta. Z każdego miejsca coś ważnego przywozimy, albo przez

negację, albo z poziomu wartości. Kluczowe jest, że wszędzie szukamy takich rozwiązań, które nie wymagają worka pieniędzy. Oglądając różne miejsca aktywności lokalnej, domy sąsiedzkie w całej Europie, zawsze najbardziej fascynują nas rozwiązania, które – jak się okazuje – można wprowadzić stosunkowo niewielkim kosztem. Ten wymiar ekonomiczny jest bardzo ważny, bo jeśli coś robimy mądrze, a tanio, to możemy zrobić o wiele więcej.

Pamiętam, jak przystąpiłam do tworzenia modułu innowacji społecznych w PPNT. Pojechałam do Brukseli na spotkanie wokół innowacji społecznych. Byłam mega zdziwiona, bo biura były w starej kamienicy. Na środku stały wielkie stoły jakby kreślarskie, a na nich leżały wielkie płachty papieru. Mieliśmy zwykłe mazaki i w rozmawialiśmy w konwencji world cafe, przesadzaliśmy się między tymi stolikami, rysowaliśmy. Na stole z cateringiem stały papierowe kubki, warnik i pieczywo, które trzeba było sobie samemu masłem posmarować. To też mnie na początku nauczyło – co może teraz się wydaje w Polsce oczywiste – że żeby robić innowacje, wcale nie trzeba drogich rzeczy, że nie musimy siedzieć na super krzesłach i obstarwić się laptopami, bo to jest synonim nowoczesności. W innowacjach społecznych chodzi o ludzi, o relacje i o wyważenie kosztów inwestycyjnych. To jest nasza horyzontalna myśl i nieustająca inspiracja, jak rzeczy, które wydają się drogie zrobić tanio, ale mądrze. To dotyczy zarówno procesów inwestycyjnych, jak i budowania oferty dla mieszkańców czy tworzenia nowych rozwiązań.

105

Pracuje Pani bardziej na wartościach, niż na wizjach i planach. Czy jedną z tych wartości jest odwaga? Czy Pani uważa się za odważną?

Mam poczucie, że odwaga jest raczej narzędziem niż wartością. W tym sensie, że wartością jest szacunek dla drugiego człowieka, budowanie partnerstwa, szukanie zasobów. Czy ja jestem odważna? Myślę, że tak. Tylko ta odwaga ma bardzo różne wymiary. To jest odwaga do eksperymentowania, czyli wchodzenia w zupełnie nowe terytoria, nowe obszary, w których się trzeba bardzo dużo uczyć. Odwaga też wiąże się z braniem na siebie bardzo dużej odpowiedzialności za ludzi i za rozwiązania. Z podpisywanymi dokumentami i zobowiązaniami, z odpowiedzialnością formalno-prawną, a również karną. Widzę też, że w takiej działalności potrzeba charyzmatycznych liderów nie tylko na poziomie lidera organizacji. W większości działań w LISie potrzebujemy charyzmatycznych liderów, działaczy. Myślę, że odwaga polega też na tym, żeby świadomie kształtować kulturę organizacyjną i myślenie o instytucji, dlatego że finalnie to ja biorę na siebie odpowiedzialność za pewne rzeczy. Bardzo łatwo jest zhierarchizować strukturę, także jeśli coś się podpisuje, to znaczy że tak powinno być. Ja bardzo często podpisuję dokumenty z pełną świadomością, że my dopiero wchodzimy w fazę eksperymentowania i że pewne rzeczy mogą się po prostu nie udać. Ta odwaga to siła napędowa. Ale szczerze mówiąc, nie rozmyślam nad tym. Podpisując jakiś dokument, albo wchodząc w nowy proces nie myślę: „O, ja to jestem taka odważna”. To raczej element DNA.

Ważna jest odwaga, a nie brawura. W tych działaniach jestem odważna, ale na bungee już nie skoczę. Odwaga też wymaga bardzo dużej mądrości, żeby nie żyć w lęku przed wyimaginowanym czymś, ale z drugiej strony, żeby nie wejść na jakąś minę. Odwaga musi być połączona z pokorą. Pokorna odwaga albo odważna pokora. Odwaga połączona ze sprawczością może się bardzo szybko skończyć brawurą i być niebezpieczna dla innych.

Ale trudno też o eksperymenty czy innowacje nie podejmując odważnych decyzji, postępując tylko zgodnie z obowiązującymi procedurami i standardami.

Można się szybko za tym schować, powiedzieć „nie, nie da się”. My też czasem mówimy, że się nie da, ale najpierw na milion sposobów sprawdzamy, czy się da. We wszystkich przypadkach, kiedy jest to możliwe, odważnie idziemy. Ale odwaga też czasem oznacza powiedzenie: Nie, tego się nie da. To jest niewykonalne. To jest nieuczciwe i wzięcie za te słowa odpowiedzialności. Odwagi wymaga też zakomunikowanie mieszkańcom pewnych trudnych decyzji. To na pewno nie jest odwaga stwierdzić, że jesteśmy dobrym wujkiem i na wszystko się zgadzamy.

„Z natury jestem osobą
nieśmiałą, ale kiedy
trzeba interweniować,
mogę iść się kłócić, stawać
przed kamerami, krzyczeć
na premiera, nie boję się
niczego”.

z Urszulą Niziołek-Janiak
rozmawia Aleksandra Żabowska

Co takiego wydarzyło się w 2008 roku, że zaczęła Pani działać społecznie na rzecz Łodzi?

111

Z okien mojego mieszkania widziałam zabytkową fabrykę pończoch Margulisa i Wolmana. Fabryka była bardzo urokliwa, a na jej terenie było sporo drzew. Bardzo zależało mi, żeby to urokliwe miejsce zostało, więc znalazłam na nie chętnego. Ten człowiek chciał zrobić tam siedzibę swojej firmy. Ale ówczesny właściciel zapewniał, że nie zamierza jej sprzedawać ani burzyć. Pewnego poranka szykowałam się do pracy i zobaczyłam przez okno, że na rogu coś się dzieje. Zaniepokoiłam się tym, bo tego dnia pojawiły się tam maszyny i kontenery. Okazało się, że fabryka ma być wyburzona. Zdenerwowałam się strasznie, bo byłam bardzo przywiązana do tego miejsca. Nie poszłam do pracy, złapałam za telefon i obdzwoniłam wszystkie możliwe urzędy, włącznie z Ministerstwem. Dowiedziałam się, że owszem fabryka jest zabytkiem, ale jest wpisana tylko do ewidencji, a to, że jest zabytkiem ewidencyjnym, nie oznacza, że jest w jakikolwiek sposób chroniona. Usiłowałam zablokować tę rozbiórkę, ale nie udało się. Ani wojewódzki konserwator zabytków, ani ministerstwo, ani prezydent miasta – nikt nie chciał interweniować. Zaczęłam interesować się tematem zabytków i okazało się, że miasto, w którym mieszkam od studiów, straciło już bardzo dużo zabytkowych obiektów i okazało się, że jest to problem ogólnopolski. Trafiłam wtedy do Grupy Pewnych Osób i do ruchu społecznego Szacunek dla Łodzi.

Brała Pani udział w projekcie Nasz Księży Młyn, którego celem było wypracowanie z mieszkańcami tego zabytkowego osiedla programu rewitalizacji. Jaka była tam Pani rola?

Najtrudniejsze było współprowadzenie pierwszego spotkania z mieszkankami i mieszkańcami Księżego Młyna. Na nas, organizację pozarządową, która śmiała tknąć ten projekt, wylał się cały gniew ludzi, którzy czekali przez wiele lat na rewitalizację. Obiecano im, że nawet jeśli obecnie w mieszkaniu żyją trzy rodziny, to dostaną trzy odrębne mieszkania od dewelopera. Rozbudzono ich nadzieje na to, że ich sytuacja mieszkaniowa znacząco się poprawi dzięki tej pseudo-rewitalizacji przez wysiedlenie, a oczywiście nie było żadnego chętnego dewelopera, który oddałby tyle mieszkań w zamian za bardzo kosztowne w remoncie zabytkowe budynki. Weszliśmy na to spotkanie z pełną szczerością. Wysłuchaliśmy mieszkańców, powiedzieliśmy, co naszym zdaniem może się tam wydarzyć i jaki jest cel tego projektu. Na początku spotkaliśmy się z wylewem złości, rozczarowań. Żądano od nas, żebyśmy powiedzieli, co miasto planuje. Miasto nie planowało niczego. Pod koniec zaczęliśmy dochodzić do wspólnych wniosków. Ludzie zaczęli mówić o tym, że ich rodziny mieszkały tam od kilku pokoleń, że mają wsparcie w sąsiadach. Zaczęli rozważać zostanie na Księżym Młynie. To było bardzo pocieszające, że już na pierwszym spotkaniu mieszkańcy poczuli, że można odwrócić tę dziwną rewitalizację deweloperską i pójść w zupełnie inną stronę. Zależało nam, żeby mieszkańcy pozostali w większości mieszkań. W trakcie realizowania tego projektu zostałam radną Rady Miejskiej i zależało mi, żeby jego wyniki przełożyły się na realne działania. Podjęłam starania, żeby władze miejskie odrzuciły poprzedni projekt rewitalizacji polegający na wysiedleniu wszystkich mieszkańców i sprzedaniu tego terenu deweloperowi i to się udało. Uczestniczyłam potem w spotkaniach społecznego zespołu, który pracował nad określeniem nowych zasad rewitalizacji. Zgodnie z bardzo popularnym wtedy trendem przemysłów kreatywnych chcieliśmy też wprowadzić tam usługi turystyczne, ściągnąć artystów, zagospodarować sklepiki, zwiększyć ilość usług. To wszystko tak naprawdę teraz dzieje

się na Księżym Młynie i cieszę się, że jest teraz tak popularny, ludzie chcą tam mieszkać. W rewitalizacji ogólnomiejskiej dużo mniej osób deklaruje chęć powrotu do mieszkania po remoncie, niż na tym osiedlu.

Jak w takim razie należy prowadzić tego typu działania, aby była to faktyczna rewitalizacja, a nie po prostu remont?

Jestem przeciwniczką prowadzenia rewitalizacji ze środków unijnych, przynajmniej w takim kształcie w jakim te środki teraz są dysponowane, ponieważ wymusza to szybkie działania i często kończy się klęską albo prowadzeniem ustaleń i prac ponad głowami ludzi. Na Księżym Młynie dzięki naszemu projektowi udało się przekonać wiceprezydent miasta Agnieszkę Nowak, żeby zrobiła szersze konsultacje. Było kilka spotkań z mieszkańcami, a potem zawiązał się zespół społeczny złożony z mieszkańców, społeczników i urzędników, który wypracował główne metody i obszary działań. Uważam, że rewitalizację trzeba robić pomału i bardzo ostrożnie. Oczywiście cieszy mnie bardzo to, że odbywają się te wielkie remonty – sama w jakimś sensie się do tego przyczyniłam, inicjując ze społecznikami projekt „100 kamienic dla Łodzi” – ale ten projekt powinien być na spokojnie przygotowany od strony bardziej ludzkiej. Tę „dużą rewitalizację” dało się zrobić lepiej, ale unijne środki, które udało nam się na ten cel zdobyć, wymagały rozliczenia w konkretnym czasie. Należałoby przemyśleć, czyli wszystkie te budynki trzeba remontować w całości, czy wszystkich trzeba wysiedlać. Najpierw przygotować mieszkania zamienne, żeby na czas remontu ludzie mogli się przeprowadzić i wrócić, bo w bardzo wielu przypadkach mieszkanki i mieszkańcy nie chcą wracać do kamienic

po remontach nie tylko dlatego, że wzrasta czynsz. Nie są informowani, jak długo będzie trwał remont, nie wiedzą do jakiego mieszkania wrócić, czy ono się zmieni, czy zostanie przebudowane, kto z sąsiadów wróci... Moim zdaniem rewitalizacja musi się zaczynać od wspólnoty. Kiedy wchodzi się w jakiś obszar najpierw musi być rozmowa z ludźmi i opracowanie kroków. I trzeba dotrzymać słowa. Rewitalizacją nie powinni się zajmować ludzie, którzy nie są empatyczni. Bardzo podobał mi się przykład tego, jak rewitalizację prowadzi Berlin. Tam jest to proces zaplanowany na wiele lat i prowadzi go organizacja pozarządowa, która działa na danym terenie, cały czas animuje go i nadzoruje wszelkie przekształcenia. Oczywiście w Berlinie nie ma tak dużej ingerencji w infrastrukturę, w mieszkania, budynki. To jest głównie poprawa jakości życia mieszkańców, ale tak naprawdę temu te remonty budynków powinny służyć – żeby ludziom, których zastało się na danym obszarze, poprawiało się życie nie tylko pod względem infrastruktury, otoczenia, ale np. pod względem zawodowym. Bardzo brakuje mi pogłębionych badań w łódzkiej rewitalizacji dotyczących kompetencji zawodowych i społecznych mieszkańców oraz stawiania na korzystanie z tego potencjału. Dochodzą do tego jeszcze dwie rzeczy, które dziś wydają się już oczywiste. Kiedy wydajemy duże środki na poprawę jakiejś części miasta, to na pewno nie można petryfikować takich rozwiązań jak zabetonowane place czy ulice. Zieleń musi być wszędzie, w każdej możliwej formie. I na pewno trzeba wprowadzać wszelkie działania dotyczące dostosowania do zmian klimatu, ale również wpływu miasta na zmiany klimatu. Stąd kolejna inicjatywa społeczna, czyli Łódzki Panel Klimatyczny.

... zainicjowany przez założoną przez Panią Koalicję TAK dla Łodzi. Co jeszcze miała wnieść do polityki miejskiej?

Marzę o mieście, które byłoby zarządzane przez mieszkańców. O mieście, w którym prezydent ma jakąś swoją wizję rozwoju miasta i na tej podstawie wygrywa wybory, ale nie rządzi ponad głowami ludzi. Nadrzędną rzeczą, którą chcieliśmy wnieść do władz miejskich było bardzo głębokie uczestniczenie mieszkańców w zarządzaniu i administrowaniu miastem. Partycypacja, nie tylko rozumiana jako konsultacje społeczne, ale udział mieszkańców w planowaniu, odbiorach inwestycji, oddawanie mieszkańcom kawałków przestrzeni, którymi by się opiekowali. Kolejną bardzo ważną potrzebą było to, że obecne władze zawsze stawiały na ogromne inwestycje. Uważaliśmy, że mamy tu do czynienia z radykalnie pomyłonymi priorytetami. Jeżeli budujemy już trzeci stadion i orientarium, ale ileś tysięcy łódzkich rodzin nie ma toalety w mieszkaniu a nawet wody, to jest to zarządzanie do góry nogami. My chcieliśmy postawić miasto na nogi, ale chyba byliśmy za mało przekonujący...

Same ruchy miejskie nie powstały po to, żeby klaskać władzom miasta i wyręczać władze w akcyjnych, jednostkowych działaniach. Są od myślenia o potrzebach mieszkańców w sposób całościowy. Wyrosły z niezadowolenia z tego, co się dzieje, z dostrzeżenia ogromnej ilości potrzeb pomijanych, lekceważonych, niedocenianych. Na pewno wiele osób od tego zaczynało – od sprzeciwu. W TAKu mieliśmy i mamy ludzi, którzy wymagali od urzędu więcej i którzy inicjowali lokalne protesty, ale też proponowali konkretne zmiany. Jako organizacja jesteśmy w takiej śmiesznej sytuacji, że protestujemy przeciwko temu, co dzieje się w kraju, a jednocześnie dopominamy się od władz miasta z innej opcji, żeby zmieniły priorytety. Stoimy w bardzo niewygodnym rozkroku. Dlatego, jeśli występujemy z jakimiś inicjatywami, to z reguły one są odrzucane i co ciekawe – częściej lokalnie.

Była Pani współtwórczynią pierwszego łódzkiego Regulaminu Konsultacji Społecznych i Przewodniczącą Komisji ds. Partycypacji Społecznej i Budżetu Obywatelskiego. Wnioskowała Pani również za podniesieniem jego kwoty do 40 milionów złotych. Jak Pani ocenia obecne decyzje władz miasta o zamrożeniu budżetu obywatelskiego na rok 2020?

Nie mogę oceniać ich dobrze. Zarządzanie miastem nie polega na samowładztwie, tylko jak najszerszym oddawaniu władzy ludziom. Budżet obywatelski czy środki dla rad osiedli to ostatnia rzecz, na której chciałabym robić oszczędności. Jest mi po prostu bardzo przykro. Pierwszy projekt uchwały dotyczący budżetu obywatelskiego pisałam razem z radnym Witkiem Rossetem. Czuję się mamą budżetu obywatelskiego w Łodzi. Jest mi przykro, kiedy widzę, że ten budżet rozgrywa się bardziej jako PR. Władze nie dotrzymały słowa, że w 2018 roku będzie 100 mln na budżet obywatelski. Odbieranie jednego śmiesznego procentu, o którym ludzie sami mogą zdecydować pod pozorem oszczędności z powodu epidemii, gdy jednocześnie wydaje się ogromne środki na bzdurne inwestycje czy dofinansowuje spółki miejskie jest dla mnie karygodne.

Jeszcze rok temu na miejskich konferencjach padały hasła takie jak „Partycypacja 3.0”. Jako jedyne polskie miasto możemy również pochwalić się platformą Vox Populi. Czy to była faktyczna zmiana czy tylko zmiana narracji miejskich urzędników?

Vox Populi to nie są żadne konsultacje, tylko zasięgnięcie opinii publicznej, które oczywiście może się przydawać, ale

konsultacje polegają na dialogu. Na tym, że każda strona coś od siebie wnosi, mówi o swoich doświadczeniach, wymienia się nimi i w ten sposób wypracowuje się najbardziej optymalne rozwiązanie. Ja się śmieję, że jeżeli w Łodzi nada się czemuś piękną nazwę to zawsze okazuje się to absolutnym fiaskiem. Głosowanie na zasadzie: 3 zdania opisu i kliknij „tak”, „nie” lub „nie wiem” to nie jest poważne traktowanie partycypacji. A marginalizacja rad osiedli potwierdza, że władze miejskie nie chcą dzielić się decyzywnością.

Była Pani również kandydatką na stanowiska Prezydenta Miasta Łodzi z ramienia koalicji. Startowanie przeciwko Hannie Zdanowskiej popieranej przez blisko 70% Łodzian to bez wątpienia odważna decyzja. Z jakimi decyzjami prezydent Zdanowskiej Pani nie po drodze?

Bardzo dużo by się tego uzbierało (śmiech). Przede wszystkim jestem zwolenniczką systematyzowania miasta. Co roku widzimy jak ludzie szarpią się o to, żeby utwardzono ich drogę gruntową czy wyremontowano ich chodnik. To nie powinno tak wyglądać – powinno się stworzyć z mieszkankami i mieszkańcami plany rozwoju osiedli i harmonogramy, co, kiedy i na jakim osiedlu robić. I za co. Śmieję się, bo pani prezydent Zdanowska jako kandydatka weszła do wyborów z planem dla osiedli. Ja o taki plan prosiłam kilka lat wcześniej w interpelacji. Odpowiedziano mi, że nie jest to potrzebne, ale okazuje się, że zostało zachowane na kampanię wyborczą.

Odkąd jest Pani aktywistką zmieniała się władza w Łodzi, ale również władza w Polsce. Nie możemy liczyć na polski rząd w kwestiach klimatycznych, praw kobiet,

praw pieszych czy troski o zieleń w mieście. Co w takiej sytuacji może zrobić samorząd? Jak widzi Pani jego rolę?

Rzeczywiście jest ostatnio tak, że samorząd musi zastępować rząd w działaniach, z którymi jest mu nie po drodze. Nie wiem czy Łódź dobrze sobie z tym radzi. Jeśli chodzi o prawa reprodukcyjne, zgłaszaliśmy pomysł utworzenia 24-godzinnych gabinetów ginekologicznych. Prezydent obiecała je w kampanii wyborczej, ale nie dotrzymała słowa. Zbieraliśmy podpisy pod akcją darmowych obiadów dla dzieci w szkołach – to również się nie wydarzyło. Zgłaszaliśmy projekt uchwały dotyczący edukacji obywatelskiej i samorządowej – nic się w tej kwestii nie dzieje. Mam wrażenie, że na nasze miasto zastępujące rząd nie ma co liczyć, bo działa dość tchórzliwie. Nie mówiąc już o tym, że tak naprawdę nie mogliśmy prowadzić kampanii wyborczej, bo siedzieliśmy pod wycinanymi przez miasto drzewami – to tak a propos wiarygodności zielonych strategii. A rola samorządu musi rosnać i będzie rosnać. I to samorzady zdecydują o jakości życia w miastach, czy rząd tego chce, czy mu się to nie podoba.

W mediach, ale również wśród samych mieszkańców Łodzi mieszają się ze sobą dwie zupełnie sprzeczne historie o Łodzi: jedna o nowoczesności, postępie i inwestycjach, a druga o niewyleczonych ciągle skutkach transformacji ustrojowej, ubóstwie i walących się kamienicach. Która Pani zdaniem jest bliższa prawdzie?

Uważam, że te dwie rzeczy się nie wykluczają. Można stworzyć warunki do inwestowania, a jednocześnie władze miejskie mogą bardziej skupić się na poprawie jakości życia

ludzi. Na pewno jestem zwolenniczką tego, aby bardziej opierać się o to co lokalne, by częściej współpracować z lokalnymi firmami, a niekoniecznie biegać za wielkimi inwestorami typu Amazon... Bardziej cieszy mnie niewielki trzypiętrowy budynek przy małej uliczce zbudowany przez łódzką firmę niż wejście do Łodzi wielkiego dewelopera. Oczywiście te wielkie inwestycje też są potrzebne, ale łódzkie władze mocno przegięły w stronę firm zewnętrznych, PR-u budowanego na historiach o tym, że miasto rozwija się dzięki wielkim firmom i deweloperom. Za mało w tym wszystkim mówimy o ludziach.

Z czego Łódź może być dumna?

Z tego, że udało się odczarować obraz miasta przegranego, nic nie wartego. Miasta, do którego nie warto przyjechać, nie warto po nim chodzić i go podziwiać. Myślę, że ten lokalny patriotyzm to coś, co udało się głównie organizacjom pozarządowym i zwykłym mieszkańcom i to jest fantastyczne. Bardzo cieszy mnie też to, że ludzie się obudzili, to, że uwierzyli w Łódź w to, że warto o nią walczyć i to powoduje, że mamy bardzo dużo inicjatyw. Gdy tylko coś się dzieje na jakimś osiedlu czy ulicy, zaraz mamy wielką dyskusję społeczną na ten temat. Ostatnio gdy okazało się, że władze w planie miejscowym chcą przeznaczyć teren przy ulicy Centralnej, gdzie jest mnóstwo drzew i zieleni, pod zabudowę deweloperską, to już mamy strony facebookowe, petycje i inicjatywy, które się temu sprzeciwiają. Te inicjatywy wynikają głównie z buntu przeciwko proinwestorskiemu nastawieniu miasta. Ja uważam, że również z konfliktów można wyciągnąć naukę i można przekuć je w sukces, tylko nie można ludzi protestujących, niezgadających się z zamiarami władz deprecjonować, wyśmiewać ani blokować. Trzeba traktować ich poważnie.

Niestety, tego brakuje.

A z czego dumna jest Urszula Niziołek-Janiak?

Osobiście jestem dumna z tego, że gdy słyszę z czego w mieście ludzie się teraz cieszą, to mogę powiedzieć, że miałam w tym swój bardzo duży udział. Udało mi się naprawdę sporo zdziałać. Dumna jestem z tego, że poznałam fantastycznych ludzi i że razem z nimi coś udało się zrobić. A jako mieszkanka najbardziej dumna jestem z tego, że udało się odczarować przekonanie, że nie warto inwestować w Łódź, że nie warto remontować budynków, że nie warto dbać o przestrzeń. To jest chyba najważniejsza rzecz. Chciałabym jeszcze przekonać do dbania o ludzi.

120

Czym jest dla Pani odwaga w kontekście działania w przestrzeni publicznej?

Myślę, że odwaga działania w przestrzeni publicznej polega na tym, żeby nie dać się zbijać z tropu, drażnić temat i nie myśleć o tym, jak ta przestrzeń może funkcjonować w sposób najlepszy. Na szukaniu rozwiązań nieoczywistych – np. czemu latem nie wieszać żagli nad miejscami przy przejściach dla pieszych? Jak to zrobić, żeby ulica była domem ludzi, którzy przy niej mieszkają i nie dawać się przekonywać, że nie da się tego zrobić. Mam za sobą bardzo dużo takich doświadczeń. Na przykład, kiedy prosiłam, żeby zacząć sadzić drzewa przy ulicach, słyszałam, że nie da się, bo wszędzie są instalacje i przepisy mówią „nie”. Pojeździłam, popytałam, pomęczyłam, pokłóciłam się... i dało się! Pierwsze drzewa były posadzone przy ulicy Kopernika na instalacjach. Gdy chciałam

standardów nawierzchni na chodnikach, urzędnicy nie wiedzieli początkowo, o co mi chodzi. Wzorem jest dla mnie Anne Hidalgo¹. Bardzo bym chciała, żebyśmy dotarli kiedyś do takiego poziomu, kiedy będziemy tak mocno zmieniać przestrzenie publiczne, jak to się dzieje zwłaszcza pod kątem transportowym w Paryżu, którym ona rządzi.

Jakie miejskie projekty uważa pani za odważne?

Jakie chciałaby Pani przenieść do Łodzi?

Bardzo dużo rzeczy. Cześć już tak pomalutku się pojawia. Udało się na przykład z woonefami. Działam w Pieszej Polsce i to określa moje nastawienie do mobilności. Uważam, że mamy przed sobą ogromne zadanie, jeśli chodzi o przerabianie miasta na małe sąsiedztwa przyjazne pieszym, miasta krótkich odległości, miasta pełne zieleni. Obecnie na jednej ulicy można wskazać palcem kilkanaście przestrzeni, które mogłyby być bardziej zielone. Nie bałabym się poszerzania chodników czy zieleńców kosztem jednego pasa ruchu. Na pewno stawiałabym na transport zrównoważony, rowery, przede wszystkim piesi – żeby wszędzie było blisko. To są dla mnie najbardziej odważne rozwiązania. Oczywiście przy tym wszystkim trzeba uwzględniać kwestię cienia, tworzenia chłodnych szlaków. Kiedy mówimy o ekologii, poprawie bezpieczeństwa i warunków życia mieszkańców, nie ma projektów zbyt odważnych. Za to nie cenię zbyt tego, co do tej pory określało się jako smart city, czyli jakichś nowinek technologicznych obecnie służących głównie popisaniu się, co to my nie zrobiliśmy. Bardzo podoba mi się projekt Slow Ottawa, który przekształca przestrzeń tego

121

¹ Anne Hidalgo – francuska polityk i działaczka samorządowa. W latach 2001 – 2014 pierwsza wicemer Paryża, a od 2014 roku mer Paryża. Pierwsza kobieta na tym stanowisku, zwolenniczka zrównoważonego transportu i ekologicznych rozwiązań architektonicznych.

miasta pod kątem pieszych, korzystania z przyjemnością z przestrzeni publicznej. Przestrzenie nie są tylko do poruszania się, ale też od tego, żeby kontemplować piękno, spotkać się z przyjaciółmi, pobawić się, zachwycić się jakimś miejscem. Lubię działania systemowe: bierzemy jakiś obszar i zastanawiamy się co możemy zrobić teraz, a co możemy jeszcze w procesie zrobić później. Taka ciągłość działań. Nie znoszę działań akcyjnych – jeśli chodzi o zarządzanie miastem oczywiście, bo jako mieszkanka nie wiem już, ile razy sadziłam w mieście drzewka i kwiatki (śmiech).

Które z Pani działań spotkało się z największym oporem i krytyką?

Systemowa ochrona drzew i terenów biologicznie czynnych – to może nawet nie sprzeciw, ale kompletne niezrozumienie – i kwestia pieszego miasta. Przyjęliśmy jako rada miejska z mojej inicjatywy i radnego Domaszewicza uchwałę o kierunkach działania dotyczącą rozwoju infrastruktury dla pieszych. Ja na nią mówię „Piesza Łódź”. Ta uchwała kompletnie nie ruszyła, a było tam i uspokajanie ruchu, i taki kierunek Slow Ottawa, czyli ulice jako spokojne miejsce dobre do mieszkania, dobre do życia, zabawy, wypoczynku ze znajomymi, co wymaga oczywiście ograniczenia ruchu samochodowego. To są najbardziej krytykowane kwestie w mojej działalności. Może nie mam takiego daru przekonywania, a może ten opór wciąż jest zbyt silny?

Skąd Pani zdaniem bierze się tak silny sprzeciw?

Myślę, że z przyzwyczajenia. Po drugie z tego, że jest słaba

oferta komunikacji publicznej na obrzeżach miasta. To jest na pewno coś, z czym Łódź będzie musiała się zmierzyć. Nie może być tak, że autobus na osiedlu jeździ raz na godzinę, bo jest to antyoferta, działanie, które odzwyczajają ludzi od korzystania z tramwajów i autobusów, a nie do nich przekonuje. Łatwość zakupu biletu, na czym skupiają się obecnie władze, niewiele pomoże. Oczywiście problemem jest to, że mamy wszędzie daleko. Są takie miejsca, gdzie nie da się wszystkich spraw załatwić w jednym miejscu. Nie da się zrobić zakupów na swoim osiedlu, znaleźć dobrej szkoły, szewca czy stomatologa. Nierównomiernie są zapewnione usługi publiczne i to też powoduje, że ludzie poruszają się samochodami. Wiadomo, że jeśli chodzi o zmianę myślenia o mobilności, to Polska jest bardzo, bardzo w tyle... Teraz z Pieszą Polską walczyliśmy o to, by zmienić przepisy dotyczące pieszych i mamy nadzieję, że te najbardziej dolegliwe przepisy, które powodują, że pieszy ginący na pasach praktycznie z automatu staje się winnym, bo nie może się bronić, zostaną natychmiast zmienione. Myślę, że ta nasza mentalność była przez tyle lat deformowana, że to będzie najtrudniejszy bój. Musimy sobie zdawać sprawę z jednej rzeczy: duża część ludzi musi mieć samochody w mieście dlatego, że nie funkcjonuje transport publiczny do mniejszych miejscowości. Trzeba zastanowić się nad tym, jak to zrobić, żeby ludzie nie jeździli samochodami po mieście. Autobus przegrywa z własnym autem stojącym na darmowym miejscu pod blokiem – ale ta wygoda odbywa się kosztem ludzi mieszkających przy hałaśliwych i „trujących” ulicach. Potrzeba bardzo odważnych zmian, wzorem może być to, co zrobił w Bogocie Gil Peñalosa².

² Gil Peñalosa – kolumbijski przedsiębiorca i planista, założyciel i członek organizacji 880 Cities, popularyzującej koncepcję kreowania przestrzeni miejskich dostępnych dla jak najbardziej zróżnicowanego spektrum użytkowników.

W Łodzi trudno żyć w obrębie swojej dzielnicy i w codziennym funkcjonowaniu trudno obyc się bez Centrum.

Tak, to duży problem. Kiedyś nawet sam Urząd miał delegatury w dzielnicach. W tej chwili widzę tendencje do centralizacji. Oczywiście usługi zdalne w pewien sposób rekompensują skutki tej centralizacji, ale dla osób, które z nich nie korzystają dolegliwe jest to, że trzeba jechać do centrum, żeby załatwić jakąkolwiek sprawę. Jest też bardzo ważna kwestia, której praktycznie nie kojarzy się z rewitalizacją, czyli jakość edukacji. Są wyjątki, ale co do zasady najlepsze wyniki i warunki do nauki wśród szkół podstawowych mają szkoły osiedlowe, czyli na blokowiskach i osiedlach domów jednorodzinnych. Mam nadzieję, że szkoły w centrum w ramach rewitalizacji doczekają się jakiegoś dedykowanego im działania. Kiedy pytałam na początku przygotowań do Gminnego Programu Rewitalizacji, czy Wydział Edukacji jest w to włączony, pytano: „po co?”. A po to, żeby ludzie chcieli tu mieszkać i żeby ich dziecko mogło iść pieszo do dobrej szkoły, a nie było wożone samochodem.

Ciekawe jest to, że wszystkie sprawy załatwia się w Centrum, ale mimo to mało kto chce w nim mieszkać.

Kto by chciał mieszkać ze sznurami samochodów pod oknem, bez drzew, w miejscu, które uchodzi za niebezpieczne i jest brudne? Z tysiącami dymiących pieców i odrapaną klatką schodową? Wiadomo, że nie ma tutaj tak komfortowych warunków do życia jak na osiedlach domów jednorodzinnych, ale są też ogromne plusy – po prostu wszędzie jest blisko.

Musimy zrobić wszystko, by w każdym miejscu miasta żyło się dobrze.

Czy ma Pani poczucie, że przez swoją działalność wyznacza Pani nowe kierunki i przeciera szlaki?

Nie przypisuję sobie aż takich zdolności (śmiech). Moje działania wpisały się w cały trend ruchów miejskich i to nie ja to zapoczątkowałam. Ale, żeby tak tylko nie mówić jaka to jestem skromna – mam pewne całościowe spojrzenie na miasto. To wynika głównie z wymiany doświadczeń, z uczenia się, z obserwowania tego, jak inne miasta funkcjonują i rozwiązują problemy, z kontaktów z osobami, które takie fajne rozwiązania miejskie stosują u siebie, np. testują zmiany w przestrzeni. Mam sporą wiedzę i uważam, że to fantastyczny kapitał.

Czy jest pani odważna?

Z natury jestem osobą bardzo nieśmiałą. Jeszcze w czasie studiów bardzo przeżywałam, jeśli musiałam iść do wykładowcy o coś się upomnieć. Wystąpienia publiczne do tej pory są dla mnie bardzo trudne. Czerpię odwagę z potrzeby działania, interweniowania w jakichś sprawach. W tej chwili jestem w takiej sytuacji, że moje możliwości sprawcze są bardzo ograniczone, a jednocześnie ludzie są przyzwyczajeni do tego, by zwracać się do mnie i cały czas to robią. Bardzo dużo potrzeb dociera do mnie różnymi drogami. To dość frustrujące, jeśli niewiele można zrobić. Mimo to działanie dla miasta sprawia mi ogromną przyjemność. Chyba jestem odważna, bo z tej potrzeby, kiedy

coś się dzieje i trzeba interweniować, to mogę iść klócić się, stawać przed kamerami, krzyczeć na premiera, nie boję się niczego. Tak, chyba jestem odważna (śmiech). To miasto mnie zmieniło. Ta moja zburzona mała fabryczka...

„Jestem nadwrażliwa
na ryzyka, dlatego
potrafię widzieć więcej
i szybko podejmować
decyzje bezpieczne”.

**z Grażyną Szotkowską
rozmawia Paulina Stok-Stocka**

Działalność Szczecińskiego Towarzystwa Budownictwa Społecznego jest dość odważna, nie tylko na gruncie szczecińskim, ale także w porównaniu do innych TBS-ów w kraju.

131

Jeżeli chodzi o podstawowy zakres działalności, to jest to działalność określona ramami prawnymi i w tym obszarze o żadnej odwadze nie ma mowy. Głównym zadaniem TBS-ów jest budowanie mieszkań, a jedną z podstawowych potrzeb człowieka jest dom. W naszej działalności mamy do czynienia z różnymi sytuacjami rodzinnymi, społecznymi, z potrzebami określonych grup wiekowych, od dzieci przez ludzi młodych, rodziny wielodzietne po seniorów. W ramach kontaktów z tymi ludźmi uczymy się też i doświadczamy, że życie każdego człowieka jest inne i wymaga zaspokojenia zupełnie innych potrzeb. Uczymy się tego, że czasami potrzeby, które przy pierwszym kontakcie wydają się potrzebą indywidualną, niekoniecznie taką potrzebą muszą być – mogą dotyczyć większej grupy osób, szczególnie w mieście takiej wielkości jak Szczecin. Staramy się dowiedzieć, szczególnie poprzez instytucje działające w sferze społecznej, na ile dana sytuacja rodzinna jest sytuacją powtarzalną, jaka to jest skala. I po zbadaniu takiej sytuacji staramy się w oparciu o wykorzystanie naszej infrastruktury mieszkaniowej, tak adresować te mieszkania, żeby one trafiały do bardzo określonych grup, uwzględniając ich specyficzną sytuację rodzinną i społeczną. Chodzi nie tylko o sytuację finansową, ale też zdrowotną, wiekową, o zdiagnozowanie szczególnych potrzeb. Można powiedzieć, że to jest niszowa sfera działań, która w skali miasta nie jest bardzo widoczna, ale nawet jeśli dotyczy bardzo wąskiej grupy, to czasami warto problem danej rodziny rozwiązać. Być może okaże się, że jest większe zapotrzebowanie na tego typu rozwiązanie w mieszkalnictwie. Mówiąc o odwadze, faktycznie często trzeba mieć odwagę zmierzyć się z takim projektem, który

nie jest projektem tuzinkowym, powtarzalnym, nie ma czasami dobrych praktyk w skali naszego kraju, a być może nawet w skali europejskiej. Nie spotykamy się z podobnymi projektami w Szczecinie, bardzo rzadko w innych polskich miastach.

Odważnym projektem, który realizowany jest już szósty rok, była decyzja o przygotowaniu mieszkań chronionych dla osób powyżej 65 roku życia, kiedy ustawa o pomocy społecznej w ogóle nie przewidywała tego typu mieszkań, jakie w tej chwili funkcjonują w Szczecinie. Ten projekt ciągle się rozwija, a zapotrzebowanie na jego realizację rośnie. Trzeba było odwagi, żeby ten projekt obudować ze strony formalno-prawnej, żeby go przeanalizować od strony zabezpieczenia finansowego. Nie było możliwości sprawdzenia, jak odbiorą te mieszkania ich przyszli mieszkańcy. To są osoby starsze, samotne, potrzebujące wsparcia osób trzecich, które właściwie chciałyby dostać się do domów pomocy społecznej. Autorką projektu jest Pani Marta Giezek – dyrektorka Miejskiego Ośrodka Pomocy Rodzinie w Szczecinie. W tamtym czasie nie było jeszcze jasnych przepisów prawnych dotyczących mieszkań chronionych i tak naprawdę, po części, na bazie naszych przykładowych realizacji to ustawodawstwo zostało zmienione.

Trzeba było znaleźć lokale, które zapewniałyby możliwość zamieszkania przez co najmniej 5-6 osób starszych, w którym byłyby dwie łazienki, w tym jedna dostosowana do osób z niepełnosprawnościami, kuchnia, część wspólna – miejsce na spotkanie, no i oczywiście część indywidualna – pokoje. Mieszkania musiały być bez barier, bo mieszkańcy jako osoby starsze mają różne ograniczenia sprawności. Ten projekt się bardzo dobrze sprawdza, bo daje klimat intymności w porównaniu do instytucjonalnych domów pomocy społecznej. Nasze mieszkania dają możliwość zamieszkiwania w warunkach zbliżonych do normalnych mieszkań, ale przy

zapewnieniu całodobowej opieki. Mało tego, liczba opiekunów jest zdecydowanie większa niż wymogi, wynikające z przepisów dotyczących domów pomocy społecznej. Na 6 osób zamieszkujących w mieszkaniu chronionym w ciągu dnia są dwie osoby sprawujące opiekę, a w nocy jedna. Opiekunów zapewnia organizacja pozarządowa, wyłoniona w otwartym konkursie ofert, organizowanym przez Gminę Miasto Szczecin. Na ten moment takich mieszkań mamy 7. Przygotowujemy następne. Żeby zachęcić do powstania pierwszych takich mieszkań naprawdę trzeba było odwagi w zmierzeniu się z problemami, które nie były wcale proste. Wyzwania były zarówno od strony prawnej, jak i związane z przebudową mieszkań, z zasadami ich udostępnienia – zwłaszcza, że nie było odpowiednich przepisów.

Jak Pani opowiada o tych mieszkaniach wspomaganych, to myślę, że one są niezmiernie ważne dla funkcjonowania miasta. Osoby, które mieszkają w DPS-ach są w nich niemal zamknięte, a seniorzy w mieszkaniach wspomaganych są jednak dalej mieszkańcami miasta, korzystają z niego. Dalej mogą wyjść do sklepu, usiąść na ławce pod blokiem i porozmawiać z sąsiadką – są częścią lokalnych społeczności.

Forma mieszkań wspomaganych funkcjonuje od kilku lat i bardzo dobrze się sprawdza w praktyce. Ich najemcy są bardzo zadowoleni, bo jest to forma przejściowa z mieszkania podstawowego do – być może w przyszłości – DPS-u lub specjalistycznego ośrodka. Ale na tym etapie życia osoby te niekoniecznie muszą zamieszkiwać w domach instytucjonalnych. Wielka szkoda, że ta forma mieszkalnictwa nie ma odzwierciedlenia w przepisach prawnych, związanych

z systemem pomocy społecznej. Nasze mieszkania wspomagane opierają się o umowę cywilno-prawną na wynajem lokalu, a obok funkcjonują dodatkowe podmioty – Klub Seniora, czyli placówka zapewniająca wyżywienie, pomoc pielęgniarską, wypełnienie wolnego czasu. Mieszkaniec ma możliwość skorzystania z tego, ale też ma prawo się znudzić i pójść do własnego mieszkania, zamykając za sobą drzwi i wrócić, kiedy będzie miał na to ochotę. Nie jest zamkniętą infrastrukturą obszarową. Można decydować, co w danej chwili chce się zrobić.

Naszym zadaniem jest przygotowywać lokale, infrastrukturę, wychodzić naprzeciw tym nietuzinkowym potrzebom ze sfery społecznej czy kulturalnej. Staramy się nie skupiać na tym podstawowym przedmiocie naszej działalności, tylko kreować pewną misję, którą mamy do zrealizowania w Szczecinie. Nie tylko budować, ale budować tak, żeby nasze inwestycje przynosiły satysfakcję tym, którzy będą w naszych budynkach mieszkali. Planujemy np. ogrody społeczne, warzywniki na dachu, miejsca do wypoczynku w częściach wspólnych, wprowadzanie dużej ilości zieleni na podwórkach. Na pewno są to rzeczy niepowszechne, nietuzinkowe i trzeba do tego typu rozwiązań wiele osób przekonywać. Miasto Szczecin współfinansuje te inwestycje i trzeba znaleźć argumenty na wartości dodane takiego rozwiązania, bo one przynoszą efekty niewymierne, niefinansowe – przede wszystkim zadowolenie mieszkańca. To oczywiście pociąga za sobą dodatkowe koszty, ale jednak miasto to nie domy tylko mieszkańcy – jeżeli będą chcieli mieszkać w centrum miasta, to będzie to dowód na to, że nasze odważne projekty mają swoje uzasadnienie.

STBS jako miejska spółka jest osobnym podmiotem, ale jednak jest uzależniona od finansowania ze strony miasta. Na ile ma Pani swobodę do kształtowania tego

programu, misji spółki, a gdzie występują ograniczenia formalno-prawne?

Ograniczeń formalno-prawnych nie ma prawie żadnych, jeśli tylko komuś się chce chcieć. Bo ograniczenia są po to, żeby się z nimi zmierzyć. Jeżeli ukształtuje się dany pomysł, to pierwsze co muszę zrobić, to zaprezentować wszystkie jego dobre strony miastu. Oczywiście trzeba stawiać sprawę uczciwie i pokazać też słabe strony jeśli takie są, bo to daje pełen obraz i równowagę.

Każda firma ma swoją kulturę organizacyjną, a firma to ludzie. Jeśli pracownikom praca daje przyjemność i widzą w niej nie tylko źródło utrzymania swojej rodziny, to wtedy można góry przenosić. Oczywiście są rzeczy niemożliwe, ale to nie znaczy, że nie należy spróbować się z nimi zmierzyć, przeanalizować wszystkie bariery i dopiero wtedy stwierdzić, że jakiś projekt jest nierealizowalny, wiedząc dlaczego. Tak się złożyło, że bardzo lubię tę pracę i sprawia mi wielką satysfakcję, że wiele rzeczy udało się wspólną pracą zrobić. Nie robię tego po to, żeby ktoś mnie pochwalił, ale mogę sama sobie powiedzieć, że udało mi się coś zrobić, a mieszkańcy mogą teraz z tego korzystać.

Szukanie nietuzinkowych rozwiązań to zadanie szefostwa. Żeby firma pracowała nie tylko od 8 do 16, pracownicy potrzebują bodźca – nie tylko pozytywnego. Jak mam inne zdanie, kłócę się czasem ze swoimi pracownikami. Niekiedy ustępuję, żeby mogli popełnić błędy – nie dla mojej satysfakcji i powiedzenia „a nie mówiłam”. Oczywiście są to błędy, które nie mają skutków finansowych, tylko organizacyjnie wymagają czasem więcej pracy, więc muszę wyważyć swoją decyzję. Szczęśliwie mam w swoim zespole pasjonatów, którzy też są otwarci na nowe pomysły. Ostatnio miasto otrzymało od IKEA wyposażenie

do mieszkań kryzysowych dla medyków. Naszym zadaniem było znalezienie odpowiednich lokali. Już na etapie przygotowania do przekazania mieszkań poszłam razem z jednym z dyrektorów i kierowniczką zobaczyć jak wyglądają mieszkania. Meble były już poskręcane, ale nie było dla nas problemem, żebyśmy sami to urządzili: porozkładali kołdry, poukładali garnki. Nawet dołączyła do nas jedna z pracownic z innego rejonu, bo wielką satysfakcję sprawiło jej właśnie to, że może się włączyć w takie działanie, a to nawet nie było nasze zadanie, bo mieliśmy tylko wyznaczyć lokale.

Zaangażowaliśmy się też w utworzenie Agencji Mieszkaniowej Miasta, nad funkcjonowaniem której sprawujemy pieczę merytoryczną. Braliśmy czynny udział w tworzeniu tej jednostki i przekonywaliśmy Miasto, że warto zainwestować w ten projekt, bo to też się przełoży na wizerunek i ocenę miasta.

136

Za każdym razem, kiedy z Panią rozmawiam i słyszę tę pasję, z jaką Pani opowiada, samo nasuwa mi się pytanie, za co lubi Pani swoją pracę?

Za możliwość podejmowania i realizowania nietuzinkowych projektów. Lubię ludzi i cieszę się, że mogę pomagać tym, którzy tego potrzebują. Być może niektórzy na tę pomoc w powszechnej opinii nie zasługują, ale wszyscy jesteśmy tylko ludźmi. Czasem mam wrażenie, że w naszym społeczeństwie niektórzy nie mają empatii i szacunku dla drugiego człowieka, któremu coś się w życiu nie poukładało.

Wyobrażam sobie, że zarządzanie tak dużą spółką to również wiele zadań. Traktuje Pani tę pracę bardziej

w kategoriach obowiązku czy misji?

Zawsze mówię, że w Szczecińskim TBS mam misję do spełnienia. Pracuję od samego początku powstania Spółki i lubię realizować nowe, odmienne od dotychczasowych projekty. Zależy mi żeby działać szybko, bez ociągania, najlepiej jak potrafię. Oczywiście nie zawsze wszystko się udaje. Jest wielu świetnych fachowców, którzy jednak epatują swoją wiedzą i umiejętnościami – mnie to zawsze wprowadza w zakłopotanie. To nie jest tak, że nie zdaję sobie sprawy ze swojej wiedzy i doświadczenia. Wiem, dlaczego te odważne i nietuzinkowe projekty udaje się zrealizować. Przez te wszystkie lata nie zawiodłam swoich pracodawców, ale to nie następuje z dnia na dzień, tylko z latami, z wiekiem, z szacunkiem, który się nabywa od ludzi. Wszystkie projekty uzgadniam z właścicielem Spółki. Różny jest ich odbiór.

137

Przedemną jeszcze jedno wielkie wyzwanie – połączenie w tym roku dwóch spółek Szczecińskiego TBS i TBS Prawobrzeże. To będzie olbrzymi podmiot gospodarczy – prawie 2 miliardy majątku, 100 milionów przychodu rocznie, 14.000 lokali objętych zarządem, w tym 10.500 lokali własnych. Nie wiem, czy będę miała na tyle odwagi, żeby połączyć te dwie spółki na miarę moich oczekiwań. Nie wiem, czy sobie poradzę – ale nie myślę o tym, po prostu muszę to zrobić najlepiej jak potrafię.

To największe obecne wyzwanie. Które z zakończonych, nie mniej odważnych projektów spotkały się z oporem i krytyką?

W pierwszych latach pracy w Szczecińskim TBS, kiedy

przejęliśmy bardzo krytykowane i niechciane prace renowacyjne w kwartale turzyńskim nr 27, naszym zadaniem było podjęcie próby poradzenia sobie z mieszkańcami i ich roszczeniami. Wszystkie działania były torpedowane. Zakładano, że działania są prowadzone na szkodę mieszkańców. Szczególne roszczenia mieli właściciele mieszkań w budynkach wspólnot mieszkaniowych. Wtedy doświadczyłam od wielu osób, zamieszkujących ten kwartał, bardzo negatywnego podejścia i oceny, co – nie ukrywam – moich pracowników demotyowało, natomiast mnie mobilizowało do pracy. Ten okres był bardzo trudny, wymagał wypracowania zasad współpracy z właścicielami mieszkań w budynkach, w których miasto miało swoje udziały. Bardzo było trudno namówić wspólnoty na remonty elewacji. Decyzje się zmieniały jak w kalejdoskopie, stawiano nam bardzo ciężkie zarzuty, nawet czerpania indywidualnych korzyści. Powoli przez te etapy przechodziliśmy. Jak jeden z budynków został wyremontowany i wspólnota zobaczyła, że jednak można, że nikt nikomu nie zrobił krzywdy, to wtedy emocje zaczęły powoli opadać. Jedną z takich ostatnich sytuacji był program „Rewitalizacja RAZEM” w kwartale 23, realizowany ze środków Unii Europejskiej. Chcieliśmy przekonać wszystkie wspólnoty mieszkaniowe, które nie miały wtedy zrobionych elewacji – było ich łącznie 16 – żeby przystąpiły do projektu. Osobiście spotkałam się dwukrotnie z przedstawicielami wszystkich wspólnot mieszkaniowych. Mogli otrzymać bezzwrotne środki na przeprowadzenie prac remontowych – ale wymóg był taki, że trzeba wcześniej wydać pieniądze na przygotowanie projektu. Z tych 16 wspólnot tylko 7 przyłączyło się do programu. Traktowałam to jako swoją osobistą porażkę, że nie potrafiłam tych ludzi zachęcić. Kiedy pojawiły się pierwsze rusztowania, kiedy projekty były już gotowe, wspólnoty chciały przystąpić do programu, ale niestety było już za późno. Wspólnoty te w ciągu tych kilku ostatnich lat zrobiły renowacje we własnym zakresie, ale straciły na tym finansowo – musiały

wziąć kredyty komercyjne. Brak zaufania drogo ich kosztował. To była też dla nas lekcja, że Szczecińskie TBS musi sobie to zaufanie wypracowywać.

A jak właściwie to się stało, że trafiła Pani do STBSu?

Swoją karierę zawodową zaczynałam w latach 80-tych jako dozorca domowy – tak mi się życie poukładało, że miałam dwójkę małych dzieci i zamiatałam klatki schodowe. Miałam niepełne wyższe wykształcenie techniczne. W Osiedlowej Administracji Domów Mieszkalnych kierownik, który znał mnie od dziecka, zawsze mówił, że jak tylko skończę studia – studiowałam konstrukcje budowlane na Wydziale Budownictwa i Architektury – to on mnie przyjmie do pracy. Faktycznie tak się stało, choć zostałam przyjęta nie do działu technicznego, na którym mi zależało, tylko do działu eksploatacji. Zostałam administratorem czynszowym, sanitarno-porządkowym, zawierałam umowy najmu na mieszkania. Po jakimś czasie zostałam awansowana na stanowisko zastępcy kierownika ds. eksploatacji. Później trafiłam do Urzędu Miasta, gdzie zostałam zastępcą naczelnika w Wydziale Budynków i Lokali Komunalnych. Odpowiadałam za zarządzanie, za zamiany mieszkań i prywatyzację lokali użytkowych oraz restrukturyzację poszczególnych zakładów budżetowych – Administracji Budynków Komunalnych.

W 1996 roku zaczęły się prace nad powołaniem Szczecińskiego Towarzystwa Budownictwa Społecznego, które miało powstać na bazie ABK-11 i części ABK-9. Powołany był zespół ds. polityki mieszkaniowej. Na jesieni 1996 r. ogłoszony został konkurs na prezesa Szczecińskiego TBSu, który nawet przygotowywałam formalnie, ale został unieważniony. Tymczasem na mocy uchwały Rady Miasta,

ABK-9 i ABK-11 miały zostać zlikwidowane do końca roku, a powstanie Szczecińskiego TBSu miało być sformalizowane. Na początku grudnia 1996 r. wciąż nie było wiadomo, co się dalej wydarzy. Było ryzyko, że pracownicy tych zakładów mogli zostać z nowym rokiem bez pracy. Trzeba było powołać prezesa, żeby móc sformalizować powstanie spółki. Zaproponowałam, że mogę bez wynagrodzenia zostać członkiem zarządu, żeby tylko móc zarejestrować spółkę i podpisać z pracownikami umowy o pracę. Zarząd Miasta się na to zgodził. Wniosek o rejestrację zawiozłam do KRS 23 grudnia rano, a decyzję odebrałam w południe w Wigilię.

Umówiłam się z moim szefem w Wydziale, że do czasu wyboru prezesa Spółki będę dzielić swój czas i obowiązki między Urząd Miasta i Szczecińskie TBS i zajęłam się przygotowaniem nowego konkursu. To był bardzo ciężki okres w moim zawodowym życiu. Chciałam odejść z pracy w Urzędzie Miasta, miałam uzgodnione objęcie stanowisko wiceprezesa w jednej ze spółdzielni mieszkaniowych ds. eksploatacyjnych, czyli w tym temacie, który był mi bliski. W międzyczasie kolejny konkurs na prezesa został unieważniony z braku kandydatów. Zaproponowano mi, żebym wzięła udział w następnym konkursie na stanowisko prezesa Szczecińskiego TBS. Nie miałam dużo czasu do namysłu, bo około tygodnia i swoją aplikację złożyłam na ostatnią chwilę. Byłam jedyną kandydatką, ale komisja konkursowa przepytывała mnie przez trzy godziny. I od 1997 roku jestem prezesem wyłonionym w konkursie.

Cieszę się, że to się wszystko poukładało, bo myślę, że wyszło to na dobre i spółce i miastu. Zostając przy temacie miasta – czym jest dla Pani miasto i miejska przestrzeń publiczna? Chyba działając w sferze mieszkalnictwa nie da się nie myśleć o mieście jako pewnej całości?

Dla mnie to jest miejsce do życia mieszkańców, ze wszystkimi sferami życia. Od sfery prywatnej – rodzinnej, przez sferę pasji, upodobań, dostępności do dóbr kultury po rekreację. Przestrzeń publiczna powinna być zachęcająca, powinna spajać, zapewniać bezpieczeństwo, ale też zachęcać do nawiązywania więzi międzyludzkich. Miasto nie może swoimi działaniami tworzyć gett, enklaw, miejsc marginalizowanych pod względem komunikacji, kultury, opieki społecznej, szkolnictwa. Miasto powinno się rozwijać równomiernie, we wszystkich jego sferach, albo powinno stanowić całość. Powiązania między miejscami zamieszkania, odpoczynku i spotkań powinny być ze sobą zintegrowane.

Przy tak rozumianej przestrzeni publicznej, odważnymi działaniami nie są drapacze chmur i wielkie inwestycje?

Miasto oczywiście może mieć swoje centra biznesowe i można wydzielić na to część miasta, ale trzeba też przyjąć od razu założenie, że wtedy będzie to sfera, która czasowo w ciągu dnia może być wyłączona ze wszystkiego i nie powinna być zlokalizowana w centrum miasta. To jest chyba największy błąd wielu miast europejskich i światowych.

A czy są jakieś przykłady odważnych działań z Polski lub ze świata, które są dla Pani inspiracją?

Dużo jeździliśmy po Europie w latach 90-tych w ramach wymiany doświadczeń. To był czas przed wejściem Polski do Unii Europejskiej. Polska była modna w krajach starej Unii i chętnie nawiązywano z nami współpracę, bo można było na to otrzymać dodatkowe środki.

Współpracowaliśmy z odpowiednikami TBS w różnych państwach: we Francji, w Niemczech, w Irlandii. Najbardziej podobały mi się realizacje z Dublina – może dlatego, że mentalność Irlandczyków jest podobna do polskiej – gdzie przeprojektowywali całe wyburzone kwartały.

Najwięcej miałam do czynienia z holenderską spółdzielnią mieszkaniową Patrimonium z Amsterdamu. Kiedyś nas zawieźli pod Amsterdam, gdzie w polu, od podstaw budowali miasto na 30.000 mieszkańców, jeśli dobrze pamiętam. Część tego miasta już była wybudowana, część była wielkim placem budowy – w bardzo krótkim czasie chciano postawić wszystko od zera. Pomysł polegał na tym, że mieszkańcy mieli mieć wszystko zapewnione: dom kultury, kino, sklepy, szkoły, przedszkole, żłobek no i oczywiście miejsce zamieszkania. Zabudowa była skierowana do grup o różnym statusie społecznym. Bardzo mi się to podobało, ale na tamtym etapie realizacji inwestycji to miasto było puste, bo wszyscy jeździli do Amsterdamu pracować. Szło się zamieszkałą ulicą i w ogóle nie było widać ani ludzi ani samochodów. Zrobiło to na mnie bardzo negatywne wrażenie. Być może po zakończeniu projektu udało się osiągnąć zamierzone cele, ale nie było mi już dane tego obejrzeć.

A czy z doświadczeń Szczecińskiego TBS korzystają też inne polskie TBS-y?

Zawsze, kiedy ktoś zadzwoni czy napisze, to staramy się pomóc i tak było od samego początku. Ja wychodzę z założenia, że między TBS-ami nie powinno być konkurencji – nawet jeśli działamy na terenie tej samej gminy. Udostępniamy wszystkie dokumenty, regulaminy, umowy – niech z tego korzystają.

Oba szczecińskie TBSy są dość wyjątkowe w skali kraju, bo w innych miastach rzadko TBSy mają swoje mieszkania w centrach.

Od początku odstawaliśmy od innych TBS-ów. Mieliśmy inny pomysł na funkcjonowanie, inny sposób organizacji. Generalnie TBS-y powstawały po to, żeby budować mieszkania na wynajem. Od początku oprócz mieszkań zajmowaliśmy się renowacjami, zarządzaniem zasobem komunalnym i wspólnotami mieszkaniowymi. To wywoływało szok i niedowierzanie, natomiast bardzo szybko przekonano się do naszego sposobu funkcjonowania. Np. Bank Gospodarstwa Krajowego uważał, że powinniśmy tylko budować, a nie rozdrabniać się na inne zadania, ale jak zobaczyli nasze dokumenty, finanse i zrozumieli, że jesteśmy samodzielni i niezależni finansowo, zaczęli stawiać nas jako przykład.

Działalność STBS to wiele odważnych projektów, wytyczanie nowych dróg. A czy Pani jest odważna?

Myślę, że jako człowiek nie jestem odważna, bardzo wielu rzeczy się boję, w życiu prywatnym bardzo często wycofuję się. Natomiast nie boję się podejmować odpowiedzialnych decyzji, jeśli jestem przekonana, że działam dobrze, zgodnie z literą prawa i, że to może przynieść korzyści dla spółki, korzyści dla właściciela – miasta, a przede wszystkim dla klientów – mieszkańców i najemców. Zawsze sprawdzam wszystkie zagrożenia, jestem dość drobiazgową. Znajomy mi kiedyś nawet powiedział, że jestem nadwrażliwa na ryzyka, dlatego potrafię widzieć więcej i szybko podejmować decyzje bezpieczne. Sprawiają mi satysfakcję rzeczy nietuzinkowe,

nowe i cieszę się z ich efektów końcowych. Kiedy oddajemy kolejne budynki, to zawsze idę je obejrzeć i jestem zadowolona, że po raz kolejny coś się udało zrobić wspólną pracą pracowników i ich wysiłkiem.

„Opór umacnia mnie
w przekonaniu, że jest
to ścieżka, którą
powinnam pójść”.

**z Bogną Świątkowską
rozmawia Marta Urbańska**

W wywiadzie dla warszawskiej Gazety Wyborczej, zapytana o to, czym jest dla Pani praca, odpowiedziała Pani, że to coś, co uchronia przed myśleniem o śmierci i pozwala o niej zapomnieć. Czy jest coś poza tym, za co lubi Pani swoją pracę?

(śmiech) No tak. Pamiętam tę rozmowę! Jest to poważny powód! Faktycznie, sama byłam zaskoczona tym, że tak śmiało to wtedy powiedziałam. Zwykle, i teraz przechodzę już do poważnej rozmowy, próbujemy znaleźć rozmaitego rodzaju uzasadnienia, racjonalizacje naszych wysiłków – czasem dla pracy, a czasem nawet dla takiego trudno zrozumiałego dla innych ludzi uporczywości w tym, co robimy, do czego dążymy. Niektórzy nazywają to konsekwencją, a inni jakimś... uporem. Ale wydaje mi się, że gdybyśmy w tym pogrzebały, poskrobały, to faktycznie okaże się, że jest to takie działanie, które wiąże się z uzasadnieniem swojego istnienia. Jeśli oczywiście to życie, które pędzimy wspólnie na Ziemi, ma mieć jakiś sens, a tego sensu często nam przecież brakuje w codziennej krzątaninie. Wydaje mi się więc, że ta myśl o tym, że bycie użytecznym, znajdowanie dla siebie takiego zajęcia, które jest przydatne nie tylko dla mnie, ale też dla innych ludzi, ona nas ratuje przed odczuwaniem bezsensu istnienia (śmiech). Co za górnotne wyrazy!

Ale też piękne refleksje! Czy w takim razie swoją pracę widzi i traktuje Pani jako misję?

Nie, niekoniecznie. Właściwie jestem daleka od misji. Raczej jest to dla mnie taka codzienna praktyka. Praca jest dla mnie praktyką. Czymś, co pojawia się codziennie rano, kiedy się budzimy, kiedy wstajemy, i co może wypełnić nasz

dzień. Każdy dzień jest mnóstwem potencjałów, którym można dać się porwać. Można im się poddać. Można wejść w to zaproszenie do spędzenia czasu na wykonywaniu sensownych ruchów, które się na koniec dnia ułożą. Bardzo to lubię. To porządkuje moje życie. Może dlatego, że po prostu potrzebuję wydatkować na coś moją energię. Jestem bardzo wysoko energetyczną osobą, lubię słuchać energetycznej muzyki, lubię przygody, jestem ich entuzjastką (!); tego, żeby życie było wypełnione zdarzeniami, które można uznać za pozytywne. Ta kategoria użyteczności i użytkowości będzie się często pojawiała w mojej wypowiedzi, ponieważ po latach, jak teraz się temu wszystkiemu przyglądam, to rzeczywiście większość moich działań jest temu poddana, nawet jeżeli są one związane z działaniami artystycznymi, czy też w ogóle z takimi, które pozornie wyglądają na średnio racjonalne... Ale w moim rozumieniu, gdzieś w mojej głowie, składają się one w całość, którą widzę jako mój wkład w to, byśmy rozmawiali ciekawiej, rozumieli więcej ze swojego użytkowania miasta, żebyśmy świadomie dokonywali wyborów, które często nie mogą być świadomie i do końca pragmatycznie wykonane. Mój punkt widzenia jest punktem widzenia mieszkanki, użytkowniczki miasta. Kogoś, kto wspiera architektów, cieszy się tym, że architekci i architektki mogą być naszymi sprzymierzeńcami w kształtowaniu dobrej przestrzeni, dobrej jakości życia w przestrzeni. Ale też daleka jestem od takiego profesjonalnego spojrzenia kogoś, kto jest zanurzony w tej wiedzy rzemieślniczej. Rzemieślnika, twórcy tej materialności, w której spędzamy życie. Ważnym punktem wyjścia do mojego pomysłu na pracę, na to, co robimy jako Fundacja, jest – moim zdaniem dosyć oczywista – konstatacja, że miasto jest naszym naturalnym środowiskiem życiowym. I to nie jest nam dane przez naturę. Jest nam to dane przez tych, którzy kształtują miasto swoimi projektami, swoimi pomysłami, swoimi decyzjami, regulacjami, przepisami, otoczeniem prawnym... całym mnóstwem rzeczy, które się pojawiają, kiedy myślimy o tym, co robi architekt. Świetnie

o tym pisze Reinier de Graaf w swoich „Czterech ścianach i dachu”.

W moim odczuciu miasto bywa też dosyć trudnym i skomplikowanym tworem, ale z drugiej strony jakże przez to pięknym. Czym jeszcze jest dla Pani miasto? Czym są dla Pani przestrzenie publiczne w mieście?

Muszę zacząć od końca swojego poprzedniego zdania, że miasto jest dla mnie środowiskiem naturalnym, w którym przebiega całe moje życie. Postrzegam miasto jako zestaw pewnych decyzji, które ktoś podjął za mnie, które ktoś podjął dla mnie, z myślą o mnie, albo lekceważąc moje istnienie. I dla mnie miasto jest zatem zestawem decyzji. One mogą być decyzją jednej osoby, grupy osób, bądź też niewidzialnych sił, takich jak chociażby prawo, które określa co, gdzie i jak można zbudować, w jaki sposób można daną przestrzeń wykorzystać, mam tu na myśli m.in. prawo własności. Dla mnie miasto jest taką przestrzenią, w której poruszam się wobec danych mi różnych elementów, natomiast ta moja barokowa praca polega na tym, żeby się wśród tego rozpychać, żeby znajdować to, co jest możliwe do wykorzystania w sposób, który zostawi mi jak największe pole do interpretacji, które powoduje, że mam wolność, że mam wolność nie tylko korzystania z tego, co już ktoś dobrze dla mnie narysował, czy stworzył, ale także wolność do określenia jakiejś przestrzeni. Stąd ta moja wielka miłość do nieużytków, do przestrzeni zaniebanych, do tego, co jest pomiędzy. To jest taki wielki nawóz dla kreatywności i innowacyjności, tego wszystkiego, co powoduje, że mamy przyszłość. I dla mnie ta kategoria przyszłości jest niezwykle ważna, bo dzięki wyobraźni możemy stwarzać na nowo koncepty, które wiemy już, że nie działają, albo nam nie służą,

albo po prostu – są niepasujące do tego, co się dzisiaj dzieje z nami. Dla mnie ta kategoria spoglądania z wyprzedzeniem, na coś, co za chwilę będzie nam potrzebne, jest bardzo, bardzo ważna. Dlatego większość projektów Fundacji Bęc Zmiana, które zrealizowałam we współpracy ze znakomitymi artystami i artystkami, architektami i architektkami, dizajnerami to są projekty skierowane w przyszłość.

I nie ma co kryć, że ten koncept przyszłości, chociażby w obecnej sytuacji, od której pewnie w tej rozmowie nie uciekniemy, jest niezwykle intrygujący. Choćby w kontekście miast. Pojawiają się już znaki zapytania, czy współczesne miasta trzeba będzie przeprojektować, ponieważ nie spełniają wymogów, których by się obecnie oczekiwało. Na pewno miała już Pani nad tym swoje przemyślenia i refleksje. Jakie one są?

Już w pierwszych dniach po ogłoszeniu epidemii w Polsce zrobiłam ankietę wśród znajomych architektów, co myślą o tym, co się wydarzy za chwilę? Jak ich zdaniem miasta będą reagowały? Staram się czytać większość tekstów, które są dostępne w prasie ogólnowiatowej o tym, w jaki sposób zarówno miasta chińskie, włoskie, właściwie wszystkie te, które w sposób bardzo dotkliwy zostały zmienione przez tę epidemię. Np. to, co się słyszało o sytuacji w Ekwadorze, czy to, co się działo poza logiką tej naszej bogatej Północy. To wszystko jest niesamowicie ciekawe. Ale faktem jest, że na pewno zmienią się dwie rzeczy: po pierwsze kwestie użytkowania przestrzeni wspólnych, takiego tłumnego przebywania w mieście, którym mogliśmy się cieszyć przez ostatnie dziesięciolecia bez żadnego skrępowania. Wydaje mi się, że tutaj będziemy bardzo ostrożni i być może zmienią się po prostu ludzkie zwyczaje, będziemy się

inaczej przygotowywać do takich obecności w przestrzeni, spotykania się z innymi. Ale też na pewno zmieni się sposób projektowania, np. gęstość rozstawienia ławek, projektowanie przestrzeni zielonych, być może większe nasycenie miasta małymi, niedużymi placami, czy skrawkami zieleni w formie pocket parków, bo widać, że ludziom w tej chwili jest potrzebne to, żeby nie odchodzili za daleko od swojego miejsca zamieszkania, ale jednocześnie cieszyli się taką uzdrawiającą zielenią. W tym widzę bardzo duże pole do popisu. Przede wszystkim stąd też nasz postulat, wspólny z Centralą, by lepiej wykorzystywać przestrzenie balkonów i dachów. Zaprojektowanie kompletnie tego, w jaki sposób możemy użytkować te dwie przestrzenie, które są dostępne, które nie są daleko, które nie wymagają wielkich spacerów, czy też oddalania się od miejsca zamieszkania, ale do tej pory były lekceważone projektowo. Czas na to, żeby się za to zabrać i za to wszystko, co powoduje, że jesteśmy w stanie szybko się zregenerować, a następnie powrócić do przestrzeni dla nas bezpiecznych. Myślę, że tu jakieś nowe pomysły powinny się pojawić.

Patrząc na całą obecną sytuację dosyć ogólnie, widzimy, jak bardzo ważna jest dla nas zieleń i kontakt z naturą, z przyrodą, a jednocześnie jak wciąż niestety po macoszemu ją traktujemy w „normalnym” życiu.

Tak, dokładnie. Dlatego typuję właśnie te dwa obszary jako takie, które będą na pewno musiały podlegać przemysłom.

Za Panią ocean najróżniejszych, często zaskakujących projektów i doświadczeń, przed Panią na pewno kolejny, równie wielki. Jaki jest Pani stosunek do odwagi

w kontekście działań w przestrzeni miejskiej?

Myślę, że teraz wszystko się troszeczkę zmieni. Ta wolność działania w przestrzeni publicznej wymagała pewnej umowy społecznej, że wszystko odbywa się w przestrzeni bezpiecznej. Wcześniej nie trzeba było jej definiować. Pojawiła się dopiero teraz, w wyniku tej „zmiany”. To trochę tak, jakbyśmy zobaczyli wodę. Zna Pani tę anegdotę o rybach? Stara ryba mówi do młodej: ale dzisiaj jest super woda! A ta młoda ryba mówi: jaka woda??... To jest właśnie ten moment, w którym zobaczyliśmy, w czym byliśmy do tej pory zanurzeni. Dlatego realizacja projektów – chociażby takich, jakie robiliśmy, jako Fundacja, których sens objawiał się w odbiorze tego, co się dzieje w przestrzeni publicznej – pewnie również ulegnie jakiejś transformacji. I powiem szczerze, że na razie nie mam jakichś potrzeby, żeby działać, żeby inicjować jakiegoś rodzaju działania w przestrzeni publicznej. Raczej ciągnie mnie do tego, żeby wiedzę, którą Fundacja wyprodukowała przez te kilkanaście lat, spożytkować we współpracy z tymi, którzy zajmują się projektowaniem przestrzeni publicznych profesjonalnie. Oczywiście można sobie wyobrazić jakiś projekt artystyczno-architektoniczny o balkonach. Mogę, chciałabym. Ale tak naprawdę wolałabym, żeby ta energia, którą mamy, pomogła przeprojektować myślenie o tym, czym są dla nas balkony w ogóle. Żebyśmy zobaczyli w nich zupełnie inne potencjały. Mnie się troszeczkę po tych kilkunastu latach zmieniły chęci właśnie z takiego działania w przestrzeni publicznej skierowanego bardzo szeroko, nakierowanego na przypadkowego uczestnika, przypadkowego widza. Ta dotychczasowa chęć działania z przypadkowym partnerem, w tej chwili dotyczy raczej [chęci] nawiązania współpracy z deweloperem, albo z kimś, kto rzeczywiście pracuje nad konkretnymi problemami, działkami – z architektami. To jest coś, co w tej chwili mnie bardziej zajmuje.

Zastanawiam się też... hmm, zaskoczyła mnie Pani tą odpowiedzią! (śmiej) Byłam przygotowana na niemal hymn pochwalny, odę do Odwagi w Mieście.

(śmiej) Cóż... tak jak widać, ten wesoły artyzm zamienił się w jakąś taką pragmatyczną chęć wpisywania tego, o czym mówiliśmy tak długo teoretycznie, o czym są nasze książki, wszystkie te dyskusje, debaty. Żeby zobaczyć je zmaterializowane.

A jak to właściwie się stało, że poświęciła Pani całe dotychczasowe życie – już nie tylko zawodowe, bo śledząc Pani działania można zauważyć, że Pani zaangażowanie przekłada się też na inne sfery życia – na pracę związaną z miastem, z ludźmi, którzy w nim żyją? Tym bardziej, że, jak już powiedziałyśmy wcześniej, miasto wcale łatwym tematem nie jest i często potrafi być wręcz niewdzięczne.

Muszę tu od razu powiedzieć, że w czasie, kiedy zakładałam Bęca, właściwie nie było wówczas dialogu pomiędzy profesjonalistami a mieszkańcami. Te rozmowy, które się toczyły na temat projektowania, na temat jakości architektury czy jakiś rozwiązań urbanistycznych, one raczej odbywały się w środowisku specjalistów. XXI wiek to jest też taki moment, w Polsce na pewno, w którym to mieszkańcy i obywatele dochodzą do głosu. Zaczynają mieć swoje zdanie i zaczynają się wtrącać i to, co Jane Jacobs opisywała już ponad 50 lat temu, w końcu zaczyna się materializować. I to coraz śmiej. Oczywiście to zjawisko nie dotyczyło tylko Polski. Było to zjawisko globalne i widać, jak te ruchy miejskie powstawały i coraz lepiej radziły sobie w różnych

szerokościach geograficznych. Wydaje mi się, że jest to raczej taki znak tego, co XXI wiek przyniósł wraz z rozwojem technologii, możliwości komunikowania się, swobodnej wymiany myśli, ale także oddolnej organizacji.

Mówię o tym dlatego, że wtedy, kiedy przyszedł mi do głowy pomysł o założeniu fundacji, to miałam nieco utrudnioną sytuację. Wchodziłam bowiem w pole eksperckie z takim podejściem, które nie było oparte ani na umiejętnościach, ani na rzemiośle, ani na wiedzy, tylko na użytkowaniu i jakichś emocjach, które się z tym wiążą. Ta rozmowa czasami była dosyć kwadratowa, ale jednocześnie muszę tutaj oddać sprawiedliwość środowisku starszego pokolenia architektów warszawskich, z którymi miałam największy kontakt, że to środowisko okazało się niezwykle otwarte, ciekawe tej rozmowy, którą można stworzyć z ludźmi, którzy mają nieco odmienną od nich perspektywę. Wydaje mi się, że to też miało ogromny wpływ na mnie i na rozwój różnych moich zainteresowań i wybór tematów, którymi się zajmowałam. To też wynikało właśnie z przyjaznego przyjęcia tego mojego bardzo dzikiego spojrzenia na coś, czym ci ludzie się na co dzień profesjonalnie zajmują. Wiem, że różne moje niedociągnięcia, brak wiedzy mogły być przedmiotem jakiś niemiłych komentarzy, albo jakiejś wręcz wrogości, ale nigdy tak się nie stało. I ta rozmowa, która nam się tak pięknie w Warszawie rozwijała i dołączali do niej coraz to nowsi i ludzie, i instytucje, Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie, społecznicy, ruchy miejskie, studenci z bardzo fajnie rozwijającą się OSSA... Nagle okazało się, że jest nas bardzo dużo i chcemy mieć tę okazję do rozmowy, chcemy ze sobą rozmawiać. Nawet jeżeli się ze sobą nie zgadzamy, nawet jeśli nasze punkty widzenia są bardzo różne, to widać, że ta rozmowa nas po prostu wzbogaca. Pani pytanie było o moje doświadczenie wejścia w ten temat...

...i skąd w gruncie rzeczy taka Pani decyzja...

Wydawało mi się to w pewnym momencie zupełnie naturalne. Wydawało mi się, że to jest taki temat, o którym z jakiegoś powodu, dziwnego dla mnie, nie rozmawiamy. Tutaj na pewno ten mój dziennikarski background powoduje, że cieszy mnie za każdym razem, kiedy trafię na temat, który jest ewidentnie istotny z punktu widzenia społecznego, np. samoświadomość mieszkańców. To jest przecież bardzo potrzebne do tego, żebyśmy jakoś sensownie kształtowali nasze otoczenie. W momencie, w którym zdałam sobie sprawę z tego, że ta rozmowa się nie toczy, że po prostu jej nie ma, to było dla mnie jasnym zaproszeniem do działania. Wiedziałam, że jest to teren, który chcę zwiedzić, którym chciałabym się jakoś zaopiekować, rozpoznać go, pokazać jako brak, dziwny brak, który trzeba uzupełnić. Wydaje mi się, że są takie dwa podejścia: jedno, żeby zajmować się tym, na czym się człowiek zna: powiększam moją wiedzę w obszarze, który jest dla mnie z jakiegoś powodu naturalny. Po prostu znam się na czymś, potrafię robić TO, będę wiedziała coraz więcej o tym CZYMŚ. A ja jestem z tej szkoły, która fascynuje się wszystkim tym, czego jeszcze nie umiem, czego nie potrafię zrobić, ale chętnie się wszystkiego o tym dowiem. Wydaje mi się, że te dwie szkoły jakoś się uzupełniają, dobrze by było w każdym razie, gdyby się uzupełniały. I chyba z tego powodu nie mam oporów w sobie, żeby wchodzić w przestrzenie niezbyt jeszcze dobrze rozpoznane. Też mój zawód, ten pierwszy zawód, czyli dziennikarz, taki informacyjny dziennikarz, który po prostu zbiera informacje i musi codziennie po południu napisać tekst, który rano ukaże się w gazecie; taki dziennikarz potrzebuje ciekawości i narzędzi do tego, żeby obrabiać swoją płytką wiedzę w sposób, który stanie się użyteczny przez upublicznienie tego czegoś, czego już się dowiedział. I tak naprawdę w tej praktyce, którą robię ze swoją Fundacją można odnaleźć

wszystkie podstawowe cechy dziennikarstwa informacyjnego. Znajduję przestrzeń, która jest nierozpoznana, o której należy powiedzieć, którą trzeba pokazać, nagłośnić. Robię wszystko, co w mojej mocy, żeby się dowiedzieć tyle, ile mogę. Zebrać ciekawe głosy, poszukać ekspertów, znaleźć pytania o luki, a następnie podać to do publicznej wiadomości za pomocą działania w przestrzeni publicznej, druku, debat publicznych, spotkań. Tak naprawdę narzędzia są te same, tylko czasami, akurat w praktyce Bęca było też dużo takich działań, które były poza werbalne, które po prostu stwarzały pewnego rodzaju sytuacje, w których się można było czegoś o sobie, o mieście dowiedzieć. Tak bym to widziała.

A czy w tym dorobku jest taki projekt, który spotkał się z wyjątkową krytyką i oporem? O który musiała Pani zawalczyć i wykazać się odwagą, o której dzisiaj rozmawiamy, żeby został zrealizowany tak, jak sobie to Pani założyła?

Jest dobry przykład, tym bardziej, że jest to historia z happy endem. Mam na myśli rzeźbę świetlną, neon, który stoi na warszawskiej Kępie Potockiej, czyli „Światłotrysk”, popularnie nazywany „Szkłanką Oranżady”. Staralam się o realizację tego projektu w sumie przez trzy lata. Było to bardzo skomplikowane, przede wszystkim dlatego, że projekt był niezwykle odważny, ale także dlatego, że był kosztowny. Zależało mi na tym, by został zrealizowany tak, jak sobie tego życzy artysta, czyli Maurycy Gomulicki – bardzo ciekawa i niezwykle świadoma przestrzeni postać. Miejsce realizacji nie było wybrane przypadkowo. Staraliśmy się z Maurycym zorganizować wszystko wokół tego neonu tak, by zaangażować jak najwięcej osób z najbliższej okolicy: użytkowników tego terenu, sąsiadów, właścicieli miejscowego

baru po to, by pojawienie się tej realizacji nie było dla nikogo zaskoczeniem, czy wręcz sytuacją inwazyjną: że przychodzi ktoś z zewnątrz i realizuje coś, co może nie do końca jest oczekiwane. Były to więc trzy lata starania się o fundusze i cieszę się, bo zostały zdobyte tzw. złotym trójpodziałem: częściowo pochodziły od sponsora, częściowo pochodziły z Urzędu Miasta, z dotacji, którą uzyskaliśmy, i mała część pochodziła z naszych własnych środków fundacyjnych, które zebraliśmy, prowadząc działalność wydawniczą. I te trzy źródła łączą też trzy energie: przedsiębiorczość, która powinna wspierać miasto i jego rozwój, samorząd, który dba również o to, żeby przestrzeń miejskie się rozwijała, i organizacje pozarządowe, które także dokładają się do tego wszystkiego, skromnie, w miarę swoich możliwości, ale się dokładają, wspierając talenty, wyobraźnię, inwencję ludzi, którzy dobrze znają i czują przestrzeń.

W tym projekcie ważne również było to, że potrafiliśmy przez te trzy lata naprawdę ciężkiej pracy zbudować może nie tyle wsparcie, ile po prostu zgodę na to, żeby coś takiego w ogóle powstało. Oczywiście nie bez oporu, bo głosów krytyki i zastanowienia było wiele. Zależało mi też na tym, by ten obiekt po pierwszej fazie realizacji całego tego przedsięwzięcia artystycznego, stał się czyjąś własnością. Chociażby po to, by po zimie ktoś chciał się nim zająć, zaopiekować. I tutaj Dzielnica Żoliborz stała się naszym partnerem, któremu przekazaliśmy dzieło, jako obiekt sztuki parkowej. Dzięki takiemu rozwiązaniu, „Światłotrysk” znakomicie funkcjonuje od ponad 10 lat. Stał się jednym z symboli Żoliborza i charakterystycznym znakiem dla bardzo wielu osób wjeżdżających do miasta od strony północy, który daje znać, że jesteśmy już w Warszawie.

Jest to też ogromna satysfakcja pracy z artystą. Maurycy Gomulicki jest niezwykle ciekawym człowiekiem, jego prace fotograficzne, jego powieści również miały ogromny wpływ

na rozwój wrażliwości na miasto, na duże, nowoczesne miasto, którym Warszawa powoli stawała się w tym XXI już wieku. Jest też tutaj kilka takich historii o tym, że na początku było naprawdę trudno i wydawało się, że jest kompletnie niemożliwym postawienie takiego 17-metrowego neonu. Takie realizacje bywają trudne, wymagają cierpliwości i uporu. Potem okazało się jednak, również dzięki spotkaniu odpowiednich ludzi, jak chociażby wspinała producentka tego neonu, Paulina Jeziorek, czy jego genialny realizator, Jacek Hanak, że wszystko jest możliwe. Bardzo wspaniali ludzie i bardzo wspaniałe doświadczenie.

Słucham Pani i wyobrażam sobie, jak wspaniale musi się Pani czuć za każdym razem, kiedy wjeżdża do Warszawy i widzi ten neon...

Za każdym razem bardzo się cieszę. Dawno temu było w ten sposób, że z każdą realizacją, którą robiliśmy w przestrzeni miasta, byłam związana osobiście, tak fizycznie wręcz, że trudno mi było odejść od tego obiektu, zostawić go na noc, zostawić go samego, bo przecież wiadomo, co się może wydarzyć – wszystko! W mieście wszystko się może wydarzyć. I ta lekcja, którą odebrałam dosyć szybko, polega na tym, że jeśli coś się umieszcza w przestrzeni publicznej, to przestaje się nad tym czymś panować. I trzeba się po prostu z tym pogodzić, trzeba temu obiektowi dać jak najwięcej atrybutów, cech, własności, które ochronią go w tej przestrzeni, a reszta to już niestety wszystko, nad czym nie panujemy.

Ale to też chyba cała istota i piękno takich projektów.

Na pewno jedna z cech! (śmiech)

Zastanawiam się, czy wśród globalnych realizacji jest może taka, która w Pani odczuciu jest przykładem odważnej miejskiej decyzji?

Mogę powiedzieć jedynie o rzeczach, których doświadczyłam. Trudno mówić rozsądnie o rzeczach, które się tylko widziało na filmie, albo na zdjęciach. W przypadku miasta to w ogóle tak nie można. Dla mnie takim bardzo zaskakującym projektem było to, co zrobiła Kopenhaga, powierzając do zaprojektowania architektom i artystom krajobrazu chyba dwukilometrowy pas terenu, leżący na styku dzielnicy zamieszkałej przez imigrantów. Mam tu na myśli Superkilen. I muszę powiedzieć, że to robi gigantyczne wrażenie wtedy, kiedy się to ogląda z oddali, zapośredniczone za pomocą tych obrazów. Ale kiedy się tam jest, to włącza się zupełnie inny mechanizm poznawania przestrzeni, coś, co jest takim wewnętrznym żyroskopem... Tutaj nie da się oszukać. To trochę jak z teledyskami: utwór jest totalnie beznadziejny, ale zrobimy do niego super teledysk i już jest kupiony. I dokładnie to samo jest z miastem. Są takie piosenki, które brzmią prawdziwie i nie potrzebują żadnego sztucznego dopalacza i akurat ta przestrzeń zrobiła na mnie duże wrażenie, bo po prostu była dobrze zaprojektowana. Pomimo tych wszystkich udziwnień, robi duże wrażenie i jest takim... zaproszeniem do przygody. Wydaje mi się, że również intelektualnie ta przestrzeń jest interesująca, bo poprzez swoją dziwność sprawia, że niczego nie udaje. Pomimo że przywołuje pewne symbole, nie generuje takiej przestrzeni, która sztucznie starałaby się wytworzyć jakieś powidoki. Dla przykładu: umieszczono tam półksiężycy oraz różne inne elementy nawiązujące do krajów, z których

mieszkający tam imigranci pochodzą. Nie oznacza to jednak, że ta przestrzeń udaje te kraje. Ona nie udaje tego pejzażu. Sprawia za to, że powstaje tam taka ziemia niczyja, na której można po nowemu ustalić stosunki i relacje społeczne, którymi będziemy się posługiwać. I to mi się tam bardzo spodobało, to pomieszanie bardzo wielu różnych narzędzi: projektowania krajobrazu, projektowania miejsca z, jednak, głęboko przemyślaną akcją symboliczną. Bardzo mi się to podobało.

Poza tym bardzo lubię zieleń w mieście i parki. Takie zaproszenie do tego, żeby nagle, w gąszczu tych wszystkich ludzkich wysiłków, nagle znaleźć się w takiej przestrzeni, która jest zaproszeniem do zagubienia się w czymś, co dzisiaj, w dobie antropocenu, jest naprawdę rzadkością, czyli zobaczyć, czym jest ta nasza wyjściowa sytuacja, czym są nasze środowiskowe uwarunkowania sprzed czasów urbanizacji. Za każdym razem, kiedy jestem w jakimś mieście, staram się odwiedzać ogrody, albo parki. To bardzo ciekawe z jaką różnorodnością i fantazją ludzie podchodzą do organizacji tej przestrzeni zielonej i to na bardzo różne sposoby: od takich mikro przestrzeni, w których można odpocząć, aż po jakieś ogromne połacie zamienione w concept parki. Jestem ogromną miłośniczką Madrytu. W Madrycie jest wiele wspaniałych parków. Jeden z nich jest taką ogromną przestrzenią położoną na wzgórzach, już właściwie pod miastem, gdzie swoje miejsce znalazło wiele wielkoskalowych realizacji rzeźbiarskich, absolutnie niezwykłych. Zaskakiwały mnie tam te wszystkie formy, sposoby połączenia ogromnych rzeźb z otoczeniem. Było to takie zaproszenie do tego, żeby znaleźć się nagle w zupełnie innym środowisku inteligentnej, niezawłaszczającej ingerencji człowieka w przyrodę.

Prawdę mówiąc nie mam takiego swojego TOP 5, czy TOP 10. I pewnie, jak już się Pani zdążyła zorientować, jestem dosyć ciekawska. Ciekawa tego, co jest za tym drzewem,

a co będzie, jak pójde trochę dalej... Naturalnie nie jestem predysponowana do robienia list. Moja jest strasznie długa(!) i co więcej, nie ma żadnych numerów. Ale na pewno stawiałabym na takie nieoczywiste przestrzenie miejskie, które do nas mówią: zastanów się, kim jesteś, zastanów się, co ty robisz w ogóle w tym mieście, co jest dla ciebie ważne, istotne. Też dają taką wolność i to jest jedna bardzo ważna rzecz, którą chciałabym w tej naszej rozmowie powiedzieć, że miasto dla mnie jest przestrzenią wolności, że to jest jedna z najważniejszych cech miasta. Ale nie wolności rozumianej jako taka wolność do robienia czegokolwiek, co przyjdzie nam do głowy. Tylko wolność do bycia tym, kim chcemy być. I to jest trochę różnica, dlatego, że to jest taka wolność skierowana do wewnątrz. Ja mogę się sama określić, ponieważ sprzyja mi anonimowość, ponieważ sprzyja mi gęstość, w której mogę zawierać z ludźmi przyjaźnie, alianse, ale jest to też taka gęstość, która zagraża mi, dlatego, że wymusza na mnie zachowania, które nie będą się wyróżniać. W dużym mieście ta wolność jest spowodowana duuużym marginesem tego czegoś, co jest społecznie akceptowalne. Mimo tych wszystkich niedogodności, które miasto nam funduje: że jest za głośno, za brudno, wszystko za bardzo, to jednak wydaje mi się, że poświęcamy ten nasz komfort właśnie po to, żeby być tym, kim chcemy być. Bo to w mieście jest możliwe. Na wsi oczywiście też, ale potrzebujemy ludzi do tego, aby potwierdzali oni to, kim my jesteśmy. W dużej grupie lubimy się też przeglądać w oczach innych i widzieć jakąś wspólnotę, albo też niechęć czy mobilizację. Dla mnie miasto jest taką sytuacją, która jest bardzo pozytywna.

A czy jest takie miasto, w którym czuła się
Pani najlepiej, najbardziej sobą?

Bardzo lubię podróżować. Lista ulubionych miast właściwie mogłaby się składać się ze wszystkich, w których byłam. Ciekawe, że w każdym z nich jestem trochę kimś innym. W takim sensie, że coś innego powoduje u mnie ten mój kochany Madryt, co innego Tel Awiw, co innego czuję w Nowym Jorku, a co innego w szczególnie ważnym dla mnie Ramallah. Ale to wcale nie oznacza, że w którymś mieście jestem bardziej zadowolona. One wszystkie mają swoje ciemne strony i to jest zupełnie naturalne. Natomiast wydaje mi się, że taka starożytna mądrość, która mówiła o tym, że położenie geograficzne ma wpływ na to, jakiego rodzaju potencjały i emocje jesteśmy w stanie z siebie wydobyć, również ma tu wiele do powiedzenia i jest niezwykle interesująca. Jeśli jednak chodzi o listy, to na pewno jest taka z miastami, do których nie chciałabym wracać (śmiej), choć zawsze staram się w każdym z nich szukać tego czegoś, co spowoduje, że będę myślała o nim dobrze.

Czy ma Pani poczucie, że poprzez swoją działalność, ale też postawę jako człowiek, wyznacza nowe ścieżki? Przeciera szlaki, inspirowuje?

Jeśli się tak dzieje, to jestem szczęśliwa. Ale nie szukam takiego potwierdzenia. Raczej myślę w taki sposób: jeśli to jest interesujące dla mnie, to znaczy, że będzie też interesujące dla innych (śmiej). I dlatego trzeba się tym podzielić. Jeśli ktoś z tego skorzysta – super. Jeśli nie – to może za parę lat, albo kiedyś. Mam takie poczucie, że jest mi to potrzebne do tej sensowności, od której zaczęłyśmy rozmowę. To jest właśnie to coś, co uznaję za użyteczność. Jeżeli to, co robię, przydaje się innym – świetnie. Ale nie muszę koniecznie o tym wiedzieć, nie muszę koniecznie tego widzieć. Po prostu to przeczuwam i jeśli się okazuje,

że to działa – jestem przeszczęśliwa. Ale nie jestem przy tym typem pedagożki, kogoś, kto musi obserwować postępy osób, z którymi pracuje. Dla mnie ta moja rola ogranicza się raczej do tego, żeby brać odpowiedzialność za jakość ścieżek, które chciałabym wskazywać. A co dalej się z nimi stanie... hm... nie chcę nawet udawać, że potrafię to zaplanować.

Czy jest Pani odważna?

To jest ciekawe pytanie, odpowiem na nie w ten sposób: często w życiu zdarza mi się robić różne rzeczy zanim pomyślę. Można to brać za odwagę, choć niektórzy nazywają to inaczej (śmiej). Jednak rzeczywiście, sporo rzeczy, które miały wyraźny wpływ na moje dalsze życie, zrobiłam zupełnie intuicyjnie. Myśl, zastanowienie się, refleksja przyszły później. Tak, jakby ten sposób, w który obieram życiowe ścieżki, nie wynikał z mojej nazwanej pracy intelektualnej, tylko był wynikiem decyzji podejmowanych holistycznie, przez wszystkie komórki mojego ciała, i żadna z nich nie ma pierwszeństwa. Nie jest tak, że te, które są odpowiedzialne za pracę umysłu są faworyzowane. Dlatego tak, czasem jestem odważna, a czasem długo nie mogę podjąć decyzji, albo boję się tego, że podejmę decyzję złą. Nie ma co tutaj przesadzać z jakimiś zdolnościami do odwagi. Na pewno są momenty, w których zupełnie mnie nie interesuje, co powiedzą inni, a wręcz, jeśli spotykam się z oporem, to umacnia mnie on w przekonaniu, że jest to ścieżka, którą powinnam pójść.

„Miasto to moje
środowisko naturalne,
ale zawsze znajdzie
się coś, co mnie może
zadziwić”.

z Joanną Wawiórka-Kamieniecką
rozmawia Joanna Romaniuk

Jest Pani organizatorką Nocy Kultury w Lublinie, ogromnego, wielobranżowego i wymagającego organizacyjnie wydarzenia. Realizuje projekty w ramach pracy w Warsztatach Kultury. Sprawia Pani wrażenie bardzo pozytywnej i zadowolonej ze swojej pracy osoby. Za co lubi Pani swoją pracę?

Zacznę od potwierdzenia, że ją kocham. Pracuję w Warsztatach Kultury ponad pięć lat i jest to pierwsza w moim życiu praca, kiedy nie oglądam ogłoszeń o pracę i nie rozglądam się za innymi sytuacjami zawodowymi. To absolutnie nie jest tak, że uważam, że będę tutaj do śmierci, ale cały czas mam co robić. Są nowe wyzwania, pracuję ze świetną ekipą, ze wspaniałymi ludźmi i po prostu to jest na razie moje miejsce. Oczywiście lubię się angażować w jakieś inne, mniejsze projekty, natomiast na razie nie szukam innej ścieżki zawodowej.

Czuje Pani, że jest to misja czy obowiązek?

Absolutnie misja. Akurat mam to szczęście, pomijając jakieś prace w liceum albo na początku studiów, które polegały na sprzątanii, zbieraniu warzyw albo opiece nad dziećmi, że moją obecną pracę, dzięki której oczywiście zarabiam pieniądze i za nie żyję, mogę traktować i absolutnie traktuję w kategoriach misji, pasji. Robię to, co chcę robić.

Noc Kultury to wydarzenie angażujące. Po finale trzeba zająć się już pracą nad następną edycją. Jak Pani mówi, jest to misja, więc podejrzewam, że również

nieodłączny element Pani życia. Czy radzi sobie Pani z rozgraniczeniem życia prywatnego i życia projektem? Jak te dwa pola się ze sobą splatają?

Myślę, że mogę z powodzeniem powiedzieć, że sobie nie radzę. I nie umiem tego rozgraniczyć. A może inaczej, nigdy nie postanowiłam tego rozgraniczyć. To nie znaczy, że jestem pracoholikiem i na przykład nie rozmawiam ze swoimi dziećmi. Ale jeżeli jestem na wakacjach, jestem z dziećmi w Wenecji przez trzy dni i oglądam rzeczy, które mi się podobają, np. weneckie szkło, różnokolorowe weneckie baloniki, to prócz tego, że jem pyszną pizzę i spędzam wspaniały czas, w mojej głowie już kiełkuje myśl: „A gdyby tak tych baloników mieć tysiąc pięćset? W różnych kolorach i je powiesić i podświetlić gdzieś w Lublinie, na jakimś podwórku? To byłoby coś.” I to jest przykład takich działań... tutaj mogę zaraz pokazać... (JWK wskazuje na przedmiot zawieszony w oknie gabinetu.)

Balonik, tam wyżej... Tak, widzę!

Jest szklany, przezroczysty i fioletowy. Mamy pełną piwnicę tych baloników i one czekają na swój czas. To jest przykład tego, że wszystko, co robię w jakiś sposób może mnie inspirować. I też bardzo dużo dyskutuję o tej pracy. Praktycznie, kiedy gdzieś jeżdżę, czy to na konferencje, czy spotykam ludzi, którzy mają podobne zainteresowania, to ten temat bardzo szybko wykwita.

Można powiedzieć, że ze wszystkiego czerpie Pani inspirację. Miasto i życie w nim może być wspaniałą

inspiracją. Jak rozumie Pani miasto i przestrzeń publiczną?

Na początku chyba muszę powiedzieć, że jestem mieszcuchem. Nie wychowywałam się u babci na wsi, a krowę zobaczyłam czasami na wakacjach. Dla mnie miasto to naturalne środowisko. To jest bruk, rynsztok, kamienice, budynki, ulice, środki transportu. Oczywiście kocham naturę i wyjeżdżam do lasu i tak dalej, ale to miasto jest moim miejscem. Kiedy mam wolny dzień, to z przyjemnością przyjadę na lubelskie Stare Miasto, napić się tutaj kawy albo posiedzieć na ławce i po prostu popatrzeć. Mogę spacerować po tym mieście w nieskończoność. Mimo że nie mieszkam na Starym Mieście, jest to dla mnie miejsce spacerowe, na równi z parkiem, miejsce żeby tu być. Czasem można pójść do parku, a czasem można pójść popałętać się po tych uliczkach. Znam je bardzo dobrze, ale zawsze znajdzie się coś co mnie może zadziwić. Miasto to żywy organizm, który też się zmienia, rządzi swoimi prawami. Lublin jest coraz piękniejszy. Jeszcze piętnaście lat temu ulica Grodzka, czyli główna ulica Starego Miasta, to była taka zakapiorska okolica z jednym lokalem i po zmroku odradzało się spaceru. Można było stracić torebkę albo oberwać w oko. Natomiast przez piętnaście lat Stare Miasto niesamowicie się zmieniło. Jest mnóstwo knajpek, galerii. Inaczej to wszystko żyje. Nie zmienia to faktu, że dalej istnieją miejsca śmierdzące, zapomniane, gdzie cegły odpadają, gdzie parapetu nie ma, gdzie okno jest zabite deskami. To jest taka mieszanka tego wszystkiego.

Czy myśli Pani, że zmiany zachodzące w mieście lub ich część są wyrazem czyjejś odwagi? Czym dla Pani w ogóle jest odwaga w mieście?

Myszę, że na pewno tak. Natomiast tych składowych odwagi jest bardzo dużo. Innym rodzajem odwagi jest sadzenie przez ludzi w nocy na ugorach na Starym Mieście kwiatków, a zupełnie innym jest odwaga, którą się wykazują np. niektórzy przedsiębiorcy, kupując, bądź wynajmując kamienice, zaciągając ogromne kredyty i, przypuśćmy, otwierając hotel, lokal, wierząc, że im się to uda. To są różne odwagi. Na Starym Mieście, np. żyją naprawdę bardzo różne grupy ludzi i ta odwaga czasem jest taka gospodarcza i finansowa, a czasem jest jakąś formą wyrazu artystycznego.

Czy potrafi Pani podać przykład projektu lub działania w mieście, które szczególnie Pani zapamiętała, wywarło na Pani wrażenie za nieoczywistość, wyjście poza przyjęte ramy?

172

Kiedy podróżuję, zwracam uwagę na dwie rzeczy. Po pierwsze na sztukę, która jest umiejscowiona w zupełnie nieoczywistych miejscach, np. w jakiejś bramie za śmietnikiem, gdzie nagle ktoś postanowił coś zrobić. Pojawia się interwencja artystów. Fascynującym zjawiskiem są takie działania, w których już na pierwszy rzut oka widać, że dokonała tego na przykład pani, która mieszka na parterze i z plastikowych łyżeczek zrobiła w ogródku obramówkę i tam posadziła kwiatka. To jest fascynujące. A druga rzecz, której zawsze szukam i obserwuję, to sposoby organizowania przestrzeni, które pozwalają używać miasta w sposób odważniejszy i nieoczywisty. Czyli te wszystkie miejsca, w których nie tylko ławka służy do siadania, ale do siadania służy kawałek rzeźby, murek, jakiś spowalniacz, donica. Kiedy ludzie czują się na tyle dobrze i bezpiecznie, że tak nadnaturalnie wnikają w te miejsca i wypełniają miasto. Bardzo też lubię przestrzenie, po których widać,

że są efektem pracy prawdziwych ludzi, zbiorowości zorganizowanej na liberalnych zasadach, a nie są projektem od A do Z wykonanym przez biuro projektowe. W Wilnie, np. jest Republika Zarzecza i tam wiadomo, że każdy z elementów w przestrzeni jest wykonany przez inną osobę, przez inną grupę. Nie odbywa się to tak, że chcąc postawić następną rzeźbę albo śmieszny rower robi się głosowanie. Po prostu wszystko wynika z potrzeby. Ktoś chce coś zrobić, coś namaluje, napisze, postawi i to wszystko działa. A poza tym to są rozwiązania stosowane przez ludzi, którzy użytkują tę przestrzeń. To nie jest tak, że zjawi się obcy artysta, bez przygotowania, wszystko wymaluje na równo, ładnie albo jeszcze, nie daj Boże, abstrakcyjnie, a mieszkańcy stwierdzą, że po prostu to im się nie podoba, że to jest brzydkie. Parę lat temu tworzyliśmy mural na Starym Mieście zaprojektowany przez Rafała Ereta. Mural ma tytuł „Czułość ryb” i przedstawia ryby, wielkie ryby – różową, niebieską, fioletową itd. Te ryby są na ciemnym tle. Wielu osobom, które tam mieszkają ten projekt się spodobał. Natomiast była jedna kobieta, która uważała kolor tła za coś koszmarnego. No i tutaj w gusta się wszystkie nie trafi. Natomiast rozmawialiśmy też sporo z osobami, które z tych balkonów mural widzą. Wydaje mi się, że najrozsądniejszym argumentem, który przemówił, jest taki, że jasny kolor po roku lub dwóch byłby brudny. Funkcjonalność przemówiła. Co jakiś czas schodzę oglądać ten mural i skoro na żadnej rybie nie pojawiły się spontaniczne napisy i malunki, to jednak pokazuje, że albo się komuś nie chce iść przez chaszczkę, żeby tam malować albo po prostu w jakiś sposób to zaakceptował.

173

Powiedziała Pani wcześniej, że jest mieszcuchem. Zainteresowanie miastem i chęć działania z nim, organizowania projektów miejskich pojawiły się naturalnie? Jak to się zaczęło?

To jest bardzo trudne pytanie. Nie umiem podać daty, kiedy to się zaczęło. Przez wiele lat pracowałam na Starym Mieście w Lublinie w Młodzieżowym Domu Kultury „Pod Akacją”, gdzie przez parę lat byłam instruktorem teatralnym, a potem pracowałam w Pracowni Imprez. Więc jeżeli instytucja ma swoją siedzibę w sercu miasta, to jest nierozdzielnie z nim połączona. Wychodzi do tego miasta podczas działań plenerowych albo jakichś akcji np. fotograficznych. Na pewno nie było tak, że przeczytałam jakąś książkę i stwierdziłam: „Tak, będę robić rzeczy w przestrzeni miasta”. Nie było momentu takiej decyzji. Chyba mogę powiedzieć, że szło to w naturalny sposób, a akurat tak się moja ścieżka zawodowa potoczyła, że z biegiem czasu mogłam coraz więcej. I, jak już zaczęłam pracę z Nocą Kultury, okazało się, że te możliwości są. Ogranicza je tylko wyobraźnia. Oczywiście jest też budżet itd., ale ten kierunek, oś działania i to na czym zechcesz się skupić, to właściwie jest myśl zespołu.

Praca w zespole i z różnymi zespołami, organizacja takiego przedsięwzięcia jak Noc Kultury wymaga pogodzenia wielu interesów. Czy czuje Pani, że ma wolną rękę w swoich działaniach?

Czuję, że jestem obdarzona niezwykłą ilością zaufania przez mojego dyrektora. Czuję coś w rodzaju wolności myśli. Natomiast tym, co nas ogranicza, są często względy finansowe, względy bezpieczeństwa, kwestie pozwoleń, a czasem po prostu zdrowy rozsądek. Jednak zawsze musimy coś wybrać. I jeżeli pewne działania są bardzo kosztowne, a sprawią, że tylko pięć godzin będzie ślicznie i nie wiadomo potem, co z tym zrobić, to się mocno nad tym zastanawiamy. Sami w zespole jesteśmy też takim cenzorem

swoich pomysłów. Wiadomo, że na początku pracy mamy plany wszystko zrobić, w ogóle nie ograniczamy się w burzy mózgów i w tym myśleniu. Ale jesteśmy dla siebie nawzajem cenzorami i takimi adwokatami diabła. Szukamy dziury w całym. Zresztą nawet często projektując działania, zanim stwierdzimy „Będzie pięknie”, wprost zadajemy pytanie na forum „No dobrze, komu to zaszkodzi? Komu to nie będzie się podobać? Co to może zrobić złego? Czyje interesy mogą być w ten sposób zagrożone?”

Jeżeli czegoś nie uda się zrealizować to jest duży zawód? Czy jednak pozostałe wydarzenia mogą to zrekompensować ?

Z tymi zawodami to jest tak, że zazwyczaj doskonale rozumiemy, dlaczego czegoś nie można zrobić albo sami podejmujemy decyzję, że nie chcemy tego zrobić. Zawody zawsze są, ale Noc Kultury to kilkaset projektów, zawsze jest tak dużo pięknych rzeczy, które zadziałają i się udadzą. Z drugiej strony, informacja, że czegoś nie da się zrobić czasem jest przyczynkiem do zrobienia jakiejś zmienionej wersji w przyszłym roku. Jeżeli w coś bardzo wierzymy i myślimy sobie, że to będzie dobre i trzeba to zrobić, to możemy to modyfikować. Zdarzało nam się nie robić jakiegoś projektu w danej edycji, bo było za dużo np. kontrowersji i problemów, czegoś jeszcze nie wiedzieliśmy i zostawialiśmy to w uśpieniu na za rok. Nie zawsze jest tak, że po zakończeniu jednej edycji zaczynamy pracę nad drugą. Czasem pracujemy na raz nad dwoma albo trzema edycjami, wiedząc już, że coś będzie w przyszłości, że coś musi przyjechać, ktoś musi coś wymyślić, zaprojektować i zrobić. Baloniki są u nas w piwnicy od czerwca zeszłego roku, także na poprzedniej Nocy Kultury one już były w piwnicy. Czekają.

Miały być teraz w czerwcu, mam nadzieję, że będą na jesień.

Działania w mieście, zmieniające wyraz miejsca lub wprowadzające nowe elementy mogą budzić kontrowersje. Jaka sytuacja w Pani pracy spotkała się z największym oporem, czy krytyką?

Pamiętam przy dwóch projektach, kiedy aranżowaliśmy całą ulicę, był jeden albo dwóch mieszkańców czy właścicieli kamienicy, którzy po prostu powiedzieli „Nie” i „Nie”. Nie, bo nie. Absolutnie nie będą rozmawiać, nie chcą słuchać, to jest bez sensu, oni się po prostu nie zgadzają i precz. To były sytuacje, które uszanowaliśmy i je zostawiliśmy. Na tych budynkach i w bliskim sąsiedztwie chodnika nie robiliśmy nic.

Jak ocenić, czy przeć dalej, czy próbować, czy walczyć? A w którym momencie odpuścić?

Też się nad tym zastanawiałam. Swego czasu, kiedy miała miejsce pierwsza taka sytuacja, jeszcze będąc na Studiach Miejskich, dzwoniłam do Marty Żakowskiej, żeby mi doradziła, kiedy jest ten moment, kiedy odpuścić. Powiedziała, że nikt nikomu nie wytłumaczy, każda sytuacja jest taka, że trzeba to wyczuć, ocenić. Z drugiej strony, nie widzę powodu, żeby nie szanować prawa własności i nie szanować prawa do odmowy. Ktoś, kto odmawia, też absolutnie nie ma obowiązku nam wytłumaczyć powodu swoich działań. On ma prawo nie chcieć tego, nie spotykać się znowu i nie słuchać w tym przypadku „nawiedzonych” artystów, którzy mają jakąś swoją myśl. Czasem namawiamy,

czasem tłumaczymy, natomiast były takie dwie sytuacje, kiedy odpuściliśmy. Staraliśmy się też pożegnać w sposób pokazujący, że rozumiemy, dziękujemy, uszanujemy decyzję i liczymy, że spodoba się panu to, co będzie się działo gdzieś indziej.

A czy pojawiają się kryzysy? Czy są takie momenty, że ma Pani dosyć i już nie wie po prostu, co ma zrobić, brakuje tej energii i motywacji?

Kryzysy na pewno się pojawiają takie zwykłe, ludzkie. Po prostu kiedy się już zbliża godzina zero, jesteście niesamowicie przepracowani, niedospani, potrzebujemy odpoczynku. Z drugiej strony, jest adrenalina i świadomość, że to już zaraz wszystko się zacznie. Z Nocą Kultury jest tak, że w miarę upływu tygodni, miesięcy zaangażowanych w projekt jest coraz więcej osób. Są małe kryzysy, czegoś brakuje, jakiś transport nie dojechał, ktoś się rozmyślił, basista złamał rękę, nie będzie koncertu – takie rzeczy się zdarzają co roku. Wiadomo, że część projektów się nie odbędzie, a o tym, że jakiś się nie odbędzie ja dowiem się w Noc Kultury lub po. Pewne rzeczy po prostu zdarzają się nagle. Natomiast z racji tego, że jest tak dużo tych projektów, nigdy nie może być tak, że wszędzie jest źle. Więc jak gdzieś jest kryzys, to gdzieś z drugiej strony patrzysz, jak pięknie coś rośnie, powstaje i już jest w ogóle idealnie.

Tegoroczna sytuacja jest kryzysowa. Kiedy stoisz w blokach startowych, zaraz będzie wyścig i ten bieg, już wiesz, że to będzie i żyjesz takim systemem przez parę lat, a nagle się okazuje, że jest maj, a ja po prostu nie mam zajęć na dwadzieścia godzin dziennie. Tak mi jest prywatnie może trudniej się odnaleźć. Z drugiej strony, nie wiadomo, co

będzie można zrobić na jesieni. Pomijając, że na pewno nie będziemy chcieli udawać jesieni, że jest czerwiec. Trzeba będzie w jakiś sposób przeformułować część działań. Na razie ciężko nam tutaj przewidzieć, jak ta jesień będzie wyglądać. Jakie będą obostrzenia, czy będzie zakaz gromadzenia się, nakaz noszenia maseczek. Każda z tych rzeczy generuje kolejne. Słyszymy też o nadchodzącym kryzysie, o tym, że będzie ciężko i że wszystko będzie drogie. To jest trochę wróżenie z fusów. To na pewno jest dla nas bardzo trudny czas emocjonalnie, bo chcielibyśmy robić rzeczy i czerpać z tego energię, a tego nie robimy. Z drugiej strony bardzo ważne jest to, że jednak czujemy się bezpiecznie, więc teraz po prostu rozważamy plan A, B, C, D i F i Ó, co i kiedy będzie można zrobić. Kiedy nastąpi zwolnienie blokady, będziemy gotowi, żeby już ruszyć z gotowymi rzeczami.

Noc Kultury ma zaskakiwać, ma być czymś nieoczekiwanym, pobudzającym wyobraźnię, Właśnie może też ta sytuacja, która dzieje się teraz jest przyczynkiem do kolejnych zaskoczeń, innych formuł festiwalu.

To jest pierwsza edycja, kiedy nie tylko organizatorzy zaskakują publiczność, ale organizatorzy sami zostali zaskoczeni, więc po prostu zobaczymy.

Noc Kultury propaguje wszystkie wymiary sztuki. Edukuje, pobudza wyobraźnię, buduje też w pewien sposób wizerunek miasta. Pokazuje nowe możliwości i udowadnia, że można zaaranżować przestrzeń w nieszablonowy sposób. Czy czuje Pani, że wyznacza Pani jakieś nowe kierunki, przeciera szlaki dla kolejnych

osób, które też w przyszłości będą zajmować się podobnymi projektami?

Hm ... ciekawe. Ponieważ im dłużej o tym myślę, tym bardziej uważam, że na poziomie ideowym i filozoficznym moje działania nie są absolutnie rewolucyjne. W użytkowaniu przestrzeni miejskiej, interwencjach artystycznych, zmienianiu użytkowania miasta czy właśnie upiększaniu, sprawianiu, żeby ludzie dobrze się czuli, nie ma nic odkrywczego. To od lat robią wszyscy ci, którzy zajmują się miastem. Oczywiście jesteśmy przekonani w naszym zespole, że robimy rzeczy nowe, publiczność jest zachwycona. Natomiast chyba jest to mniej w kwestiach ideowych, a bardziej w kwestiach sposobów i wykonania. Bardziej w rodzajach patentów, na przykład ktoś wcześniej bramę malował, a my powiesiliśmy żywe kwiaty. No i w sumie jest to nowość. Było to piękne, było to żywe, ale trudno tu mówić o jakimś... no prochu nie wymyśliliśmy. Myślę, że to, co dajemy ludziom, to emocje. I takie właśnie poczucie dumy. To też fajnie wszystko wyszło w badaniach, jak ludzie sami mówią, że to jest możliwe tutaj, u nas, że się dzieje, że nie tylko na zdjęciach z Rio de Janeiro. Ale po prostu przychodzisz do własnego miasta. Takie poczucie dumy i sprawczości, że się da.

Czy zauważa Pani wzrost zaangażowania mieszkańców, użytkowników, ich aktywizację w kontekście działań w mieście? W momencie, kiedy widzą, że coś da się zrobić, to otwiera się w nich taka chęć i poczucie, że mają możliwość zmiany?

Tak, na pewno. I to widać też po projektach, bo grupy które

coś robią na Nocy Kultury w trzy osoby, za rok zjawiają się w piętnaście. Najpierw tak nieśmiało, z mniejszym projektem, ale już za rok, jak już zetknęli się z materią i wiedzą, że mają od nas pomoc, nabierają rozmachu. Także na pewno to ośmiela, na pewno pokazuje, że można i zachęca.

Do projektu zaprosiłyśmy same kobiety, więc też chciałam zapytać czy bycie odważnym i odważną oznacza to samo? Jak Pani się odnajduje w swojej pracy jako kobieta?

Jeżeli chodzi o sferę nazwijmy to artystów czy w ogóle edukatorów, edukacja i całe środowisko artystyczne jest całkiem nieźle sfeminizowane. Tak samo Urząd Miasta, który jest naszym organizatorem, to instytucja, gdzie pracuje bardzo dużo kobiet. Mamy Panią Wiceprezydent od spraw kultury i sportu. W poprzedniej kadencji to był mężczyzna, a jeszcze w poprzedniej to również była kobieta. Więc nie dostrzegam takiej sytuacji, że jestem jedną z niewielu kobiet na polu bitwy.

Jak Pani mówiła, dostrzega Pani wielowymiarowość odwagi. Czy biorąc pod uwagę całokształt doświadczeń, sytuacji, z którymi się Pani spotkała oraz własnej oceny, uważa Pani siebie za osobę odważną?

Myślę, że tak, natomiast na pewno nie tak odważną jak na przykład Lekarze Bez Granic itd. No bo, co grozi moim przedsięwzięciom, które okażą się niewypałem? Niezadowolenie współpracowników, krytyka w mediach, na końcu listy rzeczy, które mogą mnie spotkać jest chyba utrata

pracy, gdybym np. popełniła czyn karalny. Po pierwsze, Noc Kultury to nie jest suma najbardziej rewolucyjnych działań, powiedzmy, że na kilkaset projektów mamy kilka, które są może kontrowersyjne, więc... tak to jest rozłożone. Natomiast właśnie zastanawiam się, czym ja ryzykuję. Odważni są ci, którzy ponoszą ryzyko, mogą wiele stracić. Ja ryzykuję chyba tylko niezrównoważeniem emocjonalnym, bo czytanie hejtów w komentarzach pod artykułami może być przykre i może utrudniać życie, wyprowadzać z równowagi i jakoś szkodzić. Przez pierwsze dwa lata pracy czytałam te komentarze, przejmowałam się tym i było to dość ciężkie. Ale teraz już tego nie robię i jestem zdrowsza. Też w mojej naturze nie leżą działania na przekór. Noc Kultury nie walczy z nikim, raczej wskazuje kierunki, pokazuje, że może być pięknie, że może być bezpiecznie, ale nie działa w kontrze. Po prostu tego nie robimy, nie obwieszczamy światu, że tego nie robimy i się nie zgodziliśmy. Naszym założeniem jest budowanie, a nie działanie w kontrze do czegoś. Zakładamy, że jeśli ktoś, kto jednego roku stanie okoniem, a w tym najpiękniejszym scenariuszu, w przyszłym roku z jakiegoś powodu będzie miał ochotę przyłączyć się, to drzwi są dla niego otwarte. To ma być maksymalnie otwarta sytuacja, nie tworząca podziałów. Myślę, że każdemu, kto cokolwiek organizował, czy dużego czy małego, wydaje się w pewnym momencie, że robi najważniejszą i najpiękniejszą rzecz na świecie i to wypełnia całe jego życie. Ta energia pozwala nam robić rzeczy, które są dla nas w danym momencie wszystkim. Natomiast prawda jest taka, że kiedy ja tym żyję, mogę wpływać na pewne procesy, budować coś, z czego wynikają kolejne dobre rzeczy, ale mam świadomość, że jest cała masa ludzi, zajmujących się innymi dziedzinami życia, którzy też robią bardzo ważne rzeczy, inne.

„Dopiero kiedy nastąpi
spotkanie i wysłuchanie, jest
szansa na porozumienie”.

**z Jaśminą Wójcik
rozmawia Aleksandra Żabowska**

Dlaczego zaczęłaś działać na polu sztuki ze społecznością? Na czym twoim zdaniem polega jej rola?

185

Myślę, że wynikało to po pierwsze z ciekawości, a po drugie było wypadkową sytuacji, które mi w mieście nie odpowiadały. Patrząc na doświadczenie ursuskie: wszystko zaczęło się w 2011 roku od zwykłego spaceru po Ursusie. Na początku zachwycałam się pustymi halami pofabrycznymi, które wydały mi – czysto wizualnie – przepięknymi obiektami. Wysłałam zdjęcia tacie, który urodził się i wychował w Ursusie. On opowiedział mi o tych halach i tym miejscu z zupełnie innej perspektywy. Dla niego było ono wypełnione ludźmi, wiązało się z pracą tysięcy osób. Wtedy zaczęłam się zastanawiać, gdzie jest kilkanaście tysięcy osób, które tu pracowało? Rozwiesiłam ogłoszenia w dzielnicy, że poszukuję osób pracujących niegdyś w fabryce, które chciałyby się podzielić ze mną swoimi doświadczeniami. Nie miałam żadnego planu, nie wiedziałam, co chcę z tym zrobić. Po prostu byłam ciekawa. Te rozmowy wiele rzeczy we mnie otworzyły. W 2011 i 2012 roku pracowałam na warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych, jako asystentka, na umowie o dzieło i byłam młodą matką. Niezwykle wrażenie zrobiły na mnie historie pracowników Ursusa o ich stabilizacji i poczuciu bezpieczeństwa, jakie dawała im praca w jednym miejscu przez kilkadziesiąt lat. Mówili o tym, że nadal czują się związani z tym miejscem poprzez pracę i współpracowników, traktują tę przestrzeń jako dobro wspólne. Wtedy zrozumiałam, że fragmenty miasta nie muszą być czyjąś własnością, żeby ludzie się czuli uprawnieni do przebywania tam, żeby lubili i chcieli tam być.

Z zebranych wspomnień zorganizowałam w 2013 roku „Spacer Akustyczny po dawnym ZPC Ursus”. Gdy szliśmy przez teren fabryki, z głośników na moich plecach wybrzmiewały wspomnienia tych ludzi. To było

wydarzenie otwarte i przyszło naprawdę wiele osób. A przecież to miejsce miało zostać zapomniane. Według władz dzielnicy to było niechlubne miejsce, w którym są tylko rozsypujące się hale, które trzeba zrównać z ziemią i wybudować nowe, piękne, wspaniałe. Nowe wiązało się z czymś ekskluzywnym, z wizerunkiem „prężnie rozwijającej się dzielnicy”. Urzędnicy nie zdawali sobie sprawy z tego, że te rozsypujące się hale są tożsamością i pamięcią tysięcy ludzi. Pojawiła się we mnie niezgoda. Dlaczego ktoś, kto nawet nie poznał tego miejsca i patrzy na nie z tylko z jednej perspektywy ma o nim decydować. Bardzo chciałam włączyć tę społeczność, uwidocznić ją i pokazać, że fabryka, od której Ursus wziął nazwę, jest tożsamością tego miejsca. Dlaczego mamy to wymazywać? Wszyscy jesteśmy z magnaterii, w ostateczności ze szlachty, prawda? Peerelowska, robotniczo-wiejsko-chłopska tożsamość jest czymś wstydliwym, czymś, co należy wyprzeć. Zapominamy, że razem z tym wypieramy bardzo dużo pozytywnych wartości.

Spotykałam się z tymi ludźmi przez wiele miesięcy, wiele lat. Widziałam, że to o czym mówią ma odzwierciedlenie w ich życiu, podejściu do świata, do rzeczywistości, do drugiego człowieka. Etos pracy i etos współpracy to jest coś zapomnianego, a bardzo ważnego. Szefa, mistrza traktuje się z estymą, ale też mistrz wdraża młodego pracownika. Cechowość i wzajemny szacunek budowały wspólnotę. Po pracy spędzano czas w Zakładowym Ośrodku Kultury, w którym teraz mieści się Dom Kultury Arsus i który za moment zostanie wyburzony. To są ważne miejsca w mieście, bardzo miastotwórcze, które znikają.

Zanim przejdziemy do ludzkich bohaterów tego miejsca, chciałabym zatrzymać się przy jego najważniejszym nie-ludzkim bohaterze – fabryce. Czy masz jakiś pomysł

na to, w jaki sposób miasta powinny dbać o tego typu dziedzictwo postindustrialne?

To jest kompletnie unikalne dziedzictwo, fantastyczne pod kątem architektonicznym, przepiękne, wytrzymałe i wytrwałe budynki. Pamiętam jak te hale mnie zachwyciły. W hali odlewni były piękne, kolebkowe sklepienia. Została wyburzona dwa lata temu.

W 2014 r. przyjechała do nas wycieczka badaczy architektury postindustrialnej ze Śląska. Robili objazd po Mazowszu: byli oczywiście w Żyrardowie i w Muzeum Gazownictwa. O dziwo odezwali się nie do ursuskiego urzędu, a do mnie, czy mogłabym ich oprowadzić. Przypomniałam sobie, że na terenie fabryki działa odlewnia aluminium ASmet. Jak fabryka upadała, jeden z pracowników kupił tę odlewnię i zatrudnił w niej swoich współpracowników. Badacze ze Śląska kompletnie się nią zachwycili. Powiedzieli, że to jest fenomen – tak piękne, jeszcze żyjące miejsce. Praca w odlewni była pracą ręczną. Aluminium było topione w piecach i odlewy były zalewane ręcznie przez odlewników. Była tam atmosfera jak w buddyjskim klasztorze. Nie przypominało to fabryki, jej huk, stukotu, tylko taka transcendencja – każdy skupiony na swoim działaniu.

Moją ideą fix było, żeby miasto wykupiło tę halę, która jest wpisana do rejestru zabytków. Zamiast budowy nowego obiektu, można skorzystać z funduszy europejskich i ocalić tę część, stworzyć tu muzeum. Według mnie, miasta powinny zachowywać dziedzictwo przemysłowe, ale my nie mamy jeszcze takiej świadomości. Śląsk zaczął jako pierwszy. Można się uczyć i od nich, i na ich błędach, i na doświadczeniu. W przypadku Ursusa urzędnicy nadal myślą, że dobre jest to, co nowe, a stare nadaje się tylko do wyburzenia. Jeszcze zostało kilka budynków, ale są one w rękach deweloperów.

Oni nie będą zainteresowani, żeby sprzedawać je miastu za niską cenę, tylko wybudują tam to, co im się będzie opłacało.

Tu nadal dominuje przeświadczenie, że zabytek powinien być w klasycznym rozumieniu „ładny”. Jak nie jest ładny, to już nie warto o niego dbać.

Tak, to powinien być pałac. Wtedy wiadomo, że o pałac trzeba dbać. Natomiast, co może być w takiej hali pięknego? Tam w dachu były świetliki – piękne i mądre rozwiązanie z lat 20., łączenia nitowane, żelbetowe belki. To nie były takie hale, jakie teraz stawia się w miesiąc i w miesiąc się rozbiera.

188

Oddałaś hołd temu miejscu w dokumencie „Symfonia Fabryki Ursus”. Jak spośród tylu osób związanych z fabryką wybrałaś jego bohaterów?

Od 2011 działałam w Ursusie z grupą znajomych, przyjaciół i aktywistów z absolutnie różnych zawodów i dziedzin. Zawsze w centrum naszych działań byli ludzie. Od nich czerpaliśmy impuls, a potem dobieraliśmy odpowiednie narzędzie z pola sztuki, partycypacji społecznej czy narzędzi aktywistycznych, w zależności od potrzeb tej społeczności. Poprzez te wieloletnie działania ci ludzie zaufali nam, wiedzieli, czym my się zajmujemy, że nie jesteśmy nastawieni na zysk polityczny, tylko faktyczne istotne jest dla nas upodmiotowienie ich.

Byłam reżyserką tego filmu. Razem z Igozem Stokfiszewskim pisaliśmy scenariusz. Rafał Urbacki był choreografem,

Dominik Strycharski kompozytorem, Kacper Czubak operatorem, a Jakub Wróblewski był odpowiedzialny za całą koncepcję wizualną. Czekaliśmy przez 2-3 dni na terenie zakładu, w stołówce odlewni aluminium. Każdy pracownik i pracownica mógł przyjść i podzielić się z nami swoim wspomnieniem i pamiątkami. Każdy, kto przychodził, miał robione przed wejściem zdjęcie polaroidem. Z tym zdjęciem wchodził na rozmowę i przyklejał je na mapie fabryki z lat 70., w miejscu w którym kiedyś pracował. Fabryka rozrastała się od lat 20. XX wieku do lat 70. Zależało nam na tym, żeby w filmie pokazać różnorodność zawodów, wielość zawodów i miejsc pracy. Na drugiej mapie pracownicy i pracownice pokazywali, skąd przejeżdżali. Fabryka miała charakter miastotwórczy, obrastała zróżnicowanymi osiedlami mieszkaniowymi. Inne są osiedla z lat 50., inny jest robotniczy Niedźwiadek, inne Gołąbki, a jeszcze inny jest Żyrardów.

189

W scenariuszu musieliśmy też uwzględnić historie, które się nawzajem dopełniały, przecinały. Nie był to wybór jakościowy. Zdawaliśmy sobie sprawę, że film jest ograniczonym medium i trzeba pokazać syntezę. Z tych rozmów utkaliśmy pierwszy scenariusz i rozpoczęliśmy warsztaty z bohaterkami i bohaterami. Prowadzone przez Dominika i Rafała warsztaty choreograficzno-dźwiękowe polegały na wydobyciu od nich ich ruchów, pamięci ciała. Już w 2011 r. moi rozmówcy często pokazywali mi ciałem, to co robili. Dla mnie to było nieprawdopodobne, że ciała nadal pamiętają mimo, że już nie ma tej pracy, nie ma fabryki, to pamięć ciała cały czas jest.

Czy ta performatywność nie budziła lęku w bohaterach?

Nie, bo to nie było sztucznie wymyślone. To był impuls, który

wyszedł od nich. Warsztaty trwały 9 miesięcy i służyły temu żeby się oswoić, żeby to ciało jeszcze raz uruchomić. W filmie pojawiają się różne rodzaje pamięci: pamięć dźwięku, pracy, miejsca, ale pamięć ciała jest innym nośnikiem i dlatego to było ważne, żeby nie stawiać ich przed czymś nieznanym. Bardzo dużo rozmawialiśmy o tym co chcemy pokazać. Chodziliśmy w miejsca, w których pracowali i oni sobie to wszystko przypominali. Była w nich taka ciepłowość. Zależało im, żeby oddać te dźwięki, żeby naprawdę sobie je przypomnieć. Wykonali ogromną pracę z pełną świadomością, że to oni są nośnikami pamięci. Mieli od nas zapewnienie, że przeżycia to tak, jak pamiętają.

Pamięć zajmuje ważne miejsce w mojej praktyce artystycznej. Lubię pracować z pamięcią, która jest zawodna, przefiltrowana przez dużo innych wydarzeń, przez historię, mózg i emocje. Podczas pierwszych nagrań w Ursusie pytałam też pracowników, pracownice o strajki w 1976 roku i pojawiło się kilka wykluczających się narracji. Bardzo mi się to podobało. Wtedy pierwszy raz poczułam, że to ma sens, że to na mnie działa. To nie monolityczna historia, jedna prawda, święta prawda i tylko prawda, tylko że historia jest jednostkowa. Jedno wydarzenie może być opowiedziane z perspektywy różnych osób. W wypadku strajków miałam opowieść robotnicy, która szła, bo inni szli, nie za bardzo wiedziała dlaczego, ale chciała być solidarna. Drugi człowiek mówił, że jego ojciec był prawdziwym, przedwojennych robotnikiem i jego majstrzy od swoich maszyn nie odeszli, tylko stali i ich pilnowali. I trzecia historia – chemiczki, która pracowała w budynku dyrekcyjnym, pod który przyszli strajkujący. Ona się panicznie bała, że nie będzie mogła odebrać dziecka z przedszkola, bo jej nie wypuszczą z budynku. Budynek dyrekcyjny jest obecnie siedzibą urzędu w Ursusie. Zapomina się, że tam były też zakłady chemiczne, a nie tylko kadra kierownicza. To są takie drobiazgi, ale bardzo istotne. To były zupełnie różne perspektywy, które

powodują, że my też inaczej patrzymy na te wydarzenia. To jest dla mnie zawsze najciekawsze.

Czy mogłabyś opowiedzieć o swoich działaniach, które realizowałaś w 2011 roku w przestrzeni Kazimierza Dolnego?

Mieszkałam w Kazimierzu przez kilkanaście lat. Przed wojną to było specyficzne miejsce: tętniące życiem, przyciągające artystów, fotografików, filmowców. Dominowały kultury katolicka i żydowska. Po wojnie stało się absolutnie jednokulturowe. Wszyscy Żydzi zostali wypędzeni i straceni. Zawsze towarzyszyło mi tam poczucie pustki i ciekawość, jak to było kiedyś. Pewne budynki zostały: jatki koszerne czy synagoga, w której, jak byłam dzieckiem, było kino. Na terenie kirkutu zostało wybudowane szkolne boisko. Pamiętam jak bawiliśmy się tam i znajdowaliśmy kości.

Potem, na studiach bardzo zachłannie czytałam reportaże Hanny Krall i książki Tomasza Grossa. Wywołały one we mnie falę obrazów, które wyrzucałam z siebie rysując. Mam ich pełne księgi. Opowiadam o tym w paru zdaniach, ale to był długotrwały proces. Potem patrząc na te rysunki zobaczyłam, że ich scenografią czyniłam podświadomie Kazimierz. Dotarło do mnie, że małe miasteczka mają podobną historię. Łączy je ten sam dzisiejszy brak. Potem poznałam kazimierską działaczkę Bożenę Gałuszewską, która od lat zbierała wspomnienia o żydowskich sąsiadach – przedwojennych mieszkańcach Kazimierza. Pojechałam do Teatru NN Brama Grodzka w Lublinie, gdzie także znalazłam niezwykle ciekawe świadectwa sąsiadów z Kazimierza. Dzięki temu te rysunki, historie i miejsca zaczęły mi się łączyć w jedną całość. Poczułam, że jest moim obowiązkiem przypomnieć dawnych

mieszkańców miasta. To był w Kazimierzu zawsze temat tabu, bo Polacy przejęli żydowskie własności. Mówienie o Żydach zawsze wiązało się z lękiem, że oni zaraz wrócą i odbiorą te kamienice.

To był mój pierwszy projekt w przestrzeni, który składał się z mnóstwa etapów. Miałam świadomość, że mogę na każdym z nich polec. Wymyśliłam, że zorganizuję alternatywny spacer po Kazimierzu śladami Żydów, po żydowskich fragmentach miasta, z moimi rysunkami powieszonymi na kamienicach. Najpierw oczywiście musiałam zdobyć mecenat. Dobrze się złożyło, bo parę lat wcześniej wygrałam Samsung Art Master. Dostałam też środki z Narodowego Centrum Kultury. Potem szukałam firmy produkującej siatki, która miała doświadczenie w pracy z kamienicami zabytkowymi. Chciałam mieć pewność, że one nie zostaną zniszczone. Musiałam się doszkolić w rodzajach siatek, bo nie chciałam wieszać obrzydliwych banerów, czy cerat, tylko jak najcieńszą, wysokiej jakości, przepuszczalną siatkę. Następnie pisałam pisma do lubelskiego konserwatora zabytków. Okazało się, że muszę mieć zgody wszystkich właścicieli kamienic, a dopiero wtedy urząd wyda lub nie wyda zgodę. Współpracowałam z lokalnymi urzędnikami, którzy też mieli różne zapatrywania na ten temat. Jedni mówili, że to jest świetny pomysł, a drudzy, że Kazimierz to jest piwo na rynku, a może nie koniecznie taka trauma.

Podczas inauguracyjnego spaceru historie rozbrzmiewały z głośników na moich plecach. Zatrzymywaliśmy się przy stacjach – kamienicach z moimi rysunkami (ogromnej wielkości, kilkunastu metrów kwadratowych każdy), które ukazywały dramatyczne sceny. Spacer odbywał się przez trzy miesiące letnie. Można było wypożyczyć darmową mp3 ze ścieżką dźwiękową, dostać mapę i zwiedzać alternatywnie, dowiadując się innej historii. Mój dźwiękowiec dorobił do spaceru ścieżki dźwiękowe, np. skrzypce z tęskną,

sztetłowska muzyką. To było niesamowite. Miałam ciarki. Poczułam, że te duchy wracają do tego miejsca. Dzięki temu, że opowiedziałam tę historię, we mnie też wrócił ten brakujący element. To był bardzo ważny projekt. Wymagał ode mnie poznawania wszystkiego.

Najbardziej zależało mi na kamienicy, na której umieściłam największy rysunek. Miał 6 x 5 metrów i przedstawiał wypędzanych Żydów. Na rysunku oni szli dokładnie tak jak w rzeczywistości. Właścicielami było małżeństwo, które mieszkało za granicą. Kiedy rozmawiałam o założeniach projektu, o tej idei z ich przedstawicielką, mówiła, że na pewno się nie zgodzą, to jest zupełnie nietrafione, żebym nawet nie próbowała. Ale ja próbowałam. Ona bardzo mnie zniechęcała, ale wreszcie zgodziła się zapytać. Okazało się, że zgodzili się w sekundę. To też nauczyło mnie, że warto pokonywać takie problemy. W niektórych wypadkach oczywiście się nie udaje, ale trzeba walczyć o swoje, jeśli jest się przekonany i widzi się sens działania.

Pamięcią zajmowałaś się też w swoim projekcie w Parku Tysiąclecia w Zielonej Górze.

Do projektu zaprosiła mnie Marta Gendera z Fundacji Salony. Oni przez dwa lata robili w parku działania bardziej miękkie, animacyjno-artystyczne skupiające się wokół pamięci. Przyjechałam tam i zaczęłam badać temat: rozmawiać z ludźmi, którzy pamiętali moment, kiedy tak nie było parku – był cmentarz. To były w dużej mierze starsze osoby, które się tam jako dzieci bawiły. Niby nie było wolno, ale przecież to byli „Niemcy, nie ludzie”. Państwo polskie robiło wszystko, żeby o tej niemieckiej tożsamości zapomnieć. Prowadziłam też warsztaty z gimnazjalistami z Zielonej Góry. Nie wszyscy z nich wiedzieli, co tam było. Odtwarzałam im wspomnienia

ich starszych sąsiadów. Oni rysowali te wspomnienia, to jak to sobie wyobrażali. Wystawa prac gimnazjalistów połączona była z odtworzeniem głosów mieszkańców. Towarzyszyła dyskusji w parku na temat sposobów upamiętniania. To było ciekawe doświadczenie. Jest park, który funkcjonuje od kilkudziesięciu lat. I co zrobić? Wyciąć drzewa i postawić pomniki? To było bardzo wielowarstwowe, wielowątkowe. Podawałam różne przykłady z Niemiec, ze Skandynawii, gdzie cmentarze są parkami. To był 2013 rok i bardzo ciekawa wydawała mi się idea pochówku biologicznego, żeby stać się drzewem. Przyjeżdżają Niemcy, którzy szukają grobów swoich przodków, a widzą park. To wywołało dyskusję. W jaki sposób to wszystko po wielu, wielu latach od wojny pogodzić. O to chodziło.

Uważasz, że przy tego typu projektach da się wypracować jedno dobre rozwiązanie?

Myślę, że przede wszystkim powinno się wysłuchać wszystkich stron. Bardzo wierzę we współpracę, która wynika z poszanowania uczuć innych w wypracowanie kompromisu. Często nie znamy drugiej strony. Dopiero kiedy nastąpi spotkanie i wysłuchanie, to wtedy jest szansa na porozumienie.

Zastanawiam się, czy sztuka ze społecznością może być narzędziem, które pozwala – może nie tyle znaleźć rozwiązanie – co zrozumieć miejsce o niejednorodnym charakterze?

Tak, absolutnie tak uważam. Mapowanie tej przestrzeni,

194

zadawanie sobie pytań: czym ona jest dla mnie? czym jest dla innych? – uświadamia, że są różne narracje. To bardzo mnie interesowało na początku studiów. Jechałam tramwajem i przypominałam sobie, jak mama mówiła, że w tym bloku w 1973 byli na prywatce, a tam kwitł bez, kiedy poszli na pierwszą randkę. Ile jest takich narracji dotyczących jednego miejsca. Jakie to jest wielowarstwowo nasiąknięte. Każdy ma inny rodzaj wspomnienia. To mi się wydawało frapujące. Często są to ciężkie narracje. Polskie miasta są naznaczone historiami tragicznymi. Tutaj chłopak podarował mi bez i też tu była kładka pomiędzy gettami. Nie można tego wartościować.

Czy myślisz, że praca ze społecznością to coś czego można się nauczyć? Czego od Ciebie wymaga?

Nie wiem, czy można się tego nauczyć. Praca ze społecznością ma sens, jeśli ma się w sobie taką ciekawość, jeśli człowiek posługuje się nasłuchem i lubi kontakt z innymi, polegający na wymianie doświadczeń. Natomiast działania polegające na tym, że jako artystka, animatorka wiem więcej i przychodzę nauczać i dawać narzędzia, to jest coś na co mam totalną alergię. To jest kolonizowanie, a nie sztuka ze społecznością. Nie cierpię tego typu działań, takiej projektozy. Przyjście z założonym z góry, wyssanym z palca projektem jest najgorsze. Można bardzo łatwo skrzywdzić ludzi poprzez nieświadome nawet działania autorytarne. Na pewno niedobłą drogą jest powielanie gdzie indziej sprawdzonych sposobów pracy. Każda społeczność rządzi się innymi prawami, są inne napięcia. Długofalowość, długodystansowość jest istotna, bo nasza percepcja może się zmieniać. Musimy sobie dać czas na głębokie poznanie wszystkich relacji, graczy i interesów.

195

Często odbieramy ludzi tak, jak sami działamy. Jeśli sami chcemy krótkotrwałych interesów, to wydaje mi się, że inni też są tacy. Jeśli chcemy coś zrobić społecznie, to myślimy o ludziach w ten sposób. Nauczyłam się już, że jest bardzo wiele osób, które chcą wykorzystać takie działania. Angażują się w momencie, kiedy im ma to przynieść korzyść. To jest przykre, ale też można to umiejętnie wykorzystywać. Zbliżają się wybory i osoby, które chcą w tym wyścigu wziąć udział, mogą nam się do czego przydać. Trzeba to mądrze rozgrywać z pełną świadomością tego, co się robi i czy to wypali, czy nie.

Praca ze społecznością wiąże się też z wieloma zawodami. Człowiek myśli o ludziach, że są jacyś, a potem oni okazują się inni. Próbują wykorzystać sytuację do własnych celów. To amplituda, bo długofalowość zakłada bycie ze społecznością przez cały czas. Nie ma programów wieloletnich na takie działania i trzeba się szarpać, kombinować, pozyskiwać jakieś fundusze z różnych źródeł. Są momenty spadku energii. Jeśli to człowieka nie satysfakcjonuje, jeśli on się w tym nie spełnia, to lepiej tego nie robić. Jeśli się nie ma tej energii, to się jej nie wyzwoli u innych. W Ursusie bardzo dużo dały mi kontakty z tym ludźmi. Czułam, że mam wobec nich dług, bo zaufali mi, podzielili się częścią swojego życia. Wszyscy ich zawiedli. Nie mogłam zostawić ich samym sobie. To jest duża odpowiedzialność. Łatwo jest wejść w jakąś społeczność, można zdobyć jej zaufanie, ale najgorsze jest ich potem zostawić, zawieść nadzieje. Lepiej niczego nie zaczynać, zostawić sytuację taką jaka jest, niż jeszcze raz ich porzucić.

Czy to jest praca, która ma w ogóle jakiś koniec? Czy można myśleć o niej jako o zamkniętym projekcie?

Myślę, że nie można o tym myśleć jako o zamkniętym

projekcie. Wydawało mi się w pewnych chwilach, że ktoś to przejmie, że zmobilizuje to do działania osoby stamtąd, młodsze, ale to długo się nie udawało. Natomiast film i zetknięcie z traktorzystami wywołał w jednym z naszych bohaterów ogromne pokłady aktywizmu. Działają tam teraz razem z lokalną dziennikarką, która była z nami od samego początku i bardzo nam kibicowała. Czuję, że nie jestem tam tak strasznie potrzebna. Jest ktoś – bardziej ze środka – kto to kontynuuje i mogę się troszeczkę wycofać.

Oczywiście pozostaje nierozwiązana sprawa Zabytkowej Kolekcji Fabryki Ursus. Była kampania petycyjna. Miasto przeznaczyło środki, żeby kolekcję wykupić i stworzyć wokół niej izbę pamięci, być może w przyszłości muzeum Ursusa. Do tego wszyscy dążymy. Jednak tam ciągle dzieją się polityczne rozgrywki, do których my jako strona społeczna nie jesteśmy dopuszczani. To jest jedna niezłałatwiona sprawa. Dopiero w tym roku pojawiło się we mnie poczucie, że w Ursusie już nic więcej nie jestem w stanie zrobić, zmienić, dać z siebie, ale też poczucie spełnienia, że są osoby, które teraz tam walczą, działają z ogromem energii i serca.

Czym jest dla Ciebie odwaga w kontekście działania w przestrzeni publicznej?

Czym jest odwaga? Odwaga często łączy się z niezgodą. Na przykład nie zgadzam się, żeby jakaś przestrzeń została zawłaszczona przez uprzywilejowaną grupę, a inni zostali wykluczeni.

Ja mam taką sytuację na swoim podwórku. Jest ono dość duże, zielone, pomiędzy czterema bloczkami z lat 50. na Saskiej Kępie. To jest nieprawdopodobnie zarzewie konfliktu. Ta przestrzeń została przejęta przez seniorów, którzy sobie

nie życzą, żeby tam się działo cokolwiek. Złożyłam dwa lata temu projekt do budżetu partycypacyjnego o doświetlenie tego podwórka niskimi, ledowymi latarniami. Projekt wygrał, został w tym roku zrealizowany i zrobiło się wreszcie miło. Ale niektórym ludziom to nie odpowiada. Są mieszkańcy, którzy muszą zasłonić okna, bo im świecą latarnie w okna. Kiedyś tam była ławka. Jak byłam młodą mamą z wózkiem to z tej ławki korzystałam, żeby usiąść, nakarmić dziecko, obserwować jak się bawi na trawniku. Ławka została wyniesiona na prośbę starszych pań, bo przecież pijacy się zbierają. To pokazuje mi, że dzieciom już nie wolno się bawić w tej przestrzeni. Skonfrontowałam się z tą społecznością i pytam: „Przepraszam, czy pani nie ma dzieci?” – „No, moje dzieci się wychowały na tym podwórku.” – „Aha, aha.” Widzę, że teraz dzieci są wykluczane jako obywatele, bo są głośne, grają w piłkę, mogą wybić okno. To jest coś przerażającego. Te podwórka były projektowane tak, że dzieci były pod oknami, żeby rodzice je widzieli i słyszeli. I nagle teraz jakaś grupa decyduje, że innej grupie nie wolno wychodzić. To są ciężkie sytuacje. Staram się to szanować. Starsi ludzie mają prawo do spokoju.

Nie lubię takiego zawłaszczania narracji. Podam jeszcze taki prosty przykład z Ursusa. W rocznicę strajków urzędnicy zadzwonili do mnie: „Pani Jaśmino, pani ma tam jakieś wspomnienia, to może byśmy włączyli je do takiej okazjonalnej publikacji na 40-lecie strajków.” Powiedziałam im, że jeśli chcą użyć tych wspomnień, to ja muszę zredagować książkę. Zgodzili się, bo nie mieli wyjścia. Zredagowałam książkę w kontekście tego, co z tych strajków zostało. Umieściłam w książce taki strumień świadomości tych pracowników i pracownic, ale też młodych mieszkańców dzielnicy. Książka trafiła do wszystkich bibliotek w Ursusie. Podczas jednego ze spotkań tzw. autorskich, (choć byłam redaktorką, a nie autorką) przyszło sporo ludzi. Rozmawiamy o tej książce. Starsi mieszkańcy psioczą potwornie na tych

młodych, że się tu wprowadzili i nie widzą nawet, że tu była fabryka. Wstał młody chłopak i powiedział: „Przepraszam, ja pochodzę z małej mazowieckiej wsi. Moja rodzina rolników posiadała traktory Ursus. Kiedy przeniosłem się do Warszawy, początkowo mieszkałem na Bródnie i na Targówku. Teraz kupiłem mieszkanie w Ursusie i wreszcie moja rodzina wie, gdzie mieszkam. Wiadomo, że to jest Ten Ursus. Przeczytałem książkę i chciałem za nią podziękować. Dzięki niej zrozumiałem tych ludzi, którzy tu pracowali, spędzili całe życie w fabryce. Mam teraz takie poczucie, że mieszkam w ważnym miejscu.” Na to wstał starszy pan i powiedział: „Witamy sąsiada.” I to było to. Budowanie mostów pomiędzy tymi nowoprzybyłymi, a starymi mieszkańcami. Wystarczyłoby dawać taką publikację nowym mieszkańcom, żeby oni dowiedzieli się, jak ważne to jest miejsce dla tamtych ludzi i choć trochę ich zrozumieli. To są mikrodziałania, które łączą społeczności. Zmiany są nieuchronne, ale można przeprowadzić je miękko, spotykając i łącząc te wydawałoby się wykluczające się narracje.

Jakie działania w mieście uważasz za odważne?

Uważam budżet partycypacyjny za coś odważnego. Takiego bardzo fair, włączającego mieszkańców w proces decyzyjny. Kiedy to wychodzi oddolnie, a nie jest narzucone, inne jest użytkowanie tych przestrzeni.

Za bardzo trafiony i potrzebny uważam projekt Ogrody do Zabaw, do którego zaprosiły mnie Marta Trukał-Masłowska i Magda Kubacka. Dwa lata temu Zieleń Warszawska postanowiła dać trochę naturalnego dzieciństwa miejskim dzieciom, żeby się bawiły patykami, kamykami, korą. Projektowaliśmy z lokalną społecznością takie ogrody do zabaw. Uważam, że takich projektów powinno być więcej,

żeby rodzicom, którzy są przyzwyczajeni, że huśtawka służy tylko do huśtania, a zjeżdżalnia tylko do zjeżdżania, pokazać że niekoniecznie. Dzieci mają więcej wyobraźni i nie trzeba ich formatować, tylko bardziej obserwować i zawracać im naturalne dzieciństwo.

Dla mnie odważne łączy się z utylitaryzmem, jeśli coś jest używane przez ludzi, tak jak Dotleniacz Rajkowskiej, który nie był oczywistą sytuacją, a takim przeniesieniem ludzi w inny wymiar. Uwielbiałam Dotleniacz. Najgorsze jest to, że takie projekty mogłyby funkcjonować, ale przez brak gotowości osób decyzyjnych one przepadają. Ten projekt połączył wiele różnorodnych grup. Dał przestrzeń starszym. Mimo to, że miasto próbowało, teraz tak naprawdę nikt tam nie siedzi, nikt nie spędza tam czasu. Artyści mają wycucie i odwagę podjęcia ryzyka, której urzędnikom brakuje. Sprawdzamy, pertraktujemy, wychodzimy z własnej strefy komfortu.

A czy masz poczucie, że przez swoją sztukę i działalność społeczną wyznaczasz nowe kierunki i przecierasz szlaki?

Chciałabym oczywiście, żeby tak było, ale nie zastanawiam się nad tym. Staram się działać, tak jak czuję. Bardzo mnie denerwuje, kiedy jakaś grupa zawłaszcza przestrzeń, czy to symboliczną, czy rzeczywistą. Staram się, żeby te procesy w przestrzeni były jak najbardziej demokratyczne. Bardzo chciałabym rozpocząć dialog pomiędzy grupami. Razi mnie to, co się dzieje w polskiej polityce, to okopywanie się we własnych obozach, niedopuszczanie czyjegoś zdania. Mówimy w naszym, lewicowym środowisku, jaka ta prawica jest zła, a sami zaczynamy działać tak, jak oni. Więc w zasadzie niczym się nie różnimy. Ja bym chciała słuchać, a nie mówić w tych kategoriach białe-czarne. Bo zawsze jest coś pomiędzy.

Głęboko wierzę w dogadywanie się ponad podziałami. Poczułam to w Ursusie. Jak jest ważniejsza sprawa, sytuacja, która nas wszystkich dotyczy, to potrafimy być solidarni i wyjść poza samych siebie. Sama się na tym łapię, nie jestem idealna i chciałabym dzięki tym działaniom wyciągać wnioski dla siebie. Nie dać się zapędzić w uliczkę takiego radykalizmu.

W takim razie, czy jesteś odważna?

Nie wiem, czy jestem odważna. Chyba tak. Nie boję się porażki i ryzyka. Mam odwagę przyznawania się do winy, do porażki, do tego, że nie miałam racji. Uczę się od dzieci.

„Połączenie odwagi
i pracowitości pozwala
mi czerpać przyjemność
z kolejnych form zgłębiania
miejskich tematów”.

z Martą Żakowską
koresponduje Joanna Romaniuk

Bada i obserwuje Pani miasto. Pisze, rozmawia z innymi badaczami, politykami, osobami, które mają wpływ na jego rozwój i kształt. Jest Pani propagatorką myślenia o zrównoważonym, przyjaznym mieście, czego wyrazem jest wydawany od kilku lat Magazyn Miasta. Za co lubi Pani swoją pracę? Jakie ideały Pani przyświecają?

Uwielbiam moją pracę głównie za to, że daje nadzieję i dużą dawkę złudzeń, że lepszy świat i lepsze miasta są realne. Lepsze, czyli podnoszące poziom szczęścia jak największej liczby ludzi, w tym też mój, dziś i w perspektywie długofalowej. Wolę wierzyć w to, co nierealne lub mało realne, niż codziennie denerwować się przez to, jak wszystko dookoła mnie działa. Moja praca pozwala mi skupić się na dążeniu do zmiany, przez co problemy miejskie, z którymi się mierzę, prywatnie i zawodowo, są tylko elementem mojej pracy, a nie powodem do przygniatającego zmartwienia lub ich wyparcia. Część tej nadziei, choć niewielka, ma realny sens – nieliczne, ale jednak jakieś!, prowadzone przeze mnie z różnymi ludźmi długofalowe działania, które z niej kiełkują, zmieniają rzeczywistość.

Praca na rzecz miast to dla Pani misja czy raczej obowiązek? Dlaczego?

Praca i misja na raz. Mam jakieś wyobrażenie miasta, w którym chciałabym żyć i świata miejskiego, który chciałabym współtworzyć. Jak w każdym zawodzie, tak i jako badaczka miasta i popularyzatorka nowej miejskiej wiedzy bardzo często wykonuję bardzo żmudne zadania, prowadzę żmudne procesy, które często nie przynoszą żadnych ciekawych dla mnie efektów, a przy okazji dają mi

mało pieniędzy i powodują różne problemy innej natury w moim życiu. Każda misja, gdy staje się motywem pracy zawodowej, przybiera też formę różnego typu obowiązków. W obszarach takich jak mój – społeczne konteksty miejskie, zrównoważony rozwój miejski – i w takim kontekście, w jakim żyjemy (turbokapitalizm, wyparcie klimatyczne, młody kapitalizm, skrajne nierówności) często są one przy tym bardzo frustrujące, bo efekty rzadko są tym, o czym naprawdę marzę, gdy zaczynam coś robić. I tu znów wraca misja – można by wszystko wałnąć w kąt. Bo ile można. A jednak wracam do tematów miejskich, które są dla mnie ważne i dalej, w kolejnych projektach walczę o to, o czym w kontekście miejskim marzę.

Czym są dla Pani miasto i miejska przestrzeń publiczna?

Przestrzenią sensownego balansowania między życiem prywatnym, duchowym, społecznym, publicznym i zawodowym.

A czym jest dla Pani odwaga w kontekście działania w przestrzeni publicznej?

Długofalową pracą – na dobre i na złe, gdy są na to pieniądze i nastroje społeczne i gdy ich nie ma – nad skutecznym osadzeniem swoich wartości i marzeń miejskich w rzeczywistości miejskiej i w życiach i wyobrażeniach ludzi. Nieważny jest efekt, bo rzeczywistość rzadko pozwala zobaczyć to, co się chce, tak jak się chce. Odważne jest dla mnie uparte dążenie do realizacji swoich marzeń dotyczących

naszych wspólnych miejsc, które wywraca do góry nogami elementy systemu rozwalające dzisiejszą przestrzeń publiczną w miastach. Ważna jest dla mnie przy tym długofalowość takich działań, bo uważam, że tylko długie procesy zmieniają kulturę miejską. Krótkie działania są jak wizyta cyrku – nawet jak coś dzięki nim drgnie, potrzebni są ludzie, którzy te drgania przeciągną w przemianę elementu lub elementów kultury miejskiej, a to trwa latami, dekadami i rzadko jest wdzięcznym procesem dla tych, którzy konsekwentnie oddają się tej żmudnej pracy na codzienności.

Czy odwaga może dotyczyć tylko działań, czynności, aktów czy może też wyrażać się w pracy teoretycznej? Zadaję to pytanie w kontekście Magazynu Miasta. Czy czuje Pani, że jakieś treści, komunikaty publikowane mogą być uznane za wyraz odwagi?

Mogą, oczywiście, ale wtedy, gdy są konsekwentne i publikowane bez względu na to, co się opłaca, finansowo i politycznie. Tu tak samo ważny jest czynnik czasu – dla mnie odważne i ciekawe działanie w kontekście miejskim to działanie, którego celem jest realna zmiana kultury i świadomości miejskiej. A to trwa. Ale oczywiście – jednym z narzędzi zmiany jest nasza miejska wyobraźnia, którą kształtują m.in. teksty. Magazyn Miasta od lat wyznacza nowe kierunki i przeciera szlaki. Dostarczamy najnowszą wiedzę i perspektywę miejską do urzędów, biur i na ulice.

Jak to się stało, że zdecydowała się Pani na zwiążanie swojej pracy z miastem?

Spotkałam na studiach ś.p. profesora Mirosława Duchowskiego, wybitnego miłośnika myśli i zmiany miejskiej, mojego ukochanego mentora i wychowawcę. Profesor pokazał mi, że każdy budynek i zakątek miejski to skarbnica wiedzy o życiu poszczególnych ludzi, lokalnej społeczności i jej granicach oraz zwyczajach, o społeczeństwie miasta, kraju, o danym momencie historycznym i jego historycznej genezie, o systemie gospodarczym, w którym powstał i funkcjonuje, o kulturze materialnej, wizualnej danego miejsca, czasu i społeczeństwa oraz o momencie rozwoju cywilizacji. Wcześniej patrzyłam na budynek i widziałam okna, no może jeszcze drzwi i kolor. Nie bardzo umiałam nawet powiedzieć, czy mi się podoba, czy nie. Po pierwszych zajęciach u profesora Duchowskiego poszłam w stronę miasta bez zastanowienia. Moją rodzącą się pasję rozdmuchała dodatkowo profesor Halina Taborska podczas seminarium o społecznej sztuce publicznej. To dzięki niej zrozumiałam, że ściany i ulice w mieście – puste i zamalowane – mają znaczenie społeczne. Tak się zaczęło. A potem miałam szczęście – prywatnie i zawodowo wpadałam na wspaniałych ludzi oddanych miastom, od artystów przez socjologów po właścicieli barów. Poszło – związałam się z miastem na dobre i na złe, od premii po niespłaconą kartę kredytową.

Czy w pracy z miastem, nad miastem łatwiej jest być odważnym czy odważną? Czy płęć ma znaczenie? Ma Pani jakieś obserwacje pod tym względem?

Nadal mamy więcej prezydentów miast, ministrów do spraw miejskich, dyrektorów biur i wielkich architektów niż kobiet pełniących te role. Statystycznie więc nadal na pewno łatwiej jest być odważnym, jeżeli chodzi o wysokie funkcje miejskie. Niestety. Ale odwaga rozbija mury na każdym poziomie i nie ma płci.

Czy jest Pani odważna?

Gdy byłam mała, mój Tata mówił mi na pasach: „idziesz stanowczo, odważnie, nie zatrzymujesz się – staną.” Bałam się, ale dreptałam za nim, mocno trzymając go za rękę. I rzeczywiście, stawali równie stanowczo, co szliśmy, choć dzisiejsze statystyki wypadków na pasach sugerują, że może raczej mieliśmy po prostu szczęście. Do tego jako mała dziewczynka byłam niegrzeczna i bezczelna, więc często chciałam ukrywać przed nim, co narobiłam. Robiłam to sprytnie, choć zazwyczaj tylko do czasu i z bólem brzucha, że się wyda, ale robiłam. Czasem się wydawało, czasem nie. Tak nauczyłam się różnych odsłon odwagi, a że moje rozrabianie pielęgnowało we mnie jednocześnie pracowitość, bo miałam multum konstruktywnych kar w szkole – musiałam za karę pisać wypracowania – szybko poznałam też smak pracowitości. Jestem wdzięczna i Tacie, i szkole, bo połączenie odwagi i pracowitości pozwala mi czerpać przyjemność z kolejnych form zgłębiania tematów miejskich, które mnie interesują – za darmo, z pięknymi ludźmi, dla celu i w ramach lepszych i gorszych umów.

Noty biograficzne

dr Monika Arczyńska – współzałożycielka A2P2 architecture & planning, firmy konsultingowo-projektowej zajmującej się m.in. masterplanami (Stare Świdry w Warszawie, Stocznia Cesarska w Gdańsku), przestrzeniami publicznymi (woonerf w ul. Abrahama w Gdyni) i działaniami partycypacyjnymi w całym kraju. Studiowała na Politechnice Gdańskiej i TU Delft. Adiunktka na Politechnice Gdańskiej, wykładała także na Uniwersytecie Gdańskim i studiach podyplomowych. Posiada doświadczenie projektowe z pracowni w Polsce, Holandii i Irlandii. W latach 2006-2017 była związana z Heneghan Peng Architects, gdzie projektowała budynki użyteczności publicznej, m.in. nagrodzone Aga Khan Award Muzeum Palestyny, Wielkie Muzeum Egipskie, Narodowe Centrum Sztuki Współczesnej w Moskwie i centrum obsługi turystów Giant's Causeway w Północnej Irlandii. Współpracuje z „A&B”, „Architekturą-Murator” i czeskim „INTRO”, jest „członkinią Miejskiej Komisji Urbanistyczno-Architektonicznej w Gdańsku.

Laura Hołowacz – prezeska zarządu i współzałożycielka CSL Internationale Spedition w Szczecinie. Ukończyła ekonomię transportu (specjalność: transport samochodowy) na Politechnice Szczecińskiej. Cała jej późniejsza działalność zawodowa jest związana ze spedycją. Pomysłodawczyni rewitalizacji Starej Rzeźni i inicjatorka powstania Centrum Kultury Euroregionu na szczecińskiej wyspie Łasztownia. Za realizację tej inwestycji nagrodzona została m.in. Wyróżnieniem Architektonicznym Arch Pro w Konkursie na Nagrodę Architektoniczną Prezydenta Miasta Szczecin za lata 2014 – 2018.

Anna Hryniewiecka – od 2012 roku dyrektorka Centrum Kultury ZAMEK w Poznaniu. Z wykształcenia historyczka sztuki. W przeszłości – dziennikarka radiowa i telewizyjna, rzeczniczka prasowa Festiwalu Malta, największego festiwalu teatralnego w Polsce, a w latach 1999-2011 zastępczyni dyrektora CK Zamek do spraw programowych. W 2010 roku zainicjowała „Sztab Antykrzysowy na rzecz poznańskiej kultury”, który skupił blisko 200 przedstawicieli instytucji kultury, organizacji pozarządowych, środowisk naukowych i artystów, którzy planowali wypracować nowy model funkcjonowania kultury w mieście. Najważniejszą zmianą w funkcjonowaniu CK ZAMEK było wprowadzenie jej autorskiego programu „Nowe Otwarcie”.

Iga Kalbarczyk – socjolożka. Pracuje w Biurze Konsultacji Społecznych i Rewitalizacji Urzędu Miasta Gorzowa Wielkopolskiego. Współprowadzi także studio badawczo-projektowe Pracownia Urbanistyki Społecznej. Uczestniczy w procesach opartych na prototypowaniu urbanistycznym polegających na testowaniu zmian w przestrzeni publicznej wspólnie z ludźmi, którzy korzystają z niej na co dzień. Brała udział w procesach realizowanych w ten sposób w Warszawie, Dąbrowie Górniczej i Gorzowie Wielkopolskim. Jest zaangażowana w ogólnopolski projekt Żywa Ulica.

Cecylia Malik – malarka, performerka, edukatorka, ekolożka i miejska aktywistka. Ukończyła malarstwo na ASP w Krakowie. Absolwentka podyplomowych studiów kuratorskich na UJ w Krakowie. Współtwórczyni „Modraszek Kolektyw” akcji w obronie Krakowskiego Zakrzówka przed zabudową i cyklicznej imprezy na Wiśle „Wodna Masa Krytyczna”. Inicjatorka akcji społeczno artystycznych takich jak „Chciwość Miasta” – w obronie modernistycznego hotelu Cracovia przed wyburzeniem „Matki Polki na wyrębie” przeciwko LEX Szyszko, „Warkocze Białki” w obronie rzeki Białki przed regulacją, „Siotry Rzeki” i „Moda na Rzeki” w obronie ostatnich naturalnych rzek w Polsce. Należy do Koalicji Ratujmy Rzeki. Jest współzałożycielką Stowarzyszenia CSW Wiewiórka. Za realizację akcji artystycznej „365 Drzew” otrzymała tytuł „kulturystki roku 2010” nagrody Programu 3 Polskiego Radia. Indywidualne wystawy w Galerii Zderzak w 2009 i 2011, w 2013 wystawa retrospektywna w Galerii Bunkier Sztuki „Rezerwat Miasto”. W 2012 roku otrzymała stypendium Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego na realizację projektu i filmów dokumentalnych. „6 Rzek”, Autorka filmu dokumentalnego „Raj na ziemi” o miłości bezdomnej pary z sąsiedztwa. Film miał premierę podczas Krakowskiego Festiwalu Filmowego w 2015. Otrzymała tytuł Człowieka Roku Polskiej Ekologii za 2017 i tytuł Krakowianki Roku 2017 przyznany przez Krakowski klub Sorroptymist. Laureatka Nagrody Katarzyny Kobro za rok 2018. Organizuje protesty wspólnie z ekspertami, dbając o ich sens i skuteczność zarazem, kreując je jako happeningi i dzieła sztuki w przestrzeni publicznej.

Aleksandra Markowska – psycholożka. Od 2016 r. dyrektorka Laboratorium Innowacji Społecznych w Gdyni, wcześniej kierowniczką modułu innowacji społecznych w Pomorskim Parku Naukowo-Technologicznym Gdynia. Przez wiele lat związana zawodowo z systemem pomocy społecznej w obszarze przeciwdziałaniu bezdomności. Specjalizuje się w tworzeniu i wdrażaniu innowacyjnych rozwiązań w kwestiach związanych z rewitalizacją, budżetem obywatelskim, budowaniem dialogu z osobami starszymi, aktywizacją młodzieży, budowaniem partycypacyjnych narzędzi potrzebnych do kreowania dokumentów strategicznych miasta.

Urszula Niziołek-Janiak – społeczniczka od 2008 roku związana z ruchami miejskimi. Była prezeska łódzkiego ruchu miejskiego Stowarzyszenie Tak dla Łodzi, wiceprezeska Federacji Piesza Polska, członkini Energii Miast. Inicjowała i współtworzyła pierwszy regulamin konsultacji społecznych, społeczny program remontowy kamienic i program rewitalizacji. W latach 2011-2018 radna Rady Miejskiej w Łodzi. Inicjatorka łódzkiego budżetu obywatelskiego, parków kieszonkowych i zazieleniania ulic oraz uchwał: antysmogowej, o pieszym mieście, edukacji obywatelskiej, o działaniach antidyskryminacyjnych oraz uchwały przeciwko imprezom z tresurą zwierząt. Zabiegała o rewitalizację śródmieścia, wprowadzenie ustawy o rewitalizacji i ustawy krajobrazowej. Przewodniczyła komisji rewitalizacyjnej i komisji budżetu obywatelskiego, była też wiceprzewodniczącą komisji zajmujących się transportem i planowaniem przestrzennym. W Radzie Miejskiej walczyła o drobne

inwestycje dla ludzi: równe chodniki, remonty kamienic i mieszkań, ochronę drzew i rozwój zieleni, bezpieczeństwo pieszych, zakup niskopodłogowych tramwajów, bezpieczeństwo pieszych i pomoc dla drobnych przedsiębiorców – o miasto dla mieszkańców, nie na pokaz. Zwalcza inwestycje, które niszczą środowisko lub tożsamość miasta. Inicjatorka Łódzkiego Panelu Klimatycznego – jednoczącego 20 NGOów wokół postulatu zeroemisyjności Łodzi. W ostatnich wyborach samorządowych z ramienia niezależnego KWW Tak! kandydatka na prezydenta Łodzi. Z zawodu projektantka wnętrz.

Grażyna Szotkowska – absolwentka Politechniki Szczecińskiej, Wydziału Budownictwa i Architektury; ukończyła kursy specjalistyczne w dziedzinie zarządzania nieruchomościami, a także studia podyplomowe w zakresie „Master of Business Administration”. Od 1996 roku pełni funkcję Prezesa Zarządu – Dyrektora Naczelnego w Szczecińskim Towarzystwie Budownictwa Społecznego Spółką z o. o. Współautorka Lokalnej Polityki Mieszkaniowej Szczecina, Strategii Renowacji Miasta. Współzałożycielka, a obecnie członkini Rady Programowej Stowarzyszenia „Zachodniopomorskie Tebeesy”. Aktywnie uczestniczy w opracowywaniu opinii do rządowych i parlamentarnych projektów aktów prawnych w zakresie wspierania społecznego budownictwa czynszowego. Przewodnicząca Zespołu strategicznego ds. rewitalizacji Miasta Szczecin.

Bogna Świątkowska – pomysłodawczyni, fundatorka i prezeska zarządu Fundacji Bęc Zmiana, z którą zrealizowała kilkadziesiąt projektów poświęconych przestrzeni publicznej, architekturze i projektowaniu, a także konkursów adresowanych do architektów i projektantów młodego pokolenia. Inicjatorka i redaktorka naczelną czasopisma „Notes na 6 tygodni”. Wcześniej naczelną pierwszego popkulturalnego miesięcznika „Machina” (1998–2001), autorka licznych tekstów, wywiadów, programów radiowych i telewizyjnych poświęconych współczesnej kulturze popularnej. Stypendystka Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego (2014). Członkini Społecznej Rady Kultury przy prezydencie m. st. Warszawy (2012-2015), Rady Architektury i Przestrzeni Publicznej Warszawy (2015-2018), a także Zespołu Eksperckiego ds. Kultury Lokalnej przy Narodowym Centrum Kultury (2015-2017).

Joanna Wawiórka-Kamieniecka – animatorka i menadżerka kultury. Związana jest z Warsztatami Kultury w Lublinie, w których pracuje przy projektach Magiczna Latarnia i Małe Inne Brzmienia, a od 2015 roku jest dyrektorką festiwalu Noc Kultury w Lublinie. Prowadzi również zajęcia na kierunku Design miejski na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim oraz w Instytucie Badań Przestrzeni Publicznej ASP w Warszawie. Działania kulturalne i sztukę wykorzystuje jako impuls i motywację do polepszania warunków życia w najbliższym otoczeniu oraz odkrywania miasta na nowo i pokazywania jego nieodkrytych dotąd potencjałów.

Jaśmina Wójcik – aktywistka, artystka wizualna, reżyserka, pedagożka akademicka i przedszkolna. Autorka i inicjatorka realizowanego od 2011 r. wielodyscyplinarnego przedsięwzięcia z pogranicza sztuki i aktywizmu społecznego z byłymi pracownikami i pracownicami fabryki ciągników Ursus, na które składają się m.in. działania site-specific w przestrzeni publicznej, akcje społeczno-artystyczne, performance, happeningi, filmy niezależne oraz pełnometrażowy dokument kreacyjny pt. „Symfonia Fabryki Ursus”. Zaprasza mieszkańców Ursusa i innych warszawiaków na tereny zakładowe, integruje ich wokół historii dzielnicy oraz tematu przyszłości obszaru pofabrycznego. Wierzy, że sztuka w aktywny sposób zmienia miasto, może także uruchamiać pamięć o miejscu i wspierać budowanie jego tożsamości. Niezwykle ważna jest dla niej odpowiedzialność artysty za swoje otoczenie. Zajmuje się włączaniem i oddawaniem podmiotowości społecznościom pozbawionym widzialności i możliwości wypowiedzi. Zaangażowana w edukację alternatywną poprzez opracowywanie autorskich praktyk kreacji artystycznej wypowiedzi dzieci. Jednocześnie w swojej praktyce artystycznej stara się otwierać instytucje kultury i sztuki na interakcje z odwiedzającymi (traktując ich jako współtwórców i rozmówców w dialogu).

Marta Żakowska – antropolożka miejska, współzałożycielka i redaktorka naczelna Magazynu Miasta, pierwszego w Polsce interdyscyplinarnego i popularnonaukowego magazynu o mieście; inicjatorka Szkoły Architektury Społeczności (I edycja: 2020), ekspertka w obszarze miejskiej kultury mobilności. Prowadzi seminaria miejskie w School of Ideas SWPS oraz w Instytucie Badań Przestrzeni Publicznej ASP w Warszawie i prowadziła różne miejskie seminaria niezależne, w tym m.in. popołudnia Społeczne Konteksty Budowania w czasie festiwalu Warszawa W Budowie. Autorka tekstów poruszających społeczne konteksty miejskie publikowane m.in. w Magazynie Miasta, Architektura Murator, Architektura&Biznes, Polityce i Gazecie Wyborczej i współautorka podcastu „Magazyn Miasta” na tokfm.pl. Pomysłodawczyni i autorka przewodnika oraz programu edukacyjnego „Miasta przyjazne starzeniu” zrealizowanego we współpracy z Globalną Siecią Miast i Gmin Przyjaznych Starzeniu WHO. Reprezentantka Polski w europejskiej grupie aktywistów City Makers biorącej udział w procesie tworzenia nowej Europejskiej Agendy Miejskiej.

Z Bohaterkami rozmawiały:

Joanna Bogacz – absolwentka Instytutu Historii Sztuki na Uniwersytecie Warszawskim. Pracuje w warszawskim magistracie. W Biurze Stołecznego Konserwatora Zabytków zajmuje się ochroną krajobrazu kulturowego i estetyką przestrzeni publicznych historycznego centrum Warszawy. Ponadto interesuje się historią i dziedzictwem Dolnego Śląska, architekturą XX wieku, sztuką w przestrzeni publicznej, naturalnym budownictwem i miejskim ogrodnictwem.

Joanna Romaniuk – architektka, ukończyła studia na Politechnice Warszawskiej. Obecnie zdobywa doświadczenie w pracowni architektonicznej. Działa w Kole Naukowym Socjologii, Psychologii i Antropologii Miasta przy Wydziale Architektury Politechniki Warszawskiej. Wzmoczone zainteresowanie miastem i procesami w nim zachodzącymi pojawiło się po doświadczeniach zebranych podczas pobytów w Berlinie i Wenecji w ramach wymian studenckich.

Paulina Stok-Stocka – menadżerka projektów, fundraiserka, animatorka kultury. Od 2010 r. związana z sektorem pozarządowym w Szczecinie. Wiceprezeska Stowarzyszenia Edukacyjno-Artystycznego OSWAJANIE SZTUKI. Poprzez działalność Stowarzyszenia zaangażowana w proces rewitalizacji i animacji społeczno-kulturalnej szczecińskiego Śródmieścia. Zajmuje się także działaniami edukacyjnymi w ramach Szczecińskiego Budżetu Obywatelskiego.

Marta Urbańska – projektantka i ilustratorka. Doktorantka w Pracowni Rewitalizacji Krajobrazu na Uniwersytecie Artystycznym w Poznaniu. W pracy twórczej kieruje się zasadą: „Zobaczyć, zrozumieć, zaprojektować”. Swoją pracę badawczą poświęciła projektom urbanistycznym przestrzeni publicznych miast europejskich. Jest entuzjastką projektowania zorientowanego na użytkownika i jego doświadczenia. Nie jest oryginalna i najbardziej lubi Kopenhagę.

Aleksandra Żabowska – kulturoznawczyni, absolwentka Instytutu Kultury Współczesnej UŁ. Współtworzyła łódzkie wydarzenia kulturalne i promowała projekty medialne. Obecnie związana zawodowo z Muzeum Sztuki w Łodzi, gdzie zajmuje się komunikacją. Kocha Bałuty.

Post scriptum

Czy jesteś odważna?

Joanna Bogacz: Mam wrażenie, że to było epokę temu, kiedy zastanawialiśmy się nad tematem naszej pracy dyplomowej, nieświadomi tego, co przyniesie przyszłość. Ta volta ostatnich, pandemicznych miesięcy spowodowała, że nie mogę sobie nawet przypomnieć, jak doszło do podjęcia ostatecznej decyzji.

Joanna Romaniuk: Mam zapisane nasze robocze rozmowy i okazuje się, że wyszliśmy od wielkich, kontrowersyjnych inwestycji w mieście. Sprzeciw wobec nich doprowadził nas do pojęcia odwagi.

JB: Pamiętam, że to była zdecydowanie głębsza dyskusja. Mówiliśmy o tym, że sporo z tych projektów powstawało, powstaje w zespołach, a finalnie często jest tak, że ich twarzą jest mężczyzna. Zdecydowaliśmy więc, że warto rzucić światło na kobiece bohaterki. Z drugiej strony, kiedy szukaliśmy pomysłów na temat, przejrzałam projekty dyplomowe realizowane przez poprzednie roczniki. Uderzyło mnie, że wszystkie były skupione na konkretnym miejscu, na jednej lokalizacji. Więc samo nasze podejście do tematu – wywiady, rozmowy – jest inne i nowe w stosunku do naszych poprzedników.

JR: Może tak, ale też na początku byliśmy bardzo niezdecydowani i nasze pomysły tak bardzo od siebie odbiegały, że trudno było znaleźć wspólny mianownik. Długo się zastanawialiśmy. Pływaliśmy.

Paulina Stok-Stocka: Chociaż Piotr Szczepański mówił, że możemy nic nie pisać. Naszym projektem może być zrobienie na przykład wydarzenia w przestrzeni miejskiej. Miałam wrażenie, że to jest bliższe mojemu działaniu na co dzień i może byłoby fajne. Potem pomyślałam o całej logistyce i jak mamy to zrobić, będąc w różnych miejscach. W obecnej sytuacji to w ogóle byłoby nierealne.

Pamiętam ten moment, kiedy zdecydowaliśmy się na temat. On mnie wtedy trochę przeraził. Przekładając go na swoje najbliższe otoczenie, myślałam, że odwaga to jest coś wielkiego. Rozmawialiśmy głównie w kontekście działań inwestycyjnych, a ja miałam pustkę w głowie. Co w Szczecinie było takiego odważnego oprócz Filharmonii? Później, na etapie wyboru rozmówczyń zeszyliśmy z wielkich inwestycji, realizacji architektonicznych czy planów urbanistycznych do mniejszych działań, które może nie są tak spektakularne, ale są ważne na innych płaszczyznach. Wtedy było mi łatwiej się w tym odnaleźć. Odwaga przejawia się też na płaszczyźnie działań artystycznych, animacyjnych, partycypacyjnych, a nie tylko wielkich budowli. To stało mi się bliższe.

Aleksandra Żabowska: Miałam dokładnie takie samo odczucie, jeśli chodzi o Łódź, która jest moim najbliższym otoczeniem. Przychodziło mi do głowy mnóstwo mikrodziałań, ale miałam wrażenie, że dla mnie one są spektakularne, bo tutaj mieszkam, ale dla was takie nie będą, bo macie tysiące opowieści ze swoich miast, gdzie to wszystko się już dawno wydarzyło.

JR: Dlatego rozumienie odwagi jest mocno subiektywne. Mi bardzo bliskie jest to, co powiedziała Iga Kalbarczyk: że odważne jest w ogóle zabranie głosu, obudzenie się i mobilizacja do powiedzenia, a potem do zrobienia czegoś.

PS-S: Mam wrażenie, że jak rzucasz hasło „odważny”, to myślisz o samotnym pionierze, który walczy z przeciwnościami i przebija się ze swoim pomysłem. A z naszych rozmów wynika, że on zawsze jest częścią większego zespołu. Tak, to wymaga bycia liderem, ale też wymaga ciągłej współpracy i zaufania do osób, które są w tym procesie. Nie da się zrobić odważnych działań samemu.

JB: Absolutnie tak. Na początku, żeby w ogóle wiedzieć, o czym chcemy rozmawiać, zdefiniowałam sobie – tak filozoficznie – czym jest odwaga. Oczywiście w rozmowach przewija się poczucie misji, innowacyjność, podejmowanie ryzyka i odmieniana przez wszystkie przypadki odpowiedzialność. Ale za każdym razem okazywało się, że najważniejsza jest rozmowa, kontakt z drugim człowiekiem, oddanie innym głosu.

JR: Dla mnie motywacją do wyboru rozmówców był też aspekt negatywny, emocje jakie wywoływały te projekty. Poszukując inspiracji, szukałam osób, które musiały się zmagać z przeciwnościami.

Marta Urbańska: Ale z tych późniejszych rozmów te negatywne emocje nie biją. Rozmawiając z Bogną Świątkowską poczułam misję, by wycisnąć z niej historie, o tym jak musiała „przywiązywać się do drzewa”. Kiedy mi powiedziała, że właściwie ma już teraz inny pomysł na siebie, to mnie tak zbiła z pantałyku, że potrzebowałam chwili, by wrócić do rozmowy.

JR: W początkowej puli było pytanie, czy odwaga przychodzi

z wiekiem i doświadczeniem.

MU: Na przykład odwaga Moniki Arczyńskiej wynika z życiowego doświadczenia, które pozwala jej mówić z większą pewnością siebie.

AŻ: Odpowiedzi na ostatnie pytanie: „Czy jesteś odważna?” były niesamowicie zróżnicowane. Część naszych bohaterek powiedziała, że „nie” albo nie odpowiedziała „tak” w pierwszym odruchu.

JB: Świetna była Urszula Nizołek-Janiak, która powiedziała, że postrzega się jako osobę nieśmiałą, wycofaną, ale kiedy trzeba interweniować, bez jakichkolwiek zahamowań może się kłócić choćby z premierem.

AŻ: Podobnie mówiła o tym Cecylia Malik – że sama potrzebuje tę presję wyrzucić na siebie, postawić się pod ścianą i zmusić do działania. Wtedy już nie myśli o strachu.

PS-S: Grażyna Szotkowska stwierdziła, że nie jest osobą odważną. Owszem, podejmuje czasem odważne decyzje, realizuje odważne projekty, ale ona sama odważna nie jest. To wspaniała postać. Zaczynała od sprzątanania klatek schodowych i doszła do bycia prezesem szczecińskiego Towarzystwa Budownictwa Społecznego i robienia super

inwestycji. Czasami nie myśli się, że osoby odważne to takie, które przechodziły poszczególne szczeble w danej instytucji. Stereotypowo można odnieść takie wrażenie, że te postaci pojawiają się nagle, nie wiadomo skąd, z gotowymi pomysłami. To jest żmudna praca, dochodzenie krok po kroku do świadomości, że podejmuje się ważne decyzje zgodnie z własnym sumieniem, wiedzą i doświadczeniem, a nie tak, jak chce ktoś z zewnątrz.

JR: Zastanawiam się, czy można w takim razie wyciągnąć wnioski, że odwaga to nie cecha osoby tylko tryb, w który wpada się w pewnych okolicznościach, pod wpływem emocji albo czynników zewnętrznych?

JB: Aleksandra Markowska mówi, że to jest narzędzie, a nie stała wartość – właśnie tak, jak mówisz. Tryb, który ci się uruchamia, bo jest potrzebny do przeprowadzenia procesu.

PS-S: Tak, też miałam takie wrażenie. To jest narzędzie, a nie immanentna cecha, która się kojarzy ze skakaniem na bungee.

MU: Anna Hryniewiecka rozbawiła mnie do łez, kiedy w pierwszej chwili odpowiedziała, że nie jest odważna, bo ma lęk wysokości.

JB: To też ciekawe, że w rozmowie z tobą odwagę przypisała artystom. Podkreślała, że jej zadaniem jest stworzenie przestrzeni dla nich, żeby to oni mogli być odważni i innowacyjni, żeby mogli wnieść coś nowego w miejską

przestrzeń. A jednak wybija z tej rozmowy, że to jest osoba, która ma silny charakter, jasno sprecyzowaną wizję i umie pociągnąć za sobą zespół.

MU: Na początku nie wszystkie nasze rozmówczynie zrozumiały, że ich działania zinterpretowałyśmy jako wyraz odwagi. Dla nich to jest praca i...

JR: ...zadanie do wykonania.

MU: Dokładnie. Nie tyle odwaga, co predyspozycja lidera, by pociągnąć za sobą ludzi. W trakcie tych rozmów sama zaczęłam się zastanawiać, czy ja w ogóle dobrze rozumiem odwagę.

Czego nauczyłyśmy się od naszych Bohaterek?

JR: Dla mnie wszystkie rozmowy były inspiracją. Rozmowa i kontakt z ludźmi to jest coś, na co inaczej będę zwracać uwagę, na przykład w kontekście Żywej Ulicy, którą nadal chcemy zrobić. Cały czas miałam z tyłu głowy, że człowiek jest najważniejszy i bez rozmowy i interdyscyplinarności ciężko jest stworzyć coś, co będzie odpowiadało na potrzeby i, co będzie działało w mieście, które jest tak zróżnicowane. Myślałam też o definicji miasta i nasunęło mi się, że istotne są

właśnie te dwie rzeczy: relacje i różnorodność.

JB: W pierwszym momencie może się wydawać, że miasto to budynki, układy urbanistyczne, twarda materia, a nasze rozmówczynie podkreślały, że chodzi o relacje, o przestrzeń interakcji, możliwość wpływu na otoczenie, zmiany środowiska dla ludzi, że przestrzeń jest wyrazem tego, jak lokalna społeczność się czuje w danym miejscu...

JR: ...że ludzie zaczynają wierzyć w to miejsce. Tak jak Joanna Wawiórka-Kamieniecka powiedziała, że dla lublinian to było budujące, że Noc Kultury dzieje się u nich w mieście, że mogą zobaczyć te wydarzenia na żywo, a nie w telewizji. Ta sprawczość była wcześniej niewyobrażalna.

AŻ: W tych rozmowach wybija się jeszcze interdyscyplinarność działań miejskich. Zawsze miałam takie poczucie, że muszę wszystko wiedzieć, wszystko umieć, do czegoś doskoczyć, żeby móc zacząć działać w mieście. Nasze rozmowy nauczyły mnie, że tak naprawdę to jest kwestia otaczania się właściwymi ludźmi. Wszystkie nasze bohaterki łączy to, że potrafią zbudować zespoły, albo znaleźć ludzi o bardzo różnych kompetencjach i bardzo różnych potencjałach i na tym opierają swoje działania.

JR: Bo sama nie jesteś w stanie wszystkiego ogarnąć.

MU: Co też jest dla mnie wyrazem jakiejś odwagi, której sama wciąż się uczę. Widzę, że one nie mają obaw przed czerpaniem z potencjału i doświadczeń innych, a same

skupiają się na byciu spoiwem dla tych wszystkich ludzi, którzy są dookoła nich.

JB: Tak, jak Bogna Świątkowska, którą najbardziej fascynują rzeczy, których jeszcze nie wie i wchodzi w tę sytuację bez zastanowienia i zadaje setki może nie do końca przemyślanych pytań, ale mówi, że nigdy nie spotkała się z negatywną reakcją. Wszyscy tę jej ciekawość świata traktują jako zaczyn do rozmowy.

MU: To była dla mnie duża inspiracja.

JB: Bognę Świątkowską pamiętam jeszcze z lat 90., złotych czasów Radiostacji Harcerskiej, kiedy była nazywana matką chrzestną polskiego hip-hopu. A teraz się okazuje, że jest też matką chrzestną partycypacji i dialogu społecznego. Przecież to Bęc Zmiana zainicjowała dialog pomiędzy profesjonalistami, architektami, urbanistami, przedstawiając im punkt widzenia mieszkańców. To dało mi do myślenia.

PS-S: Kiedy jesteśmy już przy inspiracjach, to muszę przyznać, że po rozmowie z Aleksandrą Markowską mam kolejny powód, żeby pojechać do Gdyni, kolejne zaproszenie. Już nie wiem, co się musi wydarzyć, żebym tam nie pojechała.

JB: Wcale się nie dziwię. Ona ma takie budujące podejście. Wszystkie jej działania to misja. To, co robimy, jest ważne i damy radę. To napędza, chce się chłonąć tę pozytywną aurę.

PS-S: Jak rozmawiasz z urzędniczką, która pracuje w warunkach administracyjnych, ale pracuje w oparciu o wartości, to jest to niezwykle odświeżające.

MU: Nasze Bohaterki dokładnie wiedzą, gdzie są i co robią. Przy całej swojej skromności mają świadomość, że zapracowały na to, by być w miejscu, w którym się znajdują. Nawet jeśli znalazły się w nim przez przypadek – jak, chociażby, Anna Hryniewiecka – to dwadzieścia lat stażu w jednej instytucji już nie jest przypadkiem.

JR: Iga Kalbarczyk też powiedziała, że miastem zajęła się przez przypadek. Koleżanka ją wciągnęła i tak zostało.

JB: Ale zostajesz świadomie i świadomie traktujesz swoją pracę w kategoriach misji. Ok, dla Bogny Świątkowskiej to nie jest misja, tylko uzasadnienie istnienia. To już w ogóle jest inny pułap.

JB: Powiedzcie, co was zaskoczyło, jeśli chodzi o postrzeganie miasta i działań w mieście, o których mówiły nasze rozmówczynie?

MU: Zaskoczyła mnie Anna Hryniewiecka, która opowiadała o rewitalizacji ulicy Św. Marcin w Poznaniu. Wiedziałam, że Zamek wykazał inicjatę, ale nie wiedziałam, że aż taką i,

że to od nich wyszła koncepcja, by tą ulicą się zająć. Monika Arczyńska zaskoczyła mnie tym, że zdecydowała się powoli odchodzić od projektowania.

JB: Wyrazem podobnego myślenia, takiej ewolucji, jest też nowy pomysł Bogny Świątkowskiej, żeby stanąć w roli ekspertki, która posiada wiedzę, a nie inicjatorki miejskich działań. Wykorzystania swoich potencjałów, żeby przenieść się na pole, które nie jest jeszcze rozpoznane.

MU: To prawda. Mam też taką refleksję, że trafiłyśmy z naszymi rozmowami na ciekawy moment w ich życiu. I Monika Arczyńska, i Bogna Świątkowska, w rozmowach z nami, powiedziały o tym chyba po raz pierwszy. Byłam wzruszona, że uczestniczymy w ważnym dla nich momencie.

PS-S: W ogóle mam takie wrażenie, że to zamknięcie covidowe, to moment refleksji nad sobą. Czy ma sens to, co robimy? Nie przewidziałyśmy tego, ale wstrzeliłyśmy się w moment zatrzymania się, zastanowienia, co dalej, przystopowania z pomysłami. Pewnie trafiłyśmy na takie momenty, kiedy nasze rozmówczynie musiały wyhamować pędzący pociąg ze swoimi projektami, odnaleźć się w nowej rzeczywistości. Trafiłyśmy z autorefleksyjnym tematem na autorefleksyjny moment.

Czy jestem odważna?

PS-S: A czy to, co my robimy w mieście, jest odważne? Czy zainspirowaliśmy się do podjęcia jakiś odważnych działań? Kiedy patrzę na swoją działalność – która jednak jest w mikroskali – to ona jest odważna, bo jest inna. Ale nie mam ambicji robienia wielkich inwestycji, które zmieniałyby diametralnie przestrzeń publiczną. Z naszych rozmów wynika też, że to, co jest ważne, to właśnie dialog, więc w swoich miejskich działaniach jestem odważna, bo nie boję się rozmawiać z ludźmi.

JR: Wydaje mi się, że samo to, że przeprowadziłyśmy te rozmowy, było wyrazem naszej odwagi. Ja byłam straszliwie zestresowana przed pierwszą rozmową.

PS-S: Wywiady były demokratyczną formą pracy w grupie. Rozmowa jest czymś naturalnym, swobodnym, ale popatrzcie jak mało jest książek, które są wywiadem-rzeką. Może dlatego, że przełożenie rozmowy na tekst pisany, przełożenie ciągu, który wychodzi z głowy na papier, jest tak karkołomne. Dlatego zupełnie inaczej wygląda korespondencyjny wywiad z Martą Żakowską.

JR: Po rozmowie z Joanną Wawiórka-Kamieniecką też miałam takie poczucie, że tu mogłam jeszcze o coś dopytać, rozwinać, podkreślić, a tam mogło to w inną stronę pójść, ale takie rzeczy zauważa się potem.

PS-S: Mam po tej pracy bardzo duży szacunek do dziennikarzy prasowych, którzy zajmują się wywiadami. Czasem dopiero na etapie transkrypcji widać, że w zasadzie nie ma odpowiedzi na jakieś pytanie. W trakcie rozmowy wydawało się, że wszystko jest poruszone, a dopiero potem słuchasz i okazuje się, że rozmowa schodzi na inne tematy. To można wybaczyć w nagraniu, ale potem czytasz i masz do siebie wyrzuty, że o to nie dopytałam, że jakaś odpowiedź nie jest tak konkretna, jakby się spodziewał czytelnik.

MU: Cieszę się też, że te rozmowy faktycznie są rozmowami, a nie sztywnymi wywiadami. Nasze rozmówczynie często same nakierowywały nas na pewne tematy. Oczywiście miałyśmy jakieś założenia i ramy, ale bardzo się cieszę, że pozwoliłyśmy im płynąć. Dlatego celowo podkreślałam, że to są rozmowy. Na pewno dziennikarz z krwi i kości inaczej by z naszymi Bohaterkami rozmawiał. Ale też Bogna Świątkowska powiedziała mi, że nasze pytania skłoniły ją do zastanowienia, do zebrania myśli, bo rzadko ktoś o takie rzeczy ją pyta.

AŻ: Mam wrażenie, że wszystkie nasze Bohaterki bardzo się otworzyły. Może właśnie dlatego.

MU: Trzeba też przyznać, że miałyśmy dobrą intuicję z doborem tematu! Przecież, równie dobrze, mogłybyśmy siedzieć teraz w Australii i zrobiłybyśmy dokładnie to samo.

AŻ: Dokładnie. Mam poczucie, że udało nam się zrealizować ten projekt ze wszystkimi założeniami, o których rozmawialiśmy jeszcze przed pandemią.

MU: Pamiętam też, że w pierwszym momencie właściwie nie braliśmy pod uwagę rozmów on-line. Miał być za to komitet składkowy na podróże do Krakowa, Gorzowa i tak dalej.

JB: Był taki pomysł, ale uznaliśmy, że formuła on-line nie sprzyja interakcji.

JR: Traktowałyśmy ją jako ostateczność. Jeśli chodzi o zaskoczenia, to ja jestem zaskoczona, że w ogóle udało się tyle rozmów przeprowadzić, bo nie wierzyłam w odzew, w odpowiedź.

MU: Ja wierzyłam, że jak w tytule maila wpisuję „IBPP przy ASP w Warszawie”, to zwiększam swoje szanse, że co najmniej ktoś go przeczyta.

JR: Zastanawiam się jeszcze nad jakimiś trudnościami, poza tym, że nastawialiśmy się na rozmowy twarzą w twarz.

Co było dla nas wyzwaniem?

JB: Na przykład, jak wpłynęło na nas to, że nagle z siedmiu osób zostałyśmy zredukowane do pięciu? Z mojego punktu widzenia, dostosowałyście się tak szybko, że nie zdążyłam mrugnąć powiekami, a już wszystko było przeorganizowane.

AŻ: Chyba trochę inaczej rozkłada się odpowiedzialność w mniejszej grupie. Bardziej się zmobilizowałyśmy.

MU: Wydaje mi się, że uratowało nas to, że Agnieszka z Czarkiem zrezygnowali na wczesnym etapie, kiedy nie byliśmy jeszcze rozhułani z projektem. Gdyby podjęli taką decyzję trzy tygodnie później, pewnie byłoby ciężiej pogodzić się z tym, że ktoś z nas będzie miał więcej pracy.

PS-S: To był właściwie taki moment, kiedy nam się zespół skurczył o jedną trzecią. Pozostawała wówczas do podjęcia decyzja, czy wobec tego zmniejszamy zakres pracy.

MU: Mniejsze grono często sprzyja bardziej zwartej pracy i jednomyślności.

JR: Łatwiej się rozmawia, śmielej. Poczułam większą swobodę.

PS-S: Kiedy na początku roku podzielono nas na dwa zespoły po siedem i osiem osób, miałam wrażenie, że w takim dużym zespole łatwiej można się schować. Praca może się tak rozkładać, że jak ktoś nie chce, to nie musi nic robić. Nawet się dziwiłam, że w poprzednich latach były trzy, cztery zespoły po cztery osoby. Nasz rok podzielony na dwie grupy był eksperymentalny. Ale jestem też bardzo ciekawa pracy drugiej grupy, bo wybrali sobie bardzo specyficzny temat, a w okresie ostatnich miesięcy, kiedy wszystko było zamknięte, robienie badań terenowych musiało być wyzwaniem. Koniec końców to, że pracowałyśmy w mniejszej

grupie mogło się obrócić na naszą korzyść. Chociaż oczywiście nie chodzi o to, że się cieszymy, że nie ma Agi i Czarka.

Zaczyn

MU: Myślałam o tym, żeby zaznaczyć, że to nie jest rzecz skończona, że to jest dopiero zaczyn, początkowy głos...

JB: ...Tom pierwszy...

PSS: ...Prolog. Chociaż na prolog to trochę dużo.

JB: Jako warszawianka jestem bardzo zadowolona, że rozmowy nie są warszawocentryczne. Nasze rozmówczynie są z różnych miast w Polsce i te rozmowy pokazały, że te same wartości są ważne niezależnie od tego, czy jesteś w Warszawie, Kazimierzu, Zielonej Górze czy Szczecinie.

PS-S: W pierwotnej, szerokiej liście rozmówczyń, połowa osób była z Warszawy. Z czasem to się zmieniło.

MU: W pierwszej chwili przychodzą ci do głowy oczywiste sprawy. Tak, jak mówiłaś, te odważne działania nie muszą się dziać w formacie medialnym, kiedy wszyscy o tym mówią, wszyscy o tym wiedzą. Wtedy możesz zająć się mniejszymi tematami, które mają ogromną wartość przede wszystkim dla

lokalnej społeczności.

AŻ: Dlatego myślę, że ciekawe byłoby rozwinięcie tego projektu właśnie w kierunku oddania głosu kobietom działającym w mniejszych miastach.

PS-S: I dlatego wciąż żałuję, że nie udało nam się porozmawiać z Martą Bejnar-Bejnarowicz. Gorzów to miasto średniej wielkości, a Marta wywodzi się z ruchów miejskich. Teraz, kiedy już doceniłyśmy skalę mikro, jeśli chodzi o działania, warto dowartościować też skalę mikro, jeśli chodzi o pole działań.

JR: Odnośnie Gorzowa głos zabrała Iga Kalbarczyk, która pracuje w tamtejszym Urzędzie Miasta i zajmuje się działaniami związanymi z Budżetem Obywatelskim. Rzeczywiście, dzieje się, zarówno, kiedy mówimy o zaangażowaniu mieszkańców, ale też o otwartości i inicjatywy urzędników.

AŻ: Mnie bardzo zainspirowała Cecylia Malik, kiedy opowiadała o projekcie, nad którym teraz pracuje. Super byłoby porozmawiać z aktywistami ekologicznymi działającymi na wsiach. Ale to już zupełnie inny pomysł na później.

PS-S: Widzę, że apetyt rośnie w miarę jedzenia. Zaczyna się z tego robić projekt pozauczelniany.

„Jak mówi jedna z bohaterek niniejszej książki: *odwaga rozbraja mury na każdym poziomie i nie ma płci*. A jednak po lekturze tych dwunastu rozmów odniosłem wrażenie (niestety, nie pierwszy raz), że te mury w mieście, przed którymi stoją kobiety, są jakieś wyższe i twardsze, a odwaga, żeby się z nimi zmierzyć, wymaga od nich czegoś innego i czegoś więcej niż brawury, hartu ducha i walki wręcz (choć i to się zdarza). Czego zatem? Żmudnych przygotowań do negocjacji i rozmów na każdy temat (do „krwawych negocjacji” i „morderczych rozmów” o mieście)? Anielskiej cierpliwości i piekielnej pychy w walce o lepszą przestrzeń wspólną? Cyrkowej sprawności w trzymaniu stada projektów za ogon? Chirurgicznych precyzji w lawirowaniu między bezdusznymi przepisami? Żeby tylko! (...)

Kim są odważne kobiety? Jak kształtują swój świat? Czym według nich jest odwaga w mieście? Niech ta książka będzie zachętą do zadania sobie tych pytań na głos. I poważnego zastanowienia się nad tym, co dla nas w mieście jest naprawdę ważne.”

Piotr Szczepański

Instytut Badań Przestrzeni Publicznej
w Warszawie